BĘDZIE INACZEJ
Protesty kobiet i polityka przyszłości

JAN PAWEŁ II
Uczeń papieża mierzy się z legendą

PIONKI I GAMBITY
W szachach wreszcie się ruszyło

PROJEKT TWARDOCH
Powieści, seriale i inne przeboje

ŻABIE SEKRETY
Życie pełne wyskoków

Kraków 29 listopada 2020 nr 48 (3725) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

JAK RATOWAĆ SZKOŁĘ

Dajcie spokój naszym dzieciom

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

FINAŁ KONKURSU NAGRODA POLIN 2020

1 GRUDNIA 2020, 20:00

oglądaj online

YouTube

Muzeum POLIN

Mecenas konkursu:

Jankilevitsch Foundation

Fundatorzy nagród pieniężnych:

Tomek Ulatowski
Odette and Nimrod S. Ariav Foundation
Ewa Masny-Askanas i Wiktor Askanas
anonimowy darczyńca

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland Liechtenstein Norway grants

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POLIN Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe

Współorganizator

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

KS. ADAM

Boniecki: *W ślepej ulicy*

W Warszawie ktoś do nazwy „aleja Jana Pawła II” dopisał słowo „ofiar”. Teraz jest „aleja ofiar Jana Pawła II”. To był wybryk, ale w internecie trwa zbiórka podpisów w sprawie zmiany patrona ulicy. W innych miastach pojawiają się podobne akcje.

W naszej historii mamy już jeden przypadek odebrania ulicy papieżowi. W Warszawie ulicę noszącą od 1770 r. nazwę „Piękna” w 1932 r. przechrzczono na ulicę Piusa XI. Achille Ratti, przyszły Pius XI, od 1918 r. był wizytatorem apostolskim w Polsce i na Litwie, a w latach 1919-21 pierwszym nuncjuszem w niepodległej Polsce. W sierpniu 1920 r., kiedy zagraniczni dyplomaci w obawie przed armią bolszewicką opuścili Warszawę i schronili się w Poznaniu, nuncjusz Ratti pozostał w stolicy. Za to i za życzliwość dla Polski w czasie pontyfikatu otrzymał w roku 1932 ulicę Piękną. Ul. Piusa przetrwała okupację jako „Piusstrasse”. Dopiero Polska Ludowa w 1949 r. skreśliła „Piusa” i przywróciła pierwotną nazwę. Ostatnio ktoś nawet wnioskował, żeby w stulecie Bitwy Warszawskiej oddać Piusowi jego ulicę. Pomysł przepadł, a dzielnego nuncjusza upamiętniono odsłoniętym 6 czerwca 2019 r. pomnikiem przy siedzibie nuncjatury.

Pomysł odebrania ulicom (rondom, szpitalom, szkołom itd.) imienia Jana Pawła II jest czymś zupełnie innym. Jest wynikiem irytacji. Jej irracjonalność wykazał o. Maciej Zięba OP („Wobec pedofilii Jan Paweł II był jednoznaczny” na internetowej stronie „Więzi”). Przypomniał, że kwestia pedofilii w Kościele pojawiła się na przełomie lat 80. i 90. I dotyczyła fali nadużyć, szczególnie widocznej w Stanach Zjednoczonych w latach 60. i 70. W związku z tym Jan Paweł II wezwał amerykański episkopat do Watykanu i w czerwcu 1993 r. skierował do niego list nakazujący „zero tolerancji dla pedofilii”. Stanowisko Jana Pawła II było tak zdecydowane i czytelne, że w 1994 r. amerykański „Time” przyznał mu z tej racji tytuł „Człowieka Roku”. W 1996 r. te same surowe normy papież zastosował wobec Kościoła w Irlandii.

W kwietniu 2001 r. ogłosił *motu proprio* „Sacramentorum sanctitatis tutela”. Przyjęto też normę „zero tolerancji”, a potwierdzenie oskarżeń o „tę wielką zbrodnię” miało skutkować usuwaniem ze stanu duchownego. To był moment przełomowy. Tak, to Jan Paweł II wypowiedział wojnę z pedofilią kleru. Co zaś do przypadku Maciela Degollado, który przez 60 lat udawał gorliwego księdza, to – jak stwierdzają wnikliwi badacze przypadku – Jan Paweł II nie mógł być świadomy roli tego człowieka, który na przestrzeni wielu lat oszukał pięciu kolejnych papieży. Choć nie istnieją dowody na to, że Jan Paweł II chronił pedofilów w Kościele, to jego oskarżeniom towarzyszą takie emocje, że trudno tu o rzeczową dyskusję.

Papież Polak został w kraju wywindowany na poziom nadludzki. Kiedy już zaczął być wszechobecnym wcieleniem wiary w Boga, wcieleniem Kościoła, ojczyzny i wszelkiej mądrości, kiedy już został odczłowieczony, stał się zjawą bliższą swoim pokracznym pomnikom niż realnemu sobie. Dla polskiego katolicyzmu stał się oczywistym dowodem wyjątkowości, wielkości i narodowego wybraństwa. Ale dla wielu Polaków, szczególnie młodych, przytłoczonych wszechobecnym i czczym „janiepawleniem”, jego kult w takiej postaci był coraz bardziej nie do wytrzymania. Był maską hipokryzji władzy i Kościoła, wzajemnie zblatowanych w przyziemnych interesach.

Nie podpiszę listu w obronie JP2 i nie będę walczył o nazwy ulic, co zaś do pomników, to ich niegdysiejszy wysyp musiał się źle skończyć. Janowi Pawłowi II teraz nie obrona jest potrzebna, ale pełna prawda. Mitowi może ona nie dorówna, ale już nie będzie trzeba papieża bronić. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Pół roku czytania w prezencie!

Kup w promocyjny weekend **roczny e-dostęp do strony** „Tygodnika Powszechnego”, a otrzymasz kolejne **pół roku nielimitowanego dostępu** do wszystkich treści naszego serwisu! Oferta dostępna pod adresem powszech.net/blackfriday w dniach **27-29 listopada 2020**

Weź, czytaj dłużej – w tej samej cenie!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

24 Będzie inaczej, serio
DARIUSZ KOSIŃSKI
Polityka przyszłości, którą ustanawiają protesty kobiet, domaga się całkowitej zmiany modelu życia publicznego. Jaki ma on być – tego jeszcze sobie nie możemy wyobrazić. Choć już tworzymy go na co dzień.

44 W mroku światła
MARCIN ŻYŁA I GRAŻYNA MAKARA Z IRBILU W IRACKIM KURDYSTANIE
Dopóki Iran będzie tu aktywny, dopóty w Iraku nie będzie dobrze – co do tego mieszkańcy obozu Baharka wydają się zgodni.

34 Dogmat przed dramatem
ROZMOWA Z KAROLEM TARNOWSKIM, FILOZOFEM:
Wojtyła był przekonany, że Duch Święty działa przede wszystkim przez instytucję. Niestety, sprawowanie Eucharystii nie uświęca księży automatycznie.

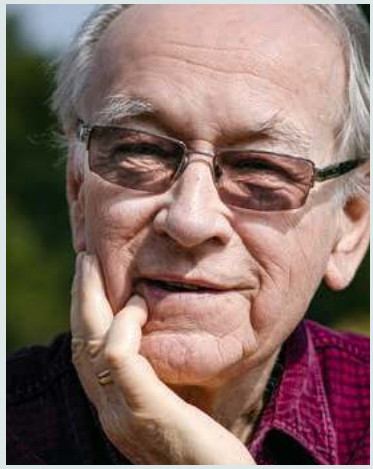

62 Żabie tajemnice
ANNA GOC
Mają burzliwe, pełne sprzeczności życie. I wcale nie chcą się rozmnażać, jak Grzegorz Mendel przykazał.

66 Role, rólki i przeboje
MACIEJ JAKUBOWIAK
Serialowa ekranizacja powieści Szczepana Twardocha „Król" jest największym sukcesem w jego projekcie. To model kariery zaczerpnięty wprost z Ameryki, gdzie każdy poważniejszy pisarz chce znaleźć się na ekranie.

78 Królewski gambit
ŁUKASZ KWIATEK
Pod koniec marca pandemia przerwała najważniejszy tegoroczny turniej szachowy. Zamknęła w domach amatorów i zawodowców. I wreszcie zrobiło się ciekawie.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA // GRAŻYNA MAKARA // ADAM HERMANIUK // PIOTR POWIETRZYŃSKI / GETTY IMAGES // ŁUKASZ GIZA / AGENCJA GAZETA // GRAŻYNA MAKARA

KOMUNIKAT DLA PRENUMERATORÓW

Z uwagi na dramatycznie narastającą liczbę zachorowań w kraju, a co za tym idzie, duże prawdopodobieństwo zakażeń wirusem SARS-CoV-2 także wśród pracowników Poczty Polskiej – naszego głównego dystrybutora prenumeraty – zostaliśmy powiadomieni przez Pocztę Polską o możliwości zaistnienia przejściowych opóźnień w dostarczaniu do Państwa skrzynek pocztowych prenumerowanej prasy, w tym „Tygodnika Powszechnego". W przypadku ewentualnych opóźnień upraszamy Państwa o wyrozumiałość w tej trudnej i niekomfortowej dla nas wszystkich sytuacji. Serdecznie prosimy o cierpliwość, dołożymy wszelkich starań, abyście Państwo otrzymywali nasze pismo bezzwłocznie.
WYDAWCA

6 Obce słowo solidarność
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

24 Będzie inaczej, serio
DARIUSZ KOSIŃSKI

28 Na słuchawce, czyli na wojnie
ANNA KIEDRZYNEK:
W światku dyspozytorów, podobnie jak wśród ratowników w karetkach, ludzie grają twardzieli

31 My z Szeli
ROZMOWA Z MICHAŁEM RAUSZEREM, KULTUROZNAWCĄ:
Lud nie ma naturalnej skłonności do przemocy. Przemoc jest manifestem politycznym

WIARA

34 Dogmat przed dramatem
ROZMOWA Z KAROLEM TARNOWSKIM

38 Adwent na pustkowiu
PIOTR SIKORA:
Obecny kryzys Kościoła dla wielu jest też kryzysem osobistej wiary

41 Rzućcie broń
MACIEJ MÜLLER: *Papież Franciszek i „wojna sprawiedliwa"*

ŚWIAT

44 W mroku światła
MARCIN ŻYŁA I GRAŻYNA MAKARA

48 Ciemne kolory
ROZMOWA Z EWGENIĄ STUPNIK, PSYCHOLOŻKĄ ZE STREFY FRONTOWEJ W DONBASIE:
Dzieci tutaj od sześciu lat słyszą wybuchy i na pozór już się przyzwyczaiły

TEMAT TYGODNIKA

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

12 Szkolne plagi współistniejące
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Przez etapy epidemii władza oświatowa prowadziła nas dotąd na oślep. Teraz przegapia kryzysy, które zostaną z nami po opadnięciu chorobowych krzywych.

16 To nie czas dla bohaterów
ROZMOWA Z JANEM WRÓBLEM, NAUCZYCIELEM I PUBLICYSTĄ:
Receptę na obecny kryzys i dla dzieci, i dla nauczycieli wyśpiewał Johnny Cash w „One", które puściłem uczniom na zdalnej lekcji. *Carry each other.* Wspierajmy się.

FELIETONY

61 „Szczerze?"
JACEK PODSIADŁO POWRACA
Coraz częściej wyrażam się niezrozumiale, bo wyrażam się w sposób zbyt jasny, poprawny i klarowny.

43 WOJCIECH BONOWICZ
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: JOANNA RUSINEK
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

50 Nadzieja Besarabii
PIOTR OLEKSY:
W mołdawskich wyborach starły się dwa oblicza Europy Wschodniej. Wygrało to, które stawia na godność i prawa człowieka. Dla kraju to dopiero początek zmian

53 Generał w pantoflach
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
Pół wieku po śmierci francuski bohater narodowy Charles de Gaulle powraca. Tym razem jednak schodzi z cokołu – jako człowiek, mąż i ojciec

HISTORIA

56 Siewca nowoczesności, która przeraża
ROZMOWA Z GRZEGORZEM KRZYWCEM: *Głównym grzechem Romana Dmowskiego była jego wizja świata, którą przeszczepił na swój obóz, na młodzież, na scenę polityczną*

NAUKA

62 Żabie tajemnice
ANNA GOC

KULTURA

66 Role, rólki i przeboje
MACIEJ JAKUBOWIAK

70 Zaganianie do sieci
PAWEŁ POTOROCZYN:
Co nam grozi, jeżeli kultura nie przetrwa pandemii?

74 Lalki i niedźwiedzie
ANITA PIOTROWSKA
o filmie polskich reżyserek i pisarek „Erotica 2022"

76 Wyprawa w dramat
LEKTOR *o książce „Zjadanie psów" Tomasza Kubikowskiego*

ZMYSŁY

78 Królewski gambit
ŁUKASZ KWIATEK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Odchodzą weterani z Półwyspu Arabskiego. Jesienią zmarł emir Kuwejtu, szejk Sabah al-Ahmad al-Sabah. Przed tygodniem pochowany został 84-letni książę Chalifa, premier Bahrajnu
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Sztuka Powszechnie Nieznana [Podkast Powszechny]
Czy w melancholii może kryć się coś pozytywnego? Na czym polegała teoria czterech temperamentów? I dlaczego u Lucasa Cranacha z Melancholią powiązany jest sabat czarownic?
– opowiada **MAGDALENA ŁANUSZKA** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

OBCE SŁOWO SOLIDARNOŚĆ

Hardość wobec Brukseli jest żetonem, jakim Ziobro licytuje w dworskim pokerze przeciw premierowi. W tej sytuacji Warszawa nie jest dla nikogo w Unii partnerem.

PAWEŁ BRAVO

Demonstracja „My zostajemy! Jesteśmy Europą!" na Rynku Głównym w Krakowie, 22 listopada 2020 r.

Polska i Węgry zapowiedziały zawetowanie dwóch filarów finansowych UE na najbliższe lata – co mogłoby być szczególnie dotkliwe zwłaszcza w przypadku funduszu odbudowy dla gospodarek najmocniej spustoszonych pandemią. Nie chodzi o niezgodę na konkretne kwoty czy ich podział na kraje i sektory, ale o dołączony do pakietu dodatkowy mechanizm wiążący transfery z respektowaniem traktatów i zasad rządów prawa.

Wszystkie ważne etapy rozwoju Unii były zawsze twardą grą interesów utrudnioną dodatkowo przez zasadę jednomyślności. Historia UE jest usiana wetami, które umiano twórczo ominąć. Francuzi i Holendrzy powiedzieli „nie" konstytucji opracowanej w 2005 r. Rozmontowano ją wówczas na kawałki, porzucono symboliczną, federacyjną warstwę, a konkretne zmiany instytucji zostały wmontowane jako techniczne poprawki do istniejących traktatów i opakowano wszystko w nowy traktat. Zanim przyjęto go w Lizbonie w grudniu 2007 r., Polska rządzona przez PiS była wskazywana jako główny hamulcowy – wtedy walczyliśmy o korzystniejszy dla nas system głosowania i daliśmy się kupić „bezpiecznikiem", który po

bliższym oglądzie okazał się dużo słabszy, niż się to braciom Kaczyńskim wydawało. Potem zaś, kiedy Polska cofnęła swój sprzeciw, już gotowy traktat odrzucili w referendum Irlandczycy. Dali się przekonać do przyjęcia go w drugim podejściu po wywalczeniu osobnych protokołów gwarantujących im m.in. ochronę wewnętrznej polityki rodzinnej, czyli głównie restrykcyjnego prawa w sprawie aborcji.

Podobnie jak w latach 2005-07, dyskusja o tym, czy można wprowadzać ważne zmiany zasad tylnymi drzwiami albo wyposażać instytucje wykonawcze w mechanizmy tylko pozornie neutralne politycznie, nie jest banalna. Że nie o czysto „audytorskie" uprawnienia dla Komisji chodzi, dają do zrozumienia także niektórzy politycy z Niemiec, Francji czy Holandii. Obecnym rygoryzmem chcieliby pokryć swoją współwinę za to, że przez prawie 10 lat patrzyli przez palce, jak Viktor Orbán za obfite unijne środki betonuje autorytarną, klientelistyczną oligarchię. I zamaskować swoją frustrację, że procedury „naruszeniowe" wobec Polski i Węgier zgodne z art. 7 traktatu okazały się bezzębne. Zamiast zmieniać traktaty, co jest niewykonalne, próbuje się więc dokonać dalekosiężnych korekt na niższym poziomie systemu.

Owszem, o tym wszystkim można by dyskutować i wziąć na poważnie niektóre argumenty mniej fanatycznych przedstawicieli obozu władzy. Tyle że przez ostatnie pięć lat PiS skutecznie podważył swoją wiarygodność, jeśli chodzi o propaństwowe intencje w reformowaniu sądów. Jarosław Kaczyński zresztą tydzień temu w Sejmie jasno wskazał, co w głębi serca rozumie przez praworządność: opozycja miałaby pójść siedzieć. Hardość wobec Brukseli jest dziś tylko żetonem, jakim Ziobro próbuje licytować grubo powyżej swoich zasobów w dworskim pokerze przeciw premierowi. W takiej sytuacji Warszawa nie jest dla nikogo w Unii – nawet dla stolic tradycyjnie nieufnych wobec większych wpływów Brukseli – wiarygodnym partnerem.

Gra się będzie toczyć dalej, bo w Unii zawsze znajduje się trzecie wyjście. Nasza gospodarka najlżej ze wszystkich przeszła i zapewne dalej będzie przechodzić pandemiczne wstrząsy. W warstwie finansowej więc Warszawę stać na zapłacenie ceny, którą będzie opóźnienie startu funduszu odbudowy. A czegoś takiego jak solidarność europejska ta ekipa nie ma w swoim słowniku. ©℗

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Plan Morawieckiego: Jakoś to będzie

MACIEJ MÜLLER

Przed nami sto dni solidarności. Na koniec tego okresu jest prawdopodobne, że pojawi się szczepionka" – powiedział premier Mateusz Morawiecki, prezentując zarys planów rządu na najbliższe tygodnie. Dodał też: „Nie wszystkie nasze prognozy i decyzje były słuszne". Gdyby chciał być konsekwentny, musiałby przyznać, że do jesiennego skoku liczby zakażeń w dużej mierze przyczynił się jego rząd. Nie tylko nieodpowiedzialnymi wypowiedziami z lata, zachęcającymi do beztroski w obliczu zepchniętego rzekomo do defensywy patogenu. Chodzi też o nieprzygotowanie systemu ochrony zdrowia i o wrześniowe nieprzemyślane otwarcie szkół. Fala infekcji pustoszy całą Europę, więc i tak uderzyłaby w Polskę. Ale zastała nas niegotowych i pozbawionych strategii, ufających w dogmat „jakoś to będzie" – skoro na wiosnę epidemia nas *de facto* oszczędziła.

Rząd niestety nadal za mało słucha ekspertów ani nie patrzy na doświadczenia innych krajów. Zaprezentowana strategia wprowadzania i zdejmowania obostrzeń opiera się nadal na jednym tylko wskaźniku – średniej liczby dziennych zakażeń. A jest on mało wiarygodny, ściśle zależny od liczby raportowanych testów. Już raz doszło do „cudu laboratoryjnego" – tuż przed granicą „narodowej kwarantanny" gwałtownie spadła liczba badań, a za nią dzienna liczba zakażonych. Wiadomo już, że zaginęło kilkanaście tysięcy wyników, a o jakości statystyk świadczy choćby to, że w niektórych województwach liczba testów pozytywnych przekraczała liczbę testów przeprowadzonych.

Tymczasem w górę pnie się wykres zgonów. Dzienna liczba zmarłych z powodu COVID-19 sytuuje nas w światowej czołówce, a w liczbach bezwzględnych doganiamy Niemcy, liczące przecież 83 mln mieszkańców i testujące społeczeństwo na potęgę.

Pełną parą powinny właśnie ruszać przygotowania prawne i logistyczne do dystrybucji szczepionki. Samo jej pojawienie się na rynku nie zakończy pandemii. Premier rozbudził ogromne nadzieje na zakończenie koszmaru. Jako historyk powinien jednak pamiętać, jak się w 1815 r. skończyło sto dni znacznie wybitniejszego polityka. ©℗

Zdalna szkoła z roku na rok

„NIE PLANUJEMY zawieszenia zajęć stacjonarnych w przedszkolach" – powiedział w zeszłym tygodniu minister Przemysław Czarnek. Tymczasem nie wiadomo nawet, jaki odsetek placówek zamknięto ze względu na ogniska koronawirusa. 5 listopada resort edukacji donosił jeszcze, że tryb zdalny lub hybrydowy dotyczy niemal tysiąca przedszkoli (6,1 proc.) – jednak wraz z całkowitym zamknięciem szkół wysyłania codziennych raportów poniechano, bez podawania przyczyn. Co nie znaczy, że zmieniły się realia: dyrektorzy placówek dla małych dzieci przeżywają z grubsza to samo, co wcześniej przeżywali kierujący podstawówkami: zarażające się opiekunki, bezskuteczne próby dodzwonienia się do sanepidu, konieczność zamykania placówek ze względu na zagrożenie i brak kadr.

Tymczasem szkoły popracują zdalnie do świąt, co w praktyce oznacza, że dzieci wrócą do klas najwcześniej w poniedziałek 18 stycznia. To wtedy zakończą się – zgodnie z decyzją rządu w tym roku skumulowane, bez podziału na województwa – zimowe ferie. A to z kolei oznacza, że epidemiczna huśtawka edukacyjna będzie już wówczas trwała osiem szkolnych miesięcy (o konsekwencjach takiego stanu rzeczy piszemy na dalszych stronach). Ku zgryzocie dużej części społeczeństwa: sondaż United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej" pokazuje, że wśród wprowadzonych przez rząd obostrzeń najwięcej respondentów (53,8 proc.) uwiera właśnie zamknięcie szkół.

Jesteśmy więc również skazani na huśtawkę społecznych nastrojów: od lęku przed zakażeniami i frustracji z powodu organizacyjnego chaosu, gdy szkoły działają stacjonarnie – po ogólne zmęczenie izolacją, gdy placówki są zamknięte.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pałka i stołek

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Brutalność policjantów wobec uczestników protestów organizowanych przez Strajk Kobiet to efekt gry o władzę w policji.

Oczywiście, filmiki nagrywane przez uczestników ostatniego protestu Strajku Kobiet mogą być mylące, gdy pokazują, jak policjanci po cywilnemu biją pałkami teleskopowymi uczestników marszu. Problem polega na tym, że nagrania, które policja prezentuje na swe usprawiedliwienie – mające pokazywać agresję tłumu – są mniej przekonujące.

Na pewno policja zmieniła swe podejście do demonstracji Strajku Kobiet. W pierwszych dniach protestu, pod domem Jarosława Kaczyńskiego, policja użyła gazu. Ale potem złagodziła swe podejście i przez kolejne tygodnie biernie śledziła protesty. Sytuacja uległa zmianie po ujawnionym przez Onet rozkazie szefa stołecznej policji Pawła Dobrodzieja z 7 listopada. W mało służbowym języku Dobrodziej nakazał swym podwładnym: „działamy, nie negocjujemy!!!". Najpierw więc policja działała 9 listopada przed resortem edukacji podczas protestu przeciwko ministrowi Przemysławowi Czarnkowi, a potem nie negocjowała 18 listopada – poturbowała nawet posłów opozycji. Choć użyte wówczas jednostki antyterrorystyczne mają swe dowództwo, to tego dnia podlegały właśnie rozkazom Komendy Stołecznej Policji.

Dobrodziej to ambitny policjant. Szefem najważniejszego garnizonu w Polsce został w 2017 r., za rządów PiS, wcześniej – też za PiS – kierował policją lubelską. Teraz mierzy wyżej: w komendanturę całej policji. Zaostrzenie działań wobec protestujących na pewno mu w tym pomoże. Nowy wicepremier od bezpieczeństwa Jarosław Kaczyński dawał wyraźnie do zrozumienia, że jest niezadowolony ze zbyt pobłażliwej postawy policji wobec protestujących. Rozbijaniu demonstracji sprzeciwiał się jednak obecny komendant główny Jarosław Szymczyk, grożąc dymisją. Szymczyk jest ostatnim ważnym policyjnym generałem sprzed rządów PiS, którego PiS jeszcze nie wylał. Ale stanowisko może stracić praktycznie w każdej chwili. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

KRAJ W SKRÓCIE

PŁOT
Wkrótce po rozpoczęciu protestów związanych z zaostrzeniem prawa aborcyjnego Kancelaria Sejmu postanowiła zbudować przeszkodę, mającą uchronić parlament przed demonstrantami – informuje „Rzeczpospolita". Z dokumentacji przetargowej wynika, że dwuskrzydłowa brama od ul. Nowogrodzkiej ma mieć 3 m wysokości i 8,2 m szerokości.

POPARCIE
Tymczasem z sondażu pracowni Kantar wynika, że 13 proc. Polaków popiera protesty i brało w nich udział, a kolejne 57 proc., że popiera demonstracje, mimo że w nich nie uczestniczyło.

JACEK TARAN

PREFERENCJE
Ocena protestów wpływa również na ocenę partii politycznych: na PiS chce głosować ok. 30 proc. badanych (10 proc. spadku w ciągu miesiąca), na KO – ok. 24 proc., na Polskę 2050 Szymona Hołowni – 14 proc. badanych.

POBŁAŻANIE
A PiS tymczasem usiłuje zwierać szeregi, co oznacza także abolicję dla 15 posłów zawieszonych w prawach członka partii za głosowanie przeciwko „piątce dla zwierząt". Ustawa zakazująca hodowli zwierząt na futra trafiła po zmianach w Senacie do sejmowej zamrażarki, a rządzący zapowiedzieli jej nową wersję.

Prawa obywatelskie w wysokiej izbie

SEJM ZNÓW NIE POWOŁAŁ Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz na rzecznika praw obywatelskich. Jedyna kandydatka na to stanowisko po Adamie Bodnarze (jego kadencja upłynęła ponad 100 dni temu), popierana przez ponad 1000 organizacji społecznych prawniczka pracująca dotąd w biurze RPO, nie uzyskała poparcia PiS. Dlaczego? Nie wiadomo. Reprezentujący partię rządzącą poseł Krzysztof Lipiec z trybuny sejmowej powiedział (wystąpienie cytujemy w całości): „Pani Marszałek, Wysoka Izbo. Komisja Sprawiedliwości i Praw Człowieka negatywnie zaopiniowała zgłoszoną kandydaturę. Dziękuję bardzo". W głosowaniu Rudzińską-Bluszcz poparło 204 posłów, 244 było przeciw, 3 się wstrzymało. Wcześniej kandydatka zapewniała, że urząd rzecznika „nie jest i nie może być niczyim przyczółkiem", a zatrzymanym podczas protestu feministkom musi pomagać tak samo jak pseudokibicom, bezprawnie pozbawionym prawnika na komisariacie. Pat wokół RPO zapewne się przedłuży: powołuje go Sejm za zgodą Senatu, a w Senacie większość ma opozycja.

©℗ MO

Unio, nie jesteś już największa

BEZ ECHA przeszło w polskich mediach ubiegłotygodniowe porozumienie krajów Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN), które wraz z Chinami, Japonią, Koreą Południową, Australią i Nową Zelandią postanowiły stworzyć największą strefę wolnego handlu na świecie. 15 krajów Azji, zamieszkiwanych łącznie przez 2,2 mld ludzi i wytwarzających około 29 proc. globalnego PKB, chce budować własną unię gospodarczą.

Unia Europejska, której początkiem była współpraca przemysłu, stała się rodzajem federacji krajów złączonych nie tylko interesami ekonomicznymi, ale także poczuciem przynależności do tej samej tradycji kulturowej i historycznej. Azjatycka wspólnota stawia na razie wyłącznie na gospodarcze frukta: w ciągu dwóch lat sygnatariusze porozumienia mają znieść cła we wzajemnym handlu oraz rozpocząć pracę nad ujednoliceniem reguł ochrony własności i konkurencji. Dzięki temu do 2030 r. PKB piętnastki ma wzrosnąć o 186 mld dolarów.

Głębsza integracja będzie oczywiście trudniejsza niż w Europie, porozumienie obejmuje bowiem państwa mocno zróżnicowane religijnie i o odmiennej kulturze politycznej. W obrębie samej wspólnoty nie gasną też obawy o hegemonię Chin (to było przyczyną rezygnacji Indii z członkostwa w strefie). Nie zmienia to jednak faktu, że Unia Europejska, będąca dotychczas największą strefą wolnego handlu, powinna zacząć się obawiać konkurencji.

©℗ MAREK RABIJ

TIKSA NEGERI / REUTERS / FORUM

Etiopia: konflikt bez końca

TO NIE JEST „jeszcze jedna afrykańska wojna", jak można by deprecjonująco pomyśleć, słysząc o podziałach etnicznych, lokalnej rebelii i dowódcach biorących odwet za poniżenia z przeszłości. Toczone czwarty tydzień walki w północnej Etiopii – gdzie armia tłumi bunt Tigrajów, wpływowej grupy, z której przed 2018 r. wywodziła się duża część państwowych elit – grożą długim i wyczerpującym konfliktem; mogą też wpłynąć na losy 110-milionowego państwa, dotąd regionalnej potęgi w Rogu Afryki.

Spór eskalował latem, gdy z powodu epidemii COVID-19 władze w Addis Abebie opóźniły o kilka miesięcy wybory parlamentarne. Premier Abiy Ahmed Ali zakończył wieloletnią wojnę z sąsiednią Erytreą – za co w 2019 r. dostał pokojowego Nobla – ale z pomysłu na centralizację Etiopii (jej prowincje posiadają autonomię) zrezygnować nie chce. 4 listopada, pozbawieni znaczenia w wojsku i administracji Tigrajowie wszczęli bunt.

I Ahmed Ali, i stojący na czele północnej prowincji Debretsion Gebremichael mogli sądzić, że konflikt potrwa krótko. W ostatnich dniach armia i jej sojusznicy (na zdjęciu: członkowie milicji z prowincji Amhara) okrążyła Mekelie, stolicę regionu Tigraj, a jej generałowie zapowiedzieli, że „nie będzie litości" wobec mieszkańców, jeśli do 25 listopada wieczorem nie poddadzą miasta i nie wypowiedzą posłuszeństwa swoim dowódcom. Leży ono jednak na wysokości szczytu Rysów, jest otoczone jeszcze wyższymi górami, jakby stworzonymi dla partyzantów – i wojna nie musi się skończyć wraz z jego kapitulacją.

Tymczasem z ok. 4 tys. ludzi, uciekających każdego dnia do Sudanu, połowa to dzieci. ONZ przygotowuje się tu na przyjęcie 200 tys. uchodźców. Według poufnej analizy organizacji, do której dotarła prasa, Tigrajowie stawiają etiopskiej armii większy opór, niż wynikałoby to z lektury rządowych komunikatów. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Zachodni wywiad: Kreml znów chciał zabić

ALEKSIEJ NAWALNY żyje tylko dzięki właściwej reakcji rosyjskich lekarzy, którzy w sierpniu, w Tomsku, po przymusowym lądowaniu samolotu z nieprzytomnym liderem opozycji na pokładzie podali mu atropinę. Celem Kremla, którego agentom przypisuje się otrucie polityka silnie toksycznym nowiczokiem (Moskwa temu zaprzecza), było zabicie Nawalnego.

Te wnioski, sformułowane przez zachodnie służby wywiadowcze, będą podstawą do działań na forum Organizacji ds. Zakazu Broni Chemicznej – drugi zresztą raz, gdyż w 2018 r., po ataku w angielskim Salisbury (jego celem był Siergiej Skripal, b. agent GRU pracujący potem dla brytyjskiego wywiadu) Rosja już tłumaczyła się z podobnych oskarżeń. Wielka Brytania, Niemcy i Francja są przekonane, że pomysł zamachu na największego krytyka Kremla musiał osobiście zatwierdzić prezydent Władimir Putin.

Aleksiej Nawalny zapadł w śpiączkę na pokładzie rejsowego samolotu z Tomska do Moskwy, piloci lądowali po drodze. Kilka dni później ewakuowano go do Berlina. ©℗ ŻYM

Kiedy nowe Dayton

MARTA SZPALA

Ćwierć wieku temu, 21 listopada 1995 r. w Dayton (USA) prezydenci Bośni i Hercegowiny, Chorwacji i Serbii zawarli porozumienie, które zakończyło trwającą 3,5 roku wojnę. Był to najtragiczniejszy konflikt powojennej Europy – zginęło ponad 100 tys. osób, głównie cywili, a nazwy „Sarajewo" i „Srebrenica" stały się niemal synonimami ludobójstwa. Układ zagwarantował integralność terytorialną Bośni i Hercegowiny, ale nadał konstytucję, która scementowała separację trzech narodów, tworząc skomplikowany i niewydolny system ustrojowy, oparty na parytetach etnicznych. Nie udało się doprowadzić do pojednania zwaśnionych stron. Kraj rozwija się gospodarczo, a także integruje z Unią wolniej niż sąsiednie państwa.

Dziś system służy głównie nacjonalistycznym elitom. Umożliwia rządzenie dzięki rozgrywaniu podziałów etnicznych, co odwraca uwagę od korupcji i nieudolności rządzących. Dotychczas frustracja społeczeństwa znajdowała ujście w protestach. W 2014 r. demonstrowano pod hasłem „Jesteśmy głodni w trzech językach". W 2018 r. manifestacje przeciwko bezkarności elit odbywały się równolegle w Sarajewie i Banja Luce, stolicy serbskiej części Bośni. Na początku listopada tego roku nastroje społeczne przełożyły się wreszcie na wynik głosowania. Odżegnująca się od haseł nacjonalistycznych opozycja wygrała wybory lokalne w większości dużych miast.

Według Europejskiego Sondażu Wartości w 2017 r. 74 proc. mieszkańców zadeklarowało dumę z bycia obywatelami Bośni. Przeczy to tezom nacjonalistycznych polityków, iż jest to państwo sztuczne. Zwolennicy reform mają nadzieję, że wygrana Joego Bidena przełoży się na większą aktywność USA w regionie i otworzy drogę do rewizji układu z Dayton, który, jak się tutaj mówi, był dobry, by zakończyć wojnę, ale kiepski, by zagwarantować trwały pokój. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZYSZŁOŚĆ
Jak Franciszek wyobraża sobie świat po pandemii? Odpowiedź znajdziemy w książce „Wróćmy do marzeń: droga do lepszej przyszłości", która ukaże się 1 grudnia. W rozmowach online brytyjski dziennikarz Austen Ivereigh pytał papieża m.in. o śmierć George'a Floyda, seksualne nadużycia w Kościele czy prześladowane mniejszości.

POKORA
Kardynał-nominat o. Raniero Cantalamessa (na zdjęciu), którego Franciszek włączy 28 listopada do Kolegium Kardynalskiego, zrezygnował z przysługującej mu sakry biskupiej. „Prosiłem Ojca Świętego o dyspensę od święceń biskupich. Zadaniem biskupa jest bycie pasterzem i rybakiem. W moim wieku niewiele mógłbym zrobić jako »pasterz«, a to, co mógłbym zrobić jako »rybak«, mogę dalej czynić głosząc słowo Boże" – powiedział 86-letni kaznodzieja Domu Papieskiego.

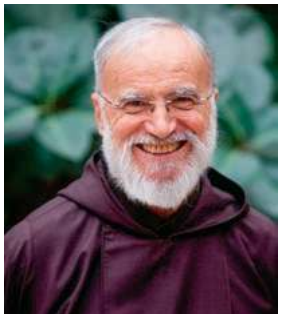

ROBERT GARDZINSKI / FORUM

POPARCIE
Obradujący wirtualnie na jesiennej sesji Synod Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP w pełni poparł Oświadczenie Konferencji Biskupów Luterańskich odnoszące się do napięć związanych z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego. „Misją Kościoła jest głoszenie Ewangelii i kształtowanie sumień, nie zaś forsowanie określonych rozwiązań moralnych poprzez narzucanie ich za pomocą regulacji prawnych w sferze państwa" – napisali luterańscy biskupi.

Jak kardynał ceni sobie papiestwo

EDWARD AUGUSTYN

10 mln euro żąda kard. Angelo Becciu od tygodnika „L'Espresso" za pozbawienie go widoków na zostanie kolejnym papieżem. W pozwie złożonym do sądu w Sassari prawnicy byłego substytuta w Sekretariacie Stanu przekonują, że cykl artykułów o malwersacjach finansowych ich klienta pozbawił go nie tylko dobrego imienia, ale też możliwości „wykonywania pracy zawodowej" i „rozwijania własnych kompetencji". 72-letni hierarcha z dnia na dzień pozbawiony został praw kardynalskich i odebrano mu szanse uczestniczenia w pracach rzymskiej kurii. Papieska decyzja pozbawiła go również perspektyw na objęcie Stolicy Piotrowej, a bezprawne – jak podkreślają adwokaci – wykluczenie Becciu z przyszłego konklawe może nawet doprowadzić do zakwestionowania wyników głosowania.

Trudno nie zauważyć, że żal i pretensje kardynała powinny być kierowane przede wszystkim pod adresem Franciszka, który podjął błyskawiczną decyzję o pozbyciu się dotychczasowego współpracownika. Ale – piszą prawnicy – jej jedynym powodem był pierwszy z serii artykułów w „L'Espresso". Z pozwu dowiadujemy się, że w czasie pamiętnej rozmowy z niespodziewającym się niczego kardynałem na biurku Franciszka leżał egzemplarz tygodnika, przekazany – prawdopodobnie przez samą redakcję – już na trzy dni przed datą wydania.

Obrońcy hierarchy zapewniają, że gdyby mógł się bronić, stałoby się jasne, że zarzuty wydawania pieniędzy ze świętopietrza na podejrzane i nietrafione inwestycje oraz na rodzinne interesy hierarchy są nieprawdziwe: nie chodziło o pieniądze przeznaczone dla biednych, ale pochodzące z tzw. funduszu rezerwowego, a bracia Becciu watykańskie zlecenia co prawda otrzymywali, ale wcale się na nich nie dorobili.

Mówienie, że czegoś takiego nie było w historii Kościoła, zawsze jest ryzykowne, zważywszy na jej dwadzieścia nie zawsze świetlanych wieków. Jednak tym razem wydaje się być wyjątkowo uprawnione. ©℗

Pasterka na stadionie?

TAKI POMYSŁ na liturgię bożonarodzeniową w reżimie sanitarnym ma proboszcz hanowerskiej parafii św. Józefa. Ks. Heinrich Plochg podpisał już umowę najmu z klubem Hannover 96. Dwa tysiące uczestników mogłoby zostać rozmieszczonych na zachodniej trybunie stadionu, zachowując odpowiednie odległości. Według wstępnej oceny Ministerstwa Zdrowia Dolnej Saksonii takie zgromadzenie spełniałoby przepisy. Problem w tym, że obecne zasady obowiązują do 30 listopada i trudno przewidzieć, czy sytuacja nie zmieni się do świąt.

Na wszelki wypadek Konferencja Biskupów Niemiec przygotowuje liturgię domową na Boże Narodzenie dla osób, które zostaną w domach. Poinformował o tym rzecznik Episkopatu Niemiec, Matthias Kopp. Broszura będzie wydana wspólnie z Radą Kościołów Ewangelickich w Niemczech. Rozdawana będzie w parafiach. Ukaże się także w wersji elektronicznej.

Fundamentem liturgii domowej jest teologia rodziny jako Kościoła domowego, która została odnowiona przez Sobór Watykański II. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Co to znaczy: prześladować z powodu religii

PAŃSTWA NA CAŁYM ŚWIECIE wprowadzają coraz więcej przepisów ograniczających wolności religijne, choć przypadków bezpośredniej agresji wobec osób wierzących nieznacznie ubywa – to wnioski z opublikowanego właśnie raportu amerykańskiego Pew Research Center. Zdaniem badaczy, już 52 państwa można uznać za znacznie ograniczające swobodę wyznania; Polska w tym rankingu sytuuje się w trzeciej, przedostatniej grupie krajów, z niskim (choć nie najniższym) wskaźnikiem restrykcji.

Sytuacja wierzących pogorszyła się najbardziej w Azji i rejonie Pacyfiku: raport PRC wymienia nie tylko wypędzenia muzułmańskich Rohingów w Mjanmie, ale także mniej znane przypadki dyskryminacji i prześladowań: więźniów religijnych (również wyznawców islamu) w Uzbekistanie; w Armenii arbitralne zatrzymania wyznawców bahaizmu, monoteistycznej religii z korzeniami w Persji; deportacje misjonarzy Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego z Filipin; wreszcie: zakazy działalności w Chinach dla członków ruchu Falun Gong i mniejszych wspólnot chrześcijańskich, a także przetrzymywanie przez ten kraj w obozach od 800 tys. do 2 mln Ujgurów, Kazachów i innych muzułmanów. ©℗ ŻYM

KULTURA W SKRÓCIE

REŻYSERIA W KATOWICACH
Pięć spektakli zmierzy się w tegorocznej, 20. edycji Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej Interpretacje w Katowicach. Na festiwalowej stronie obejrzymy również startujące w osobnym konkursie spektakle Teatru Telewizji, filmy dokumentalne i krótkometrażowe, a także posłuchamy słuchowisk radiowych – wszystkie dostępne są bezpłatnie.

WZORNICTWO W SIECI
Animowaną historię polskiego wzornictwa obejrzymy z kolei na ko-lekcje.pl. Pierwszy film serii opowiada o narodzinach stylu zakopiańskiego i jego twórcy Stanisławie Witkiewiczu. Drugi skupia się na sukcesie Polaków na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych i Nowoczesnego Przemysłu w Paryżu w 1925 r., na której zdobyliśmy 35 nagród Grand Prix. Trzeci przybliża moment narodzin awangardy.

CUMY W STOCZNI
Na terenie Stoczni Gdańskiej – w budynku Hartowni przy Żurawiu M3 – powstało miejsce dla rzemieślników, projektantów i twórców nowych technologii. Zapewnia ono m.in. warsztaty stolarskie i ślusarskie, laboratorium drukowania 3D i biomateriałów. Ruszył także cykl szkoleń.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „Tygodnika" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Zapraszamy do słuchania.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

BARCROFT MEDIA / GETTY IMAGES

BYŁ LEGENDĄ. Gwiazdą kina i obserwatorem gwiazd. I właśnie umiera. 305-metrowa czasza radioteleskopu Arecibo z Portoryko jest znana nawet obojętnym na naukę. Zagrał w filmach „Kontakt", „Goldeneye", „Archiwum X". Szukał asteroid, obcych cywilizacji, wysłał wiadomość do Gromady Herkulesa (dotrze za 25 tys. lat). W 1990 r. prof. Wolszczan odkrył tu pierwsze planety pozasłoneczne. Urządzenie przetrwało huragany i cięcia budżetowe, ale dopadł je wiek. Zerwały się dwa kable, na których wisi 900-tonowa platforma z instrumentami. Nie ma szans na naprawę. Pozostaje wyburzyć teleskop, zanim jego wieże runą na okoliczne budynki. Ale to nie koniec odkryć. Przez 60 lat Arecibo zgromadziło 3,5 petabajtów danych, które wciąż są badane. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Latanie i klimat: połowa problemu

MARCIN ŻYŁA

Dwa lata temu w Szwecji narodził się termin „*flygskam*" (wstyd przed lataniem). Promowała go m.in. aktywistka Greta Thunberg – aby uczestniczyć w konferencji klimatycznej w Nowym Jorku, przepłynęła Atlantyk jachtem (choć potem organizatorzy rejsu po jacht już przylecieli). Sformułowany na postawie *flygskam* postulat porzucenia podróży lotniczych zyskiwał zwolenników na całym świecie – tuż przed pandemią u naszych sąsiadów zza Bałtyku odpowiadając już za 4-procentowy spadek frekwencji w samolotach, głównie na trasach krajowych. W minionym tygodniu badacze Uniwersytetu Linneusza w Växjö i Kalmarze opublikowali jednak analizę ruchu lotniczego, z której wynika, że skuteczniej niż na obarczaniu winą za wzrost emisji wszystkich pasażerów byłoby skupić się na... co setnym z nich.

Powód? Po sprawdzeniu danych o lotach pasażerskich w 2018 r. okazało się, że tylko 1 proc. podróżujących samolotami (tzw. *frequent flyers*, osoby co najmniej trzykrotnie podejmujące w roku dłuższy lot międzykontynentalny) odpowiada aż za połowę emisji do atmosfery szkodliwych substancji. Choć nie unieważnia argumentu o wpływie postawy każdego z nas na klimat, analiza szwedzkich naukowców prowadzi do wniosku, że do zmniejszenia globalnego śladu węglowego najbardziej przysłużyłyby się działania skupione na uczestnikach lotniczych programów lojalnościowych. Przede wszystkim – na Amerykanach, którzy odpowiadają za więcej emisji niż pasażerowie z dziesięciu kolejnych w rankingu państw. Co więcej, latanie nie jest tak powszechne, jak by się mogło wydawać – w 2018 r. do samolotu wsiadło zaledwie 11 proc. mieszkańców planety (tylko 4 proc. poleciało za granicę).

W tym roku pandemia COVID-19 ograniczy podróże lotnicze o mniej więcej połowę. Przykład Chin, w których po wiosennej fali epidemii dość szybko powrócono do latania, pokazuje, że za 2-3 lata także światowe statystyki wrócą do poprzedniego stanu. Przed państwami i liniami lotniczymi jest więc trochę czasu na wypracowanie nowej strategii – zgodnej z tezą, że umiar bywa zdrowszy od abstynencji. ©℗

TEMAT TYGODNIKA

SZKOLNE PLAGI WSPÓŁISTNIEJĄCE

Przez etapy epidemii władza oświatowa prowadziła nas dotąd na oślep. Teraz przegapia kryzysy, które zostaną z nami po opadnięciu chorobowych krzywych.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Na przerwie w I Liceum Ogólnokształcącym w Białymstoku, 25 września 2020 r.

10 października, sobota. Minęło sześć tygodni nauki – szkoły pracowały od września pełną parą. Nauczyciele i dyrektorzy czekali tego dnia na wystąpienie Mateusza Morawieckiego – być może rząd wyśle choć część klas na nauczanie zdalne.

Były ku temu powody: po godz. 10 ogłoszono 5300 nowych zachorowań na COVID-19 – to względem początku września wzrost o ok. tysiąc procent. Były też 53 zgony, a w przeddzień Ministerstwo Edukacji Narodowej donosiło o ponad tysiącu placówek częściowo lub całkiem zamkniętych przez sanepidy (wzrost względem pierwszego tygodnia nauki: tysiąc kilkaset procent). A i tak te szkolne dane zakłamywały obraz zdarzeń: w MEN-owskich tabelkach nie było zakażonych nauczycieli ani dyrektorów wydzwaniających w desperacji do stacji sanitarnych. Eksperci mówili: otwarte szkoły nam szkodzą. Taki był też przekaz polskich immunologów, np. dr. Pawła Grzesiowskiego, i ekspertów na świecie: np. „The Lancet" pisał, że otwarcie szkół było jednym z głównych źródeł transmisji wirusa.

Co zrobił 10 października premier? Mówił o „niewielkim procencie" zamkniętych placówek i chwalił przyjętą jakoby przez resort oświaty strategię.

Fundacja „Przestrzeń dla edukacji", jedna z wiodących organizacji pozarządowych, postanawia wtedy tę strategię sprawdzić. Pyta MEN o nazwiska lekarzy i epidemiologów, z którymi konsultowano plany na pracę szkół od 1 września, i o ekspertów, których radzono się w sprawie ewentualnych październikowych ograniczeń. Konkretnych odpowiedzi nie dostaje.

„Ministerstwo nie zamówiło żadnych ekspertyz naukowych (...) ani nie dysponowało stałym zespołem naukowców, którzy we wrześniu i w październiku byliby gotowi do bezpośrednich konsultacji z decydentami" – piszą we wnioskach działacze fundacji.

– Poprzedniego ministra, Dariusza Piontkowskiego, historia zapamięta niestety z tych kilku stwierdzeń: „mury nie zarażają" albo „przytłaczająca większość szkół pracuje normalnie" – mówi dziś szefowa organizacji Iga Kazimierczyk. – Długo można było bezkarnie pokazywać grafiki i wmawiać ludziom, że nic takiego się nie dzieje. Teraz widzimy, na czym polegała „rządowa strategia". Na braku strategii.

Dziś szkoły działają zdalnie. Trwa dziewiąty miesiąc od początku *lockdownu*, kończy się szósty miesiąc huśtawki, jeśli ↦

↦ chodzi o pracę szkół. To już nie są chwilowe turbulencje. Problemy, które epidemia albo wywołała, albo „tylko" wyostrzyła – zostaną na lata. To szkolne „plagi współistniejące". Mniej spektakularne niż bankrutujący przedsiębiorcy. Mniej dramatyczne niż karetka krążąca z umierającym pacjentem.

Ciche, pełzające kryzysy, na które polska szkoła nie ma odpowiedzi.

PLAGA PIERWSZA: ZREZYGNOWANI

Takich nauczycieli zawsze było sporo. Tyle, że epidemia dołożyła do puli wypalonych nowe przypadki.

A. uczyła klasy 1-3 w niedużej miejscowości na południu. 30 lat stażu – kilka do emerytury. Sprzed epidemii zapamiętała momenty zwrotne: kolejną bezsensowną reformę, przegrany strajk, do tego nagonkę na nauczycieli.

– Na to nałożyło się nauczanie zdalne – opowiada. – Za miesięczną pensję kupiłam komputer, ale i tak nie mogłam połączyć się z niektórymi dziećmi. W wielu domach mało przestrzeni, rodzice pracujący *online*, starsze rodzeństwo zajmujące komputer. Dzieliłam czasami klasę na dwie grupy, co oznaczało więcej pracy. Bez przerwy wpatrzona w ekran, od rana do wieczora w alercie. *Lockdown*, więc nie było jak wyjść do lasu, a zawsze to kochałam. Uśmiechałam się do dzieci, bo one patrzą, a oko kamery jest skierowane na mnie. Psycholodzy mówili, żeby dawać dzieciom wytchnienie, więc był i uśmiech, i żarcik, i zabawa. Sama wspomagałam się łagodnymi środkami uspokajającymi. A w czerwcu poczułam, że nie mam na nic siły. Budziłam się ze skurczem w żołądku. Z dziecięcym pragnieniem, by zasnąć i obudzić się po wszystkim. Wstawałam ze łzami, szłam do komputera. Przetrwałam jakoś do końca.

B. też uczyła klasy 1-3, tyle że w dużym mieście. Ponad 30 lat stażu. Nauczycielka z pasją, jak o sobie mówi. – Kiedy epidemia wiosną zaczęła się rozkręcać, poczułam lęk, choć ciągle miałam nadzieję, że fala opadnie, bo cierpię na choroby przewlekłe – opowiada. – W sierpniu był dzień, w którym odnotowano dwa tysiące przypadków. Ten miesiąc to była gehenna: miotałam się od chęci powrotu do pracy po strach. Niemoc, płacz, problemy ze snem. I wizje: uczniowie bez maseczek, podchodzący blisko, czasem chcący się przytulić.

Podobne historie słyszą od wiosny psychologowie i psychoterapeuci. Np. dr Konrad Ambroziak, szef Fundacji Psychoedukacja, która zajmuje się zdrowiem psychicznym uczniów i nauczycieli, i która jesienią nawiązała współpracę ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, by pomóc w interwencjach kryzysowych.

Według Ambroziaka na nauczycieli działa dziś presja z trzech źródeł. Po pierwsze ze strony władz, które utrzymały wymagania na poziomie sprzed epidemii. Po drugie od rodziców, na których spadł dodatkowy ciężar, i którzy wyładowują czasem frustracje na szkołę. Po trzecie: z powodu lęku o dzieci.

– W dodatku są coraz dalej od sytuacji, które kiedyś ich wzmacniały: spotkań z innymi pedagogami, możliwości wyjścia na zewnątrz, zadbania o siebie – mówi szef Psychoedukacji. – Muszą czerpać wyłącznie z motywacji wewnętrznej, a o to coraz trudniej. Zwłaszcza że to grupa nieprzywykła do sięgania po pomoc. Prędzej już do tłumienia swoich problemów.

Po wsparcie, owszem, sięgają, ale zwykle w ostateczności. – Wśród pacjentek miałem starszą nauczycielkę, która przyszła po zaświadczenie do wniosku o roczny urlop dla poratowania zdrowia – opowiada Paweł Kukiz-Szczuciński, psychiatra przyjmujący młodzież i dorosłych w Kielcach. – Nigdy nie podpisuję z automatu zwolnień, a tu wątpliwości nie miałem: poza powodami czysto somatycznymi, ta pani po prostu bała się zarażenia i śmierci.

A i B. też już nie pracują – W wakacje na widok ikonki Zoom dostawałam skurczy żołądka – mówi pierwsza z nich. – Rozważałam leczenie u psychiatry, gdyby moje problemy z gardłem nie wystarczyły do decyzji komisji lekarskiej. Wystarczyły: od września jestem na rocznym urlopie.

B. czuła się z myślą o odejściu tak, jakby miała porzucić własne dzieci. Na razie jest na zaległym urlopie, ale wkrótce przejdzie on we wcześniejszą emeryturę. – Będąc już jesienią poza szkołą, dowiedziałam się o przypadkach śmierci nauczycieli – opowiada. – Byłam przerażona: zostaliśmy potraktowani jak mięso armatnie. Dziś wiem, że nie wrócę. Dzieci, wnuki, mam dla kogo żyć. Gdy podjęłam decyzję, napisałam do uczniów list. Podobno później pytały: „Czy nasza pani ma choroby współistniejące i umrze?". W liście wszystko wyjaśniłam. Podziękowałam, napisałam życzenia, i że będę ich zawsze pamiętać.

Historie A. i B. to część trendu: niepełne jeszcze dane ZNP pokazują, że niemal 6 tysięcy pedagogów poszło po marcu na emeryturę bądź świadczenie kompensacyjne (przysługuje nauczycielkom 55+), a 3,5 tys. na roczny urlop zdrowotny. Związkowcy nie mają wątpliwości: duża część tych decyzji to pokłosie epidemii. – Tylko w naszym okręgu takich osób było w sumie 1580 – mówi Grażyna Hołyś-Warmuz ze śląskiego ZNP. – I mimo że to dane niepełne, liczba podwoiła się względem poprzednich lat. Może jeszcze wzrastać, razem z falami depresji czy wypalenia. A braki na rynku są już teraz duże. Wkrótce możemy mieć kadrową katastrofę.

PLAGA DRUGA: NIERÓWNI

Istnieli, istnieją i istnieć będą. Tylko, że koronawirus zabrał jedyną przestrzeń wspólnego spotkania: stacjonarną szkołę.

Paweł Kukiz-Szczuciński, prywatnie ojciec dwóch synów, mieszka na świętokrzyskiej wsi.

– Starszy, uczeń klasy z maturą międzynarodową publicznego, ale dobrego liceum powiedział podczas nauczania zdalnego, że daje mu ono 30 proc. tego, co dawało stacjonarne. Więc jeździ do Kielc na prywatne korepetycje z fizyki, chemii i matematyki. Młodszy jest w prywatnej podstawówce z mało licznymi klasami, więc nauka zdalna przebiega sprawnie. Mieszkamy w domu o powierzchni 160 metrów, więc każdy może się zaszyć we własnym pokoju. Każdy ze swoim komputerem. Cieszę się, że mnie na to stać. Ale też naokoło widzę, w jakich warunkach uczą się dzieci, i jakie to może mieć skutki w przyszłości.

W Kielcach, gdzie przyjmuje jako psychiatra, Szczuciński widzi ludzi mieszkających na 40 metrach, bez odpowiedniego sprzętu, w dodatku z kłopotami: np. z awanturującym się ojcem

RDC POLSKIE RADIO
W każdą środę o godz. 7.30 dziennikarze i autorzy „Tygodnika" goszczą w programie Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

alkoholikiem. Na wsi widzi sąsiednie miejscowości bez sieci. To problem nie tylko tutaj: na wiosnę bywało, że nauczyciele z terenów wiejskich wysyłali zadania esemesami. Albo rozwozili je rowerami, zostawiając na furtkach.

Mechanizm nierówności obrazował we wrześniu na łamach „TP" socjolog dr hab. Przemysław Sadura: „Z pierwszych tygodni epidemii zapamiętałem wyniki ankiety Librusa (...) Aż 60 proc. pytanych stwierdziło, że w czasie pierwszych tygodni pracy zdalnej swoich dzieci musieli spędzać z nimi przy nauce trzy lub więcej godzin dziennie! (...) A że rodzice są różni – różna jest ich świadomość, możliwości czasowe, ekonomiczne – można śmiało powiedzieć, że polska szkoła wraz z przejściem w nauczanie zdalne przeszła też w tryb reprodukowania nierówności".

Teraz trwa już w tym trybie pół roku. Ogłoszone niedawno wyniki raportu zespołu naukowców (m.in. UJ, UW i Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie) nt. kształcenia zdalnego potwierdzają, że to na rodziców spadł większy niż przed pandemią ciężar. A analizy wyników jednego z członków zespołu, socjologa edukacji dr. hab. Piotra Długosza z UP pokazują, jak bardzo status materialny i kulturowy rodzin wpływa na edukację dzieci. – Np. dostęp do sieci pozwalający na pełne uczestnictwo w zajęciach deklarowało 85 proc. tych z wyższym statusem, ale już 60 proc. z niższym – mówi naukowiec, zastrzegając, że dysproporcja może być i tak niedoszacowana, bo do badania zastosowano ankiety internetowe. – Z kolei posiadanie wiedzy z przedmiotów pozwalającej na wspieranie dzieci deklaruje 75 proc. rodziców z wysokim statusem, 44 ze średnim i tylko 22 z niskim. Wniosek jest oczywisty: niektóre dzieci są skazane na porażkę.

Te zaś z bogatszych rodzin mogą liczyć na dodatkową premię: wysyp ofert e-korepetycji. – Z moich badań sprzed epidemii wynikało, że np. w Krakowie 60 proc. uczniów liceów korzystało z dodatkowej pomocy – mówi dr hab. Długosz. – Teraz takich badań nie ma, ale na pewno rozwój tego rynku wpłynie na dalsze rozwarstwienie.

Epidemia spowoduje też zapewne odpływ uczniów z oświaty publicznej. Obserwowany już przed epidemią (zeszłoroczny raport „Our Kids" pokazał, że liczba uczniów poza tym sektorem wzrosła w ciągu pięciu lat o 30 proc.), teraz jeszcze przyspieszył, co widać np. w Warszawie. – To będzie słodko-gorzki efekt pandemii – uważa Iga Kazimierczyk. – Słodki, bo pokazuje starania rodziców o lepszą edukację dzieci. Gorzki, bo to zabawa dla wybranych.

Tymczasem gdy na wiosnę gruchnęła wieść o setkach dzieci całkowicie wykluczonych z nauczania, minister Piontkowski mówił, że dzieci opuszczające lekcje istniały też przed epidemią. – A jesienią MEN, ustami drugiego już szefa, Przemysława Czarnka, potwierdził, że go to zjawisko nie interesuje – dopowiada Iga Kazimierczyk. – Minister miał do powiedzenia tyle, że uczniowie poza prawami mają też obowiązki. A w tej chwili to już nie jest sytuacja przejściowa. To drugi rok szkolny z zaburzoną pracą placówek. Dla dziecka z klas 1-3 rok to jak wieczność: kto nie ma świadomych i w miarę zasobnych rodziców, ten może się już z zaległości nie wygrzebać.

PLAGA TRZECIA: SAMI

Byli i wcześniej, ale ich problemy częściej wychwytywali dorośli.

– Żadne fajerwerki, zwykłe obrazy codziennego życia: siedzę sobie w swoim gabinecie na piętrze i przychodzi do mnie 8-letni chłopiec. Zachwycony, że jakiś dorosły z nim rozmawia, patrzy na niego, jest na nim tylko skupiony. Widać, że to są dla niego krótkie chwile szczęścia – opowiada Krzysztof Sarzała, pedagog, socjoterapeuta, koordynator gdańskiego Centrum Pomocy Dzieciom prowadzonego w ramach Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

Typowy pejzaż wokół młodych ludzi według gdańskiego socjoterapeuty? Rówieśnicy: brak. Rodzice: skupieni na trudniejszej niż przed marcem pracy. I na sobie. Szkoła? – Zafiksowana na Zoomach, Teamsach, łączeniach. Na wypełnianiu papierów, na wymaganiach dyrektorki. Na didaskaliach. Ci, którzy powinni być na tej scenie najważniejsi, są w tle.

Ich lęki? „O zdrowie, o przyszłość, o szkołę, o egzaminy – opowiadała nam kilka miesięcy temu Paula Włodarczyk, koordynatorka telefonu zaufania FDDS. – O relacje z rówieśnikami. O związki, które się za sprawą epidemii sypią (...) Opowiadają o przemocy, która albo pojawiła się z powodu dodatkowego napięcia w domu, albo trwała wcześniej, a ostatnio się nasiliła".

To nasilenie Fundacja próbowała uchwycić w niedawno ogłoszonych (współtworzonych przez ASM Centrum Badań i Analiz Rynku) wynikach badań. 27 proc. dzieci i młodzieży doświadczyło w czasie epidemii przynajmniej jednej z dwunastu form krzywdzenia, co dziewiąte przemocy ze strony bliskiego dorosłego, a co dziesiąte wykorzystywania seksualnego (w tym 3 proc. – z kontaktem fizycznym). Co istotne, jedno dziecko na jedenaścioro „nie ma nikogo, kto mógłby zaoferować mu wsparcie w trudnej sytuacji".

– Właśnie ten ostatni wskaźnik robi na mnie największe wrażenie – mówi Krzysztof Sarzała. Choć jego Centrum pomaga głównie dzieciom w ciężkim kryzysie – np. przemocy – to według niego najpowszechniejszy problem czasu epidemii jest mało spektakularny: to samotność.

– Będzie więcej depresji, bo ci najbardziej na nią narażeni nie mają wentyla w postaci relacji rówieśniczych – prognozuje Paweł Kukiz-Szczuciński. – Szkoła ma kolosalne znaczenie społeczne, którego nie doceniamy. Jest teraz jeszcze większy problem z dostępem do specjalistów, a nigdy nie ma problemu z dotarciem do dealerów. Najsłabsi nie wytrzymują. Jeden z ostatnich weekendów spędziłem z rodziną, która przeżyła dramat: nastolatek popełnił samobójstwo. Przyczyną były długotrwałe problemy, ale obecna sytuacja na pewno nie pomogła.

– Skupiamy się na grupie uczniów, którzy za sprawą przerwanych kontaktów cierpią w izolacji – dodaje dr Ambroziak. – Ale jest też inna: cierpieli na lęki i fobię społeczną w szkole, teraz pozornie przyjęli *lockdown* z ulgą. Pozornie, bo im mniej konfrontujemy się z lękami, tym gorzej sobie z nimi radzimy. Boję się powrotu tych dzieci do stacjonarnej nauki.

Czy polska szkoła po otwarciu będzie w stanie skonfrontować się z traumami? Opublikowany w 2017 r. raport NIK pokazał, że niemal połowa placówek nie zatrudnia na etacie ani pedagoga, ani psychologa. – Pieniędzy na te etaty nie było przed epidemią, teraz nie będzie ich jeszcze bardziej – wieszczy Iga Kazimierczyk. – Tymczasem i nasza znajdująca się w potężnym kryzysie psychiatria dziecięca, i edukacja funkcjonują tak, jakbyśmy byli społeczeństwem szczęśliwców. Widać to po kontrolach kuratoriów: dotyczą realizacji podstawy programowej, programów profilaktyczno-wychowawczych, a ostatnio tropienia „lewackich ideologii". Emocje przegapiamy systemowo. ↦

PLAGA CZWARTA: ZAJECHANI

Byli w szkole od zawsze – teraz dołączyli do nich rodzice.

↦ J., ojciec tegorocznej maturzystki: – Córka jest w klasie maturalnej i ciągle narzeka, że nie daje rady. Dzisiaj się popłakała, bo dostała słabą ocenę z polskiego, a zawsze miała świadectwo z paskiem. Nauczyciele straszą maturą i naciskają.

M., młoda matka trzecioklasisty z krakowskiej podstawówki, opowiada historię z wiosny. O dziesiątkach maili z zadaniami („Do obejrzenia, odsłuchania, wykonania w podręcznikach, zeszytach; do wydrukowania, wypełnienia i odesłania w formie zdjęć/skanów"). O bezskutecznych prośbach rodziców, by zmniejszyć ilość materiału. O dezorganizacji życia rodziny („Oboje pracowaliśmy z domu, młodszy syn siedział przed bajkami po 6 godzin dziennie, starszy nie mógł się odnaleźć; dużo stresu, napięć, lekcje kończył wieczorem, bo dopiero po pracy mogliśmy coś zadziałać"). O postanowieniu, by odpuścić. Wreszcie o zmianie tej decyzji.

– Pod koniec maja dostałam maila z brakującymi zadaniami: 24 lub 25 pozycji – relacjonuje M. – I informację, że ich nieodesłanie może spowodować brak klasyfikacji albo obniżenie stopnia. Tak nas to spięło, że na gwałt zaczęliśmy odszukiwać porozsypywane po domu kserówki, dodrukowywać te brakujące i zaganiać dziecko do ich wypełnienia. Siedział nad tym tydzień. Wysłałam pierwszy pakiet i dostałam kolejnego maila: że brakuje zadania w ćwiczeniach, to z książki jest do poprawy, i że nie przysłaliśmy dwóch prac plastycznych. Zakończenie roku było dla mnie szczęściem. Ale byliśmy w takim emocjonalnym pacie, że wylądowaliśmy razem u psychologa.

Ta historia to nie tylko portret jednej szkoły – także całego systemu. I po części pokłosie ministerialnych decyzji z wiosny. A właściwie braku decyzji. Tuż po rozpoczęciu *lockdownu* niektórzy rodzice i nauczyciele postulowali: dajcie spokój naszym dzieciom; wykorzystajmy *lockdown* na oddech, refleksję, ewentualnie naukę tego, co sami nauczyciele i ich uczniowie uznają za ciekawe i ważne. Bez skutku: MEN podjął decyzję o przywróceniu pełni wymagań. Kolejny postulat brzmiał: zredukujmy wymagania z przeładowanych nawet na warunki normalnej nauki podstaw programowych. I ten głos pozostał bez echa.

Konkret padł w zeszłym tygodniu: rząd zapowiedział zmniejszenie wymagań na najbliższej maturze i egzaminie ósmoklasisty. Ma być m.in. mniej zadań i wymaganych lektur. – To decyzja idąca w dobrym kierunku – mówi Iga Kazimierczyk. – Tyle że po pierwsze spóźniona o kilka miesięcy, po drugie dotycząca tylko niewielkiej części uczniów.

A nawet tylko części zdających egzaminy: ci, którzy przystąpią do testów ósmoklasisty w roku 2022 i kolejnych nie tylko nie mogą liczyć na ulgę, ale zostaną dociążeni – wedle powziętych wcześniej ministerialnych planów dodany zostanie do egzaminu czwarty przedmiot (do wyboru: historia, biologia, chemia lub fizyka), zaś na tym z polskiego ósmoklasista będzie musiał znać wszystkie lektury od 4 klasy. Interweniować w tej sprawie próbowali nauczyciele akademiccy z ośrodków w całej Polsce, pisząc list otwarty do MEN. I chcąc ratować przed zmianą przynajmniej dwa roczniki, dzisiejszych szósto- i siódmoklasistów, wśród których wielu poszło do szkół w wieku 6 lat. Odzewu na list brak.

– Minister Kopeć [podsekretarz stanu w MEN – red.], zapytany o tę zmianę podczas ubiegłotygodniowej konferencji, wyglądał na człowieka, który po raz pierwszy o tej sprawie słyszy – komentuje Iga Kazimierczyk. – Po czym padła odpowiedź, że urzędnicy się nad tym zastanowią. To reakcja mało konkretna, podobnie jak zapowiedzi okrajania podstaw programowych. Ja już bym przy nich w środku roku nie majstrowała, za to dałabym nauczycielom i dyrektorom autonomię w decydowaniu, z czego rezygnować. Ten kołowrotek pod nogami „chomików", czyli uczniów i nauczycieli, pędzi tak szybko, że wszyscy się już dawno powywalali. Powinni teraz mieć możliwość regulacji nowego tempa. Choć nie mam wielkiej nadziei, że taką możliwość dostaną.

– Świat mówi nam głosem tej epidemii: zatrzymajmy się – podsumowuje Krzysztof Sarzała. – A my nie chcemy tego komunikatu usłyszeć. Nie chce go usłyszeć także szkoła. Pamiętam, jak wiosną przez chwilę się zachwycaliśmy, że słychać śpiew ptaków i nie jeżdżą samochody. Zachwyciliśmy się przez moment. Teraz pędzimy, wymagając od naszych dzieci, żeby pędziły razem z nami.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To nie czas dla bohaterów

JAN WRÓBEL, NAUCZYCIEL:

Receptę na obecny kryzys i dla dzieci, i dla nauczycieli wyśpiewał Johnny Cash w „One", które puściłem uczniom na zdalnej lekcji. Carry each other. Wspierajmy się.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Udajemy?

JAN WRÓBEL: Kiedyś też udawaliśmy, tylko inaczej.

Co w takim razie się zmieniło?

Lockdown pokazał wyraźniej coś, co wiemy od dawna: polska edukacja ma charakter „wyspowy". To tylko pozornie struktura feudalna: nauczyciele, nad nimi dyrektorzy, a nad nimi jacyś kontrolerzy. Tworzymy wyspy – czasami jest nią lepsza szkoła, innym razem taki archipelag wysepek tworzy w ramach jednej i tej samej placówki kilkoro dobrych nauczycieli. I kiedy na te wszystkie wyspy zadziałał ten sam silny impuls, każda z nich zareagowała obroną swojego stanu posiadania.

Kreatywni są bardziej kreatywni, udający bardziej udają?

W dodatku jak jesteś rodzicem, świadkiem zdalnej nauki, to wszystko widzisz wyraźniej. Wyczuwasz bez trudu, które zadania przesłane przez internet to fałszywka i próba zawarcia kontraktu: ja udaję, że wam coś zadaję, wy udajecie, że coś robicie.

Tymczasem wymagania zostały po staremu.

A przecież zawsze były nierealne. Często zadaję nauczycielom jedno pytanie, a oni mi nie odpowiadają, prawdopodobnie ani nie chcąc mi przy-

znać racji, ani kłamać. Otóż gdyby przeciętna polska szkoła próbowała przerobić wszystko, czego przerobienia się wobec niej wymaga w podstawach programowych, to by została z 15, maksymalnie 20 proc. uczniów.

Co z resztą?

Reszta by odpadła, bo te wymagania to jak 40 godzin solidnej pracy korporacyjnej – w dodatku bez zapłaty. Taka jest prawda o polskiej szkole: odkąd ją pamiętam, stawia przed uczniami i nauczycielami wiele różnych zadań i umiejętności do wykształtowania, z których każda z osobna może i jest uzasadniona, ale razem wzięte stanowią nonsens. W czasach przed koronawirusem powiedziałbym na ten temat coś, co teraz może zabrzmieć niestosownie.

Zaryzykujmy.

Gdzie by była ta polska szkoła, gdyby nie rokroczna fala zachorowań na grypę i anginę.

Zmuszają nas, by przerwać bezsensowną pogoń?

Nie ma siły: nauczyciele nie przychodzą wtedy do szkoły, a jak przychodzą, to mają w klasie połowę stanu liczbowego, więc nie mogą pędzić z materiałem. Gdybyśmy tak wszyscy chodzili zawsze – uczniowie i nauczyciele – jak jest przykazane w planie, gdybyśmy odrabiali te wszystkie prace domowe, gdybyśmy chcieli wykształcić w uczniach wszystkie te umiejętności zapisane grubym drukiem w podstawach programowych, nie zapominając wszak o bagażu podstawowej erudycji w dziedzinie biologii, chemii, fizyki, polskiego, matematyki – wszystko po kilku miesiącach by szlag trafił. Na szczęście mamy ferie, szkolne święta. No i te choroby. To jest nasz bufor bezpieczeństwa.

Tylko że ten bufor nie działa na władze oświatowe: od ośmiu miesięcy udają, że nic się nie stało. Dopiero ostatnio minister Czarnek zaczął przebąkiwać o odchudzeniu podstaw programowych.

Zwykle staram się nie krytykować ministrów, zanim zdążą pobyć tymi ministrami przez kilka miesięcy. To zbyt łatwe. Dla ministra Czarnka mogę zrobić wyjątek – dla dobra szkoły. Otóż uznał on, że zajmowanie się oświatą jest zbyt

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

JAN WRÓBEL jest publicystą, byłym dyrektorem liceum w warszawskim Zespole Szkół Bednarska, nauczycielem historii.

skomplikowane, za to mówienie różnych rzeczy skomplikowane nie jest.

Zwłaszcza jeśli jest to opowiadanie historii o marksistach i napadającej na szkoły „ideologii LGBT".

Kogo za burka najęli, ten szczeka. Myślę, że wybrał na swój sposób racjonalnie. Na zajmowanie się oświatą nie ma w jego optyce czasu, wybory mogą się przecież odbyć nawet za pół roku. Lepiej skupiać na sobie ogień krytyki – jak cię krytykują, znaczy, że jesteś ważny.

A wracając do odchudzania podstaw: jest dla mnie pewne, że ta operacja okaże się funkcjonalną i intelektualną porażką.

Bo?

Bo tajemniczy ministerialni eksperci obetną to, co i tak do tej pory – z przyczyn opisanych powyżej – obcinali nauczyciele. Darują nam jak Zagłoba Niderlandy. Jeśli to będzie miało jakieś znaczenie, to tylko psychologiczne: wielkiej przemiany polskiej szkoły to nie spowoduje.

Co by ją spowodowało?

Tylko jedna decyzja: szkoła przez pięć miesięcy realizuje postawę programową, a przez trzy pozostałe realizuje to, co chce realizować.

W polskiej szkole nie do pomyślenia.

A to wskutek idiotycznego nawyku instytucji. Nie kontrolują tego, co ważne. I to niekoniecznie dlatego, że są tępe. Po prostu nie bardzo wiadomo, jakimi narzędziami zbadać fakt, że uczeń przyszedł do szkoły naburmuszony i na „nie", a po kilku miesiącach za sprawą dobrego nauczyciela stwierdził, że w tej historii jest jakaś uwodzicielska siła. Po latach, jak zostanie gwiazdą rocka albo telenoweli, to powie dziennikarzowi, że wówczas nastąpił w jego życiu jakiś ważny moment. „Miałem 14 lat, wszystko wydawało mi się głupie, a wtedy zobaczyłem, że myślenie jest fajne".

Może i tak powie, tylko jak to dzisiaj zmierzyć?

Minister Piontkowski nie mógł już na wiosnę pomyśleć: skoro jest epidemia, skoro pracujemy na pół gwizdka, to skończmy z tym teatrem i urealnijmy wymagania?

Nie mógł, bo nie był – wbrew nazwie – ministrem edukacji, tylko człowiekiem od administrowania edukacją. Niemal nikt się na czele tego resortu nie zajmował oświatą, z wyjątkiem może Mirosława Handkego czy Katarzyny Hall, która miała zresztą z tego powodu kłopoty. Wszyscy pozostali, na czele z Piontkowskim, szefowali Ministerstwu Wiecznego Chaosu albo Ministerstwu Wiecznego Zaczynania Wszystkiego od Zera.

A wystarczyło zrobić prostą rzecz.

Jaką?

Skorzystać z doświadczeń. Od marca szkoły w innych krajach zaczęły uczyć zdalnie: należało rozmawiać z fachowcami, nauczycielami od Strasburga po Helsinki, od Koluszek po Warszawę, zebrać te doświadczenia, spisać je, a następnie wdrażać – inne w szkole bez komputerów, inne w tej, gdzie komputery są, ale nie ma np. dobrych metod.

W Prawie i Sprawiedliwości zwyciężyła koncepcja: nie należy mówić, że koronawirus na jesieni wróci, bo to może spowodować społeczny niepokój. No więc minister, który nie jest ważnym politykiem obozu prawicy, po prostu słusznie odczytał ten komunikat: „Aha, czyli mam prowadzić tę firmę tak, by był spokój".

Ale to nie jest tak, że u nas działano na oślep, a wszędzie indziej na świecie sprawnie.

Oczywiście. Co więcej: wszędzie podniosła się podobna do naszej fala krytyki. Że wysłano dzieci do domów, że zwolniono z domów do szkoły, że za szybko ↦

↦ do domu, że za szybko do szkoły itd. Wszędzie też z krytyką spotkało się nauczanie zdalne.

Widzi Pan jakieś korzyści z tego nauczania?

Naturalnie: zobaczyliśmy, że zdalne lekcje mogą się stać komponentem nauczania. Przecież od lat się domagamy, by wyciągnąć szkołę ze szkoły. No więc teraz – z różnym skutkiem – to się właśnie stało. W pierwszym odruchu starano się, by te lekcje były rodzajem przetrwalnika do czasu, aż wreszcie wrócimy „tam, gdzie nasze miejsce". A potem wielu się połapało: właściwie dlaczego tak to traktować?

I co z tą świadomością zrobiło jesienią ministerstwo?

Nic. Nauczanie hybrydowe nie tylko nie dostało wsparcia, ale było wręcz zwalczane: dopuszczano je, gdy wypowiedział się na ten temat sanepid...

...znana i szanowna instytucja oświatowa.

Tymczasem to powinien być od września podstawowy format nauczania. Wygrała doktryna: my, oświata narodowa, nie generujemy napięcia. No więc przerwano eksperyment w momencie, gdy coś zaczęło się zeń wyłaniać.

Zejdźmy na ziemię, z systemu do ludzi. Napisał Pan kilka lat temu wraz z córką książkę: „Jak przetrwać w szkole i nie zwariować" – dla uczniów, nauczycieli i rodziców. Zanim zacznie Pan radzić innym, muszę się upewnić: Panu przez te miesiące udało się nie oszaleć?

Zaskakująco dla mnie – udało się to całkiem dobrze. Sam się nawet zastanawiałem, jak to możliwe. I doszedłem do wniosku, że wyjaśnienia są dwa. Pierwsze banalne: większość nauczycieli, jakich znam – włącznie ze mną samym – wytrwało w tym zawodzie dlatego, że czerpią z niego satysfakcję. A konkretniej: z tego, że coś, co ja wiem, mogę przekazywać innym.

> Może jest błogosławieństwo w tej cholernej epidemii: niektórzy z nas zobaczyli, że **„zespół nauczycielski" to nie tylko nazwa.**

Dobrze Pan wie, że pasja nie chroni przed frustracją. Nauczycielka i dyrektorka, która we wrześniu ponad sto razy dzwoniła do sanepidu, by potem błagać rodziców o znajomości w tej instytucji, powiedziała mi: „Całe życie czerpałam przyjemność z tej pracy. Teraz tę przyjemność trafił szlag".

Rozumiem to. Skala zmiany była zbyt duża, by to wszystko wytrzymać bez konsekwencji. Ja też nie znam dyrektorów, którzy nie byliby w ostatnich miesiącach sfrustrowani.

Powiem o drugim czynniku, który pozwolił mi jako nauczycielowi zachować równowagę. Uczę w dwóch szkołach – obu związanych z Zespołem Bednarska. W obu przyjęto różne rozwiązania zdalnej nauki, ale z jednym wspólnym założeniem: postawiono na wspieranie siebie nawzajem. Mimo ogromnego indywidualizmu znacznej części nauczycieli, o ile nie wszystkich. Uznano, że nie byłoby najlepszym pomysłem, gdyby nauczyciel X wymyślił super zdalną lekcję, Y doskonały kombinat zadawania prac domowych, i gdyby te pomysły zostały do wyłącznej dyspozycji Iksa i Igreka. Podjęto decyzję, że tę nową, koronawirusową reformę szkolną bierzemy na jedną wspólną klatę, a nie na szereg klat indywidualnych.

Proszę o konkrety.

Zebrania, spotkania, rozmowy, wspólne technologiczne ustalenia. W jednej ze szkół musiałem się nauczyć nowej komputerowej technologii – plułem z wściekłości na ekran, gdy się w to wdrażałem. A potem się okazało, że ta platforma ma funkcję wspólnego kalendarza, do którego wszyscy nauczyciele wpisują swoje edukacyjne plany. Wychowawca może dzięki temu zobaczyć, że np. danego dnia jest za dużo pracy przy komputerze. I może powiedzieć: „O nie, w poniedziałek dzieci z klasy X będą siedzieć od rana do popołudnia przed ekranem. Każda z tych waszych lekcji może i jest fajna, ale razem wzięte są szkodliwe".

Poczułem, że jestem częścią zespołu. Gdyby mnie pan w czerwcu zapytał, czego potrzebują polskie szkoły, żeby jesienią ruszyły, odpowiedziałbym bez wahania: wsparcia z zewnątrz.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

A teraz?

A teraz mówię: zajmijmy się sobą. Nie gadajmy tylko o tym, czy Zdzisio powinien zdać do trzeciej klasy i czy Malwinka powinna mieć zwolnienie z wuefu. Wzmocnijmy się nawzajem, to i Malwinka ze Zdzisiem na tym zyskają. Mamy za sobą 30 lat wolnej Polski, pięć różnych reform, kolejne fale nadaktywności kolejnych ministrów oświaty, a teraz mamy kolejną reformę, której nawet nikt nie ogłosił. Więc pogadajmy, jak się z tym czujemy i co możemy zrobić.

Mówi się, że polskiego ucznia nie uczy się pracy zespołowej. A kandydata na nauczyciela?

Jego uczy się, żeby potrafił pracować z klasą. Nie kooperuje z innymi nauczycielami? Jego sprawa. Spóźnił się pół minuty na lekcję albo nie wypełnił poprawnie jakiegoś kwitu? Trzeba go z tego rozliczyć! Więc może to jest kolejne błogosławieństwo tej cholernej epidemii: niektórzy z nas zobaczyli, że „zespół nauczycielski" to nie tylko nazwa.

Gdzie w tym wszystkim jest dyrektor?

Jeśli zbuduje relację ze swoimi nauczycielami, jeśli stworzy warunki do relacji między nimi, to da sobie radę. Jeśli tego nie zrobi, nie ma szans. Pytanie tylko, czy to ujawni, czy postąpi po polsku, a jego frustracja wybuchnie w lutym bądź w kwietniu przyszłego roku. Bo że wybuchnie, to pewne. Epidemia w wydaniu szkolnym to nie jest czas dla bohaterów – to czas współdziałania.

Rodzice też są na granicy. Bo jak godzić pracę, często cięższą niż przed epidemią, z ogarnianiem nauki dziecka?

Warto zdać sobie sprawę z jednego: istnieją na świecie takie rzeczy, których nie należy sobie odpuszczać. Ale to, że dziecko mniej się przez tę całą sytuację nauczy, że nie pozna wszystkich dopływów Konga, do katalogu takich spraw nie należy. Wiedza, umiejętności, wreszcie to nasze wyśnione „radzenie sobie na rynku pracy" nie są wcale pochodną tego, że człowiek dużo się nauczył w szkole. Czy jak my chodziliśmy do szkoły te kilka dekad temu, odbywała się tam jakaś intelektualna orgia, a nasi rodzice nas ciągle kontrolowali? Nie, większość lekcji to była nuda, mieliśmy trzynaście razy mniej zajęć edukacyjnych i dziesięć razy mniej nacisku: „Ucz się, bo nikt cię nie zechce na rynku pracy". I co: gorzej sobie poradziliśmy? Nie wiedzieliśmy, jak się zachować za Jaruzelskiego? Przeciwnie: poradziliśmy sobie jako pokolenie całkiem nieźle. Może dlatego, że nie byliśmy tak bardzo samotni.

My, współcześni rodzice, dokładamy się do samotności naszych dzieci?

Najbardziej tą idiotyczną, a panującą od dwudziestu kilku lat modą, zgodnie z którą nie wolno tracić czasu, choćby – tak jak teraz – walił się świat. Spotkanie z kolegą, wizyta u dziadka to taka strata czasu, przecież w tym czasie można by jakieś zajęcia pozalekcyjne zrobić...

Czyli rada na czas epidemii: odpuśćmy?

Oczywiście mądrze i świadomie, wiedząc, co odpuszczamy i dlaczego. Bo pamiętajmy, że szkolne obowiązki są jakąś ramą, która daje w tym trudnym czasie oparcie. Ale tak: odpuśćmy, co się da. Nie kopmy się z koniem, a już na pewno nie z jedenastoma końmi naraz.

Uczniom mówi Pan to samo?

Uczniom wysłałem link. Do pięknego utworu Johny'ego Casha „One", z leitmotivem, który jest najprostszą receptą na ten kryzys i dla dzieci, i dla nauczycieli. *Carry each other*. Wspierajmy się nawzajem. Bo dla nich wszystkich, a na pewno dla większości największym problemem stało się teraz bycie samemu. Nie problem edukacji, tylko relacji i emocji. Kontakty osobiste niemal zanikły, te online nie wystarczają. Ktoś tam kogoś wyrzucił z grupy albo ze znajomych. Wcześniej też to się zdarzało, ale można to było chociaż przegadać na korytarzu – teraz niewiele wiadomo.

Co jeszcze Pan mówi?

Wszystkim chyba mniej więcej to samo: musicie o mnie zadbać.

O Pana?

Tak, o mnie. Nawet jeśli odczuwacie niechęć wobec mnie jako nauczyciela, to po prostu musicie mi powiedzieć, że lekcja była za długa, a zadanie za trudne. Jeśli w tym trudnym czasie będzie między nami kontakt, to damy radę.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w **Tezeuszu** – największym antykwariacie w Polsce!

Wszystko załatwimy za Ciebie

Szybka wycena książek

Miejsce na nowe książki

Recykling literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezpłatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na **www.skupksiazek.pl**

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

UWAGA! Niższa cena prenumeraty tylko do 1 grudnia!

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	**69 zł**	

+ PREZENT!

* ważny do 1 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Już teraz zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj prezent

„Ks. Adam Boniecki. Ćwiczenia z optymizmu. Książka do pisania” – to wyjątkowy notes z fragmentami wypowiedzi księdza Bonieckiego ilustrowany zdjęciami autorstwa Grażyny Makary i z prywatnego archiwum bohatera książki.

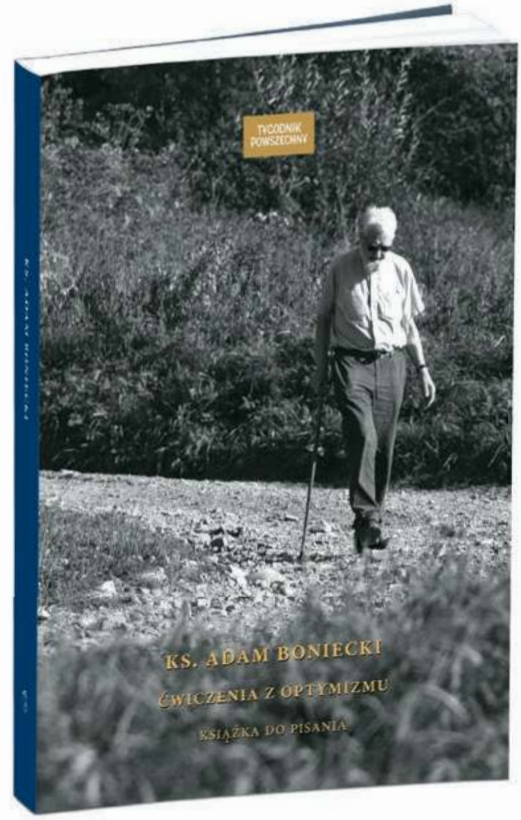

1. **Już dziś** zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate** lub przez wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. Jeśli wykupisz lub odnowisz prenumeratę do 1 grudnia br., „Książkę do pisania” otrzymasz jeszcze przed świętami – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 1 grudnia 2020 r. będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.

Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych.
Jak zachować optymizm i pogodę ducha?
Jak nie poddać się zwątpieniu?
Czy Bóg ma poczucie humoru?
Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadł redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA NA OKŁADCE GRAŻYNA MAKARA DLA „TP”

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Podział stada*

Jakub spędził w sumie 20 lat, pasąc stado swojego wuja i teścia – Labana. Kiedy Rachela powiła syna, Jakub dojrzał, by opuścić Labana i wrócić do Ziemi Izraela. Nie odejdzie jednak z pustymi rękami! Przepracował już 14 lat w zamian za żony. Jakub uznaje rachunek za zamknięty i zawiera z wujem umowę dotyczącą zapłaty za przyszłą pracę: „Znów będę pasł twoje stado i strzegł. Obejdę dzisiaj całe twoje stado i oddzielę od niego wszystkie jagnięta nakrapiane i łaciate i wszystkie jagnięta brązowe spośród owiec oraz łaciate i nakrapiane spośród kóz – [taka] będzie moja zapłata. [Laban] oddzielił owego dnia kozły pręgowane i łaciate oraz wszystkie kozy nakrapiane i łaciate, wszystkie, które miały białe [plamy] i wszystkie brązowe spośród owiec i powierzył swoim synom" (przekład mój).

Jakub będzie pasł tylko jednobarwne owce i kozy. Dostanie na własność wszystkie zrodzone z nich zwierzęta o niejednobarwnej sierści. W tym regionie jednak tylko co czwarta nie ma jednolitego umaszczenia. Wuj przystaje więc na propozycję Jakuba. Czytamy dalej: „Jakub wziął sobie świeże gałęzie topoli, migdałowca i platanu. Okorował je do białych włókien, obnażając biel w gałęziach. Zawsze, gdy silna trzoda była w rui, Jakub umieszczał gałęzie w zasięgu wzroku trzody, w poidłach, by przebywały podczas rui wśród gałęzi. Gdy trzoda była słaba, nie umieszczał". Wiemy, że oglądane przez zwierzęta gałęzie nie mają wpływu na kolor sierści potomstwa. Zaryzykujmy twierdzenie, że Jakub stosuje te same metody hodowlane, co inni pasterze, dla stworzenia pozorów.

Praojciec wspomina: „Przemówił do mnie we śnie anioł Boży: »Jakubie!« i odrzekłem: »Oto jestem«. Powiedział: »Wznieś, proszę, oczy i patrz: wszystkie kozły wspinające się na trzodę są pręgowane, nakrapiane i cętkowane, gdyż widziałem wszystko, co uczynił ci Laban«". Komentator Jehuda Feliks jest przekonany, że anioł Boży zaznajamia Jakuba z prawami dziedziczności. Jednobarwność to cecha dominująca, Jakub musi więc zadbać, by krzyżowały się tylko heterozygoty (zwierzęta „silne"). Można je rozpoznać dzięki zjawisku heterozji – większego nasilenia wybranych cech w hybrydach (np. potomstwo może być silniejsze, zdrowsze i szybciej rosnąć niż rodzice), które uwidacznia się zwłaszcza w kwestiach związanych z płodnością.

„Słabe należały do Labana, silne zaś – do Jakuba", czyli Praojciec oddawał wujowi wszystkie jednobarwne homozygoty jako dodatek do niejednolicie ubarwionych zwierząt, które Laban przekazał synom przy podziale stada. Zakładając, że Jakub dostał pod opiekę połowę Labanowego stada i w ciągu sześciu lat pojawiły się trzy nowe pokolenia owiec, umiejętnie postępujący Praojciec był w stanie przejąć około jednej czwartej stada wuja. Zaprawdę, imponujące! ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Powaga Bożego Narodzenia*

Izajasz woła do Boga: „Obyś rozdarł niebo i zstąpił" na ziemię. Jak wierzymy, modlitwa Izajasza i wielu pokoleń Izraela spełniła się, gdy urodził się Jezus z Nazaretu. Z braku miejsca w ówczesnym motelu urodził się najprawdopodobniej w grocie, więc przyszedł na świat z wnętrza ziemi. Przyszedł też z wnętrza kobiety, również ukształtowanej z „prochu ziemi". I właśnie w Nim, w tym człowieku, jemu współcześni, a my za nimi, wierząc, widzimy Syna Bożego. A patrząc na Jego sposób życia, dowiadujemy się, jak żyje i postępuje sam Bóg.

Jezus, stając się człowiekiem, rozdarł niebo, ale i ziemię, i odsłonił jej wnętrze. Okazało się, że niebo i ziemia nie są, a na pewno nie muszą być, sobie wrogie. Przeciwnie, zarówno niebo, jak i ziemia, idąc ze sobą pod rękę, nawzajem siebie budują, są w drodze, stając się nową ziemią i nowym niebem. Nie można odrywać ziemi od nieba ani nieba od ziemi, gdyż są one królestwem Boga.

Na pytanie faryzeuszów: „kiedy przyjdzie królestwo Boże?", Jezus „odpowiedział: »Królestwo Boże nie przychodzi w sposób dostrzegalny. Nie będą mówili: Jest tutaj, albo: Jest tam. Królestwo Boże jest bowiem pośród was«". To znaczy, że Boże królestwo jest rzeczywistością bosko-ludzką, materialną i duchową, jest rzeczywistością przepełnioną Bogiem. Dzięki temu np. Gustave Martelet może powiedzieć, że „wiara objawia najwyższy sens tego świata", że „śmierć nie wyznacza kresu rzeczywistości" i że „prawdą jest, iż Miłość, która stwarza i która może stwarzać tylko w pełnej skończoności, nie wypowiedziała tu o człowieku jeszcze ostatniego słowa, powiedziała jedynie swe pierwsze słowo". Nie tylko o człowieku, ale o całym kosmosie Bóg nie powiedział jeszcze wszystkiego. O niebie również.

Podobnie rzecz ma się z człowiekiem. Nie można człowieka dzielić na śmiertelne ciało i nieśmiertelną duszę czy ducha. Wspomniany już Martelet twierdzi, że „nigdy, ani w sytuacji życia, ani śmierci, nie (...) można traktować ciała ludzkiego jako elementu drugorzędnego lub wtórnego. W ten sposób nie pozwolimy sobie na widzenie w trudności śmierci jakiegoś wyzwolenia »ducha«, ponieważ ciało w pełni składa się na naszą ludzką tożsamość, także i w momencie śmierci, która kładzie mu kres".

Na początku Adwentu Jezus mówi do nas: „Miejcie oczy szeroko otwarte, czuwajcie, gdyż nie wiecie, kiedy nadejdzie odpowiedni czas". Czuwać nie znaczy siedzieć z założonymi rękami, tępo patrząc w podłogę, umierając ze strachu, gdyż „jutro śmierć zajrzy nam w oczy". Jest o czym myśleć, ale od tego jest właśnie Adwent i Narodzenie Pańskie, któremu, nie zapominając o sianku i żłóbku, trzeba przywrócić powagę obecności Boga w człowieku, we wszechświecie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Płacz jednorazowy?

„Gdy był już blisko Jerozolimy, na widok miasta Jezus zapłakał nad nim i rzekł: »O gdybyś i ty poznało w ten dzień to, co służy pokojowi! (...) Bo przyjdą na ciebie dni, gdy twoi nieprzyjaciele otoczą cię wałem, oblegną i ścisną zewsząd. Powalą na ziemię ciebie i twoje dzieci z tobą, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu za to, żeś nie rozpoznało czasu twojego nawiedzenia«" – oto fragment Ewangelii Łukaszowej (19, 41-44) proklamowany nam niedawno przez Liturgię.

Płacz Jezusa to płacz miłości. Bóg płacze nad swoim miastem, które – nie rozpoznając i odrzucając nawiedzającego go Pana – sobie samemu szykuje dramat aż po niemal całkowite zniszczenie. To płacz miłości, która narzuciła sobie bezsilność – płacze „Mocarz maleńkości". Przyszedł jako Sługa/Niewolnik, jakby „zapierając się siebie" – swojej wszechmocy i potęgi – jako Ten, który nie potrafi (bo nie chce) wymuszać przyjęcia przemocą; w najgłębszym szacunku dla ludzkiej wolności i podejmowanych w niej decyzji.

Więc kocha i... płacze.

Trudno uwierzyć, że ów płacz był wydarzeniem jednorazowym: Jezus zapłakał nad Jerozolimą. I że został uwieczniony w Ewangelii wyłącznie z racji na precyzję i kompletność historycznej narracji Łukasza.

A co, jeśli Jezus płacze dziś?

Płacze nad swoim „świętym miastem" – nad Kościołem, który w konkretnych momentach (grec. *kairos*) Go nie rozpoznaje, a rozmijając się z Nim, pogrąża się w kryzysie i niszczy samego siebie.

Zauważmy: problemem miasta Bożego nie są jego zewnętrzni wrogowie (tych zapewne w żadnym czasie i miejscu nie braknie); problemem jest przegapienie Boga, kiedy przychodzi.

Rozpoznaliście Go dzisiaj? W jaki sposób Was nawiedził?

Zapewne był „maleńki", znowu wcielony w postać, która się nie narzuca i niczego na nas nie wymusza. Może próbował przyjść kilkoma zdaniami Słowa, ale nie mieliśmy czasu (czytaj: przekonania), by choć na moment otworzyć Biblię? Może chciał się spotkać choćby przez minutę adoracji, w którymś z ośmiu kościołów mijanych przez Ciebie po drodze z domu do pracy i z powrotem? Może próbował Cię nawiedzić natchnieniem, by do kogoś zadzwonić lub napisać (list, mail), odwiedzić lub po prostu wspomnieć w modlitwie?

Może chciał Cię spotkać na Eucharystii? A może w pracy? A może w domu? A może na ulicy miał twarz bezdomnego?

Jedno jest pewne: niezwykle wiele od tego spotkania zależy. Na początek to, by Pan przestał płakać. ©

Chrystus daje wewnętrzny pokój, który przebija się i przenika przez wszystkie pokusy i przeciwności, udrękę i cokolwiek jest tego rodzaju. (...) Wieczny pokój, którym jest Bóg.

TEOLOGIA NIEMIECKA

Jak wielki spokój osiąga, kto nie zajmuje się tym, co bliźni mówi, czyni i myśli, lecz uważa na to, co robi sam – by było sprawiedliwe, święte, zgodne z dobrem.

MAREK AURELIUSZ

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (29 XI – 6 XII)

1. niedziela Adwentu: Iz 63, 16b-17. 19b; 64, 2b-7; Ps 80; 1 Kor 1, 3-9; Mk 13, 33-37;
Poniedziałek – święto św. Andrzeja: Iz 49, 1-6; Ps 19; Rz 10, 9-18; Mt 4, 18-22;
Wtorek: Iz 11, 1-10; Ps 72; Łk 10, 21-24;
Środa: Iz 25, 6-10a; Ps 23; Mt 15, 29-37;
Czwartek: Iz 26, 1-6; Ps 118; Mt 7, 21. 24-27;
Piątek: Iz 29, 17-24; Ps 27; Mt 9, 27-31;
Sobota: Iz 30, 19-21. 23-26; Ps 147A; Mt 9, 35 – 10, 1. 5a. 6-8;
2. niedziela Adwentu: Iz 40, 1-5. 9-11; Ps 85; 2 P 3, 8-14; Mk 1, 1-8.

KRAJ

BĘDZIE INACZEJ, SERIO

Polityka przyszłości, którą ustanawiają protesty kobiet, domaga się całkowitej zmiany modelu życia publicznego. Jaki ma on być – tego jeszcze sobie nie możemy wyobrazić. Choć już tworzymy go na co dzień.

DARIUSZ KOSIŃSKI

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

Po październikowej eksplozji, która dla wielu była szokiem, wraz z listopadem protesty kobiet jakby przycichły, chociaż daleko im do wygaśnięcia. Sądzę, że to strategiczna cisza przed kolejną burzą. Więc zanim błyskawice zapłoną z nową energią, trzeba sobie przepowiedzieć, jakie to będzie miało dla Polski znaczenie.

Wielki Mechanizm

Ogólnopolski Strajk Kobiet pokazuje nam znów, że życie polityczne tylko częściowo toczy się w miejscach, które zajmują zawodowi politycy – w gabinetach, kancelariach, pałacach i salach sejmowych. Większy wpływ mają na nie wydarzenia na ulicach. Jeśli władza i opozycja wzbudzają jeszcze jakieś zainteresowanie, to nie tym, co proponują jako „politykę", ale tym, jak reagują na wydarzenia, nad którymi nie mają kontroli – choć niekiedy je prowokują.

Oczywiście są też tacy, którzy nadal wierzą, że wszystko, co dzieje się ostatnio w Polsce, to elementy makiawelicznego planu geniusza z Nowogrodzkiej. Obawiam się jednak, że ta wiara wyraża jedynie nieuświadomioną potrzebę jakiejś linearnej fabuły i jedności dramatu w sytuacji, w której scenę zajmują rozproszone akcje, nijak niechcące nabrać „szekspirowskiego rozmachu". Wystarczy spokojnie i bez uprzedzeń posłuchać kolejnych wystąpień premiera Morawieckiego, by zobaczyć, że nie ma ani żadnego Ryszarda III, ani Wielkiego Mechanizmu: jest nerwowa reakcja coraz bardziej spanikowanych dziarskich niegdyś chłopców, których tak długo uczono, że to oni rządzą światem, aż naprawdę w to uwierzyli.

Tymczasem wydarzeniami politycznymi o rzeczywistej mocy i wpływie nie są śmieszne dyskusje o rekonstrukcji rządu ani konferencje prasowe przypominające szkolne akademie. Są nimi za to demonstracje i manifestacje zbiorowe, ustanawiające nie tylko nowe układy sił, ale wręcz tematy, wokół których orbitują polityczni profesjonaliści. Co ważne, te tematy nie dają się oddzielić od tego, co tradycyjnie rozumie się jako style czy „środki wyrazu".

Manifestacje – a protesty kobiet w swojej spontaniczności i wielości pokazują to szczególnie jasno – nie są, jak się często mówi, „wyrazem czegoś". Są aktami ustanawiania rzeczywistości w kształcie i sensie, jaki wytwarza się wraz z rozwojem sytuacji. Większość ważnych społecznych zjawisk przedstawia się w taki a nie inny sposób poza wolą swoich sprawczyń. A jeśli coś się już ustanowi, niełatwo będzie się z tego wycofać.

Niecenzurowalne

Najlepszym tego przykładem jest hasło, pod którym szedł pierwszy wielki protest warszawski, a które rozprzestrzeniło się błyskawicznie, przyjmując niezliczoną wielość wariantów. Prosty okrzyk, wymalowany na banerze niesionym przez maszerujące ulicami kobiety, a potem doprecyzowany i powtarzany przez tłumy w wersji „***** ***". Oburza on wielu, także tych, którzy choć krytycznie nastawieni są do PiS i prawicy, to postulują zachowanie *decorum* i przyznają, że owszem – kobiety mają słuszne prawo do

Protest Strajku Kobiet 18 listopada w Warszawie został – w odróżnieniu od poprzednich – stłumiony przez znaczne siły policyjne

gniewu i w ogóle wolność wypowiedzi jest ważna, ale przecież trzeba dbać o jakieś cywilizowane standardy. Co gorsza, wulgarny język sprawia, że w roli obrońców owych standardów bez trudu mogą się obsadzić nawet organizatorzy Marszu Niepodległości, którzy niespodziewanie wysunęli roszczenia do jakiejś własnej cywilizacji.

Nie sądzę, by uczestniczki protestów nie zdawały sobie sprawy, że dają przeciwnikom argument do rąk. Ale błyskawiczna i bardzo szeroka akceptacja dla takiej właśnie wulgarności jako znaku rozpoznawczego wystąpień pokazuje, że to w niej ich uczestniczki natychmiast odnalazły nieistniejący dotychczas, a niezbędny im sposób pojawienia się w przestrzeni publicznej.

To właśnie dlatego, że „tak się nie mówi", one tak mówić zaczęły – wytwarzając i od razu zajmując nowe, mocne miejsce na scenie społecznej. Oczywiście, stało się tak w znacznej mierze dlatego, że protestuje pokolenie żyjące w sieci, gdzie „wulgarność" jest powszechna i osiąga poziom, przy którym proste hasła Strajku brzmią jak grzeczne pozdrowienie znajomego. Oczywiście, ważną rolę odgrywa też kontrast między realnością protestujących kobiet a propagowanym przez tradycyjny patriarchat obrazeczkiem „grzecznej dziewczynki", w której ustach takie słowa nigdy nie zagoszczą. Przede wszystkim jednak swobodne i powszechne posługiwanie się wulgarnością znaczy, iż uczestniczki październikowych protestów w momencie wyjścia na ulice odkryły, że niczego innego ani mniej dosadnego nie mają władzy i jej sojusznikom do powiedzenia.

Wykrzyczenie niecenzuralnego i nieparlamentarnego żądania uruchamia ogromne pokłady energii, która daje demonstrującym coś, co dotąd – jak mi się wydaje – w antypisowskich demonstracjach było nieobecne: radość wynikającą z uwolnienia tłumionych i zakazanych emocji. Protestujące wielokrotnie podkreślały, że na ulice wyprowadził je gniew. Na pewno. Ale do powrotu ↦

↦ i pozostawania na tych ulicach motywowała je i motywuje także owa radość i związane z nią przyjemności. Nie tylko dobrze znajoma przyjemność zbiorowego przebywania poza strukturami i przymusami codziennego życia. Także – co wydaje mi się elementem istotnie nowym – przyjemność związana z indywidualną kreatywnością, dla której zbiorowa manifestacja stanowiła jedynie ramy.

Memy wyszły na ulice

Drugim znakiem rozpoznawczym jesiennych manifestacji jest ich memiczność, czyli twórcze przetwarzanie typowego dla wszelkich protestów elementu – tablicy z wypisanym hasłem czy żądaniem – w „ekran" ukazujący niepowtarzalne warianty buntowniczej „beki" z władzy. Co celniejsze dowcipy wypisywane przez uczestniczki i uczestników na stanowiących znak tych protestów kartonach były natychmiast wychwytywane i przekazywane. Setki ich zdjęć krążyły i krążą w sieci, która – co oczywiste – jest źródłem tego typu działań, przeniesionych przez manifestantki w przestrzeń „realną". To dzięki memiczności wielotysięczne zgromadzenia zachowały mnogość i różnorodność, tak bliskie pokoleniu na niej wychowanym. Każda osoba wychodząca na ulice z wymyślonym przez siebie napisem czy rysunkiem mogła przykuć uwagę i zdobyć uznanie dla swojej kreatywności. Przestała się liczyć spójność wiodącej „narracji" – główną rolę grała wielość rozproszonych, indywidualnych aktów twórczych.

Połączenie wyzwalającego protestu i kreatywności zaowocowało trzecią znamienną cechą tych protestów – ich profanacyjnym charakterem. Wiele wypisywanych na kartonach haseł i rysunków było odbieranych przez część widzów tego wielodniowego przedstawienia jako skandaliczne, prowokacyjne czy wręcz bluźniercze. Wydaje mi się, że trafniej nazwać je profanacjami – w rozumieniu zaproponowanym przez włoskiego filozofa Giorgia Agambena, który pisał o profanacjach jako aktach przywrócenia do powszechnego użycia czegoś, co zostało z niego wyłączone za sprawą sakralizacji.

W samym centrum protestów była wszak profanacja kobiecego ciała, które kultura patriarchalna sakralizuje („łono – świątynią życia") właśnie po to, żeby poddać je swojej kontroli i wyłączyć z użycia przez same kobiety. Jest tam też seksualność dawno obłożona wieloma „świętymi" zakazami, które, czyniąc ze spółkowania „misterium", zarazem nie pozwalają go używać – w całej precyzyjnej wieloznaczności tego słowa. Ale protesty profanowały też symbole, wartości i instytucję Kościoła, domagając się przywrócenia ich powszechnemu użyciu. Czasem miało to charakter bluźnierstwa, bo dokonywały tego osoby wychowane i pozostające w relacji do żywego w nich katolicyzmu (nie da się bluźnić przeciw czemuś, czego mocy się nie uznaje). Nawet wtedy jednak oznaczało wyzwalające przekroczenie świętego tabu, fundującego powtarzany od lat banał: „to wy wszyscy jesteście Kościołem".

To dlatego tak wiele katoliczek i katolików poparło protesty uznane przez hierarchię za grzeszne. Przez ten akt profanacji chcieliśmy odzyskać Kościół i przywrócić go do powszechnego, naszego użytku.

> To właśnie dlatego, że „tak się nie mówi", uczestniczki protestu kobiet tak mówić zaczęły – wytwarzając i od razu zajmując nowe, mocne miejsce na scenie społecznej.
> **Odkryły, że niczego innego nie mają władzy do powiedzenia.**

Aż zobaczyły, ile ich

Wulgarność, szyderstwo, profanację łączy to, że ustanawiają radykalność protestu, która w zasadzie wyklucza dialog i negocjacje. Protestujące nie chciały i nie chcą rozmawiać z rządzącymi, którzy też oczywiście nie chcieli rozmawiać z nimi. Wielokrotnie słyszeliśmy, że jedyny postulat protestujących to całkowite ustąpienie władz. Widzi się w tym często zasadniczą słabość ich działań.

Przecież wiadomo, że protesty uliczne z samej zasady są czasowe, wcześniej czy później muszą się zakończyć, a brak postulatów, które mogą stanowić pomost wiodący z ulicy do gabinetów, gdzie zwyczajowo wykuwa się społeczny kompromis, oznacza skazanie manifestacji na powolne wygaszanie bez widocznych skutków. Znamy to dobrze z dziejów Komitetu Obrony Demokracji i wcale się nie dziwię Janowi Śpiewakowi, który po ogłoszeniu postulatów Rady Koordynacyjnej OSK sformułował obawę, że właśnie narodził się KOD+.

Tyle tylko, że właśnie tu odsłania się kolejny istotny element, decydujący o radykalnej politycznej odmienności kobiecych protestów. Pozostając jej wierne i pozostając wierne zbiorowemu, „ludowemu" charakterowi tych manifestacji i sojuszu, który się w nich ustanowił, osoby określane mianem ich „przywódczyń" wymykają się uznaniu siebie za takowe. Odmawiają wejścia w „poważną" politykę. Nie ze strachu czy z braku postulatów. I nie dlatego, że same wcześniej spaliły za sobą mosty. Odwrotnie – spaliły mosty na samym początku, bo wiedzą, że siadanie do jakiegokolwiek stołu, zwłaszcza okrągłego, oznacza rezygnację z podstawowego pragnienia i celu – zmiany systemu, który wytwarza i podtrzymuje obecną wersję „poważnej polityki".

Komentując protesty kobiet, warto sięgnąć po wydaną w Polsce już w roku 2016 gęstą od inspiracji i brzmiącą dziś jak proroctwo książkę Judith Butler „Zapiski o performatywnej teorii zgromadzeń". Szczególnie ważne jest twierdzenie autorki, że demonstracje wytwarzają rodzaj „momentu anarchicznego": „Podczas tej przerwy w funkcjonowaniu władzy zgromadzone ciała artykułują nowy czas i nową przestrzeń dla woli ogółu, (...) którą charakteryzuje sojusz odrębnych, ale bliskich ciał – ich działanie lub niedziałanie jest żądaniem innej przyszłości". To żądanie jest anarchiczne w tym sensie, że nie ma nic wspólnego z dostępnymi formami polityczności – a jednocześnie ustanawia jej własną wersję, alternatywną wobec tamtych do tego stopnia, że niedomagającą się już nawet uznania i podjęcia negocjacji.

Na własnej skórze

Dla jesiennych protestów szczególnie ważna jest w tym kontekście lekcja płynąca z miesięcy pandemii, taka mianowicie, że domaganie się przez władze posłuchu w zamian za zapewnienie bezpieczeństwa straciło moc i sens. Podstawowym doświadczeniem ostatnich mie-

sięcy jest niewspółmierna do posiadanych prerogatyw i roszczeń bezradność państwa wobec zadań, dla których je powołano. Jeśli państwo nie jest w stanie uchronić życia swoich obywateli, a jego działania ograniczają się do apelowania do nich o samodyscyplinę i solidarność, to narzuca się oczywisty – więcej, przeżywany na własnej skórze – wniosek, że roszczenia państwa do zarządzania i dysponowania moim ciałem są fikcją. Jeśli w myśl powszechnie – jak się zdaje – akceptowanej na prawicy teologii politycznej wywodzącej się od Carla Schmitta, miernikiem siły państwa jest jego prawo do dysponowania śmiercią obywatela, to bezradność państwa w kwestii utrzymania tego obywatela przy życiu podważa podstawowy filar, na którym cała ta konstrukcja się trzyma.

W ten sposób nie od jakichś teoretycznych projektów czy manifestów, ale od cielesnego doświadczenia codziennego zaczyna się polityczna zmiana, której demonstracją na masową skalę są protesty kobiet.

Doświadczenie pandemii pozwoliło dowieść w praktyce, że troska o nas nie jest domeną państwa, i że sferą tą można z powodzeniem zarządzać poza jego aparatem. „Inna polityka", o której możliwości przekonywali w kolejnych kampaniach kolejni protagoniści polityki „tej samej", rzeczywiście okazała się możliwa. Ale jej scenami nie są sale sejmowe, lecz szpitalne, gdzie pozbawiony wsparcia personel medyczny „radzi sobie" niezależnie od niewydolnego systemu. Podobnie każdy z nas, zamknięty mniej lub bardziej w domu, jakoś „sobie radzi".

Hasło „Wypierdalać!" znaczy zaś tyle, że skoro sobie radzimy, to nie ma powodu, by dalej tolerować tych, którzy nie tylko nas nie wspierają, ale próbują nam przeszkadzać.

To się już nie sklei

W Polsce po 2010 r. nastąpiło – i stale się poszerza – pęknięcie między zawodową polityką a politycznością współtworzoną przez nas wszystkich. PiS powinno coś o tym wiedzieć, bo to dzięki zmianom w tej drugiej doszło ostatecznie do władzy. Dokonało tego także dzięki serii zgromadzeń i demonstracji, którym odmawiano prawa do widzialności, i których uczestnicy – tak jak dziś protestujące kobiety – odrzucali już na wstępie wszelkie propozycje negocjacji.

PiS doszedł do władzy dzięki serii demonstracji, którym odmawiano prawa do widzialności i których uczestnicy – tak jak dziś protestujące kobiety – odrzucali propozycje negocjacji.

W efekcie udało się im zmienić same fundamenty polityczności, a następnie przejąć i przekształcić dominujący dyskurs. W dłuższej perspektywie nie zmienili jednak jego podstawowych zasad, ponieważ ostatecznie porzucili politykę zgromadzeń na rzecz państwowych ceremonii, w których władza celebruje już nie zapowiadający i realizujący przyszłość sojusz, ale samą siebie.

Protesty kobiet już wytworzyły obszary aktywności politycznej, które nie mają – i nie chcą mieć – nic wspólnego z obowiązującymi formami i sposobami sprawowania władzy. Wyznaczają one konkurencyjne pole skutecznej polityki, rozumianej jako sensowne zabieranie głosu na arenie publicznej i dążenie do rozwiązywania konkretnych problemów.

Niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, protesty swoją radykalną odmiennością ustanawiają przyszłość, której się domagają. Nie tylko ustanawiają, ale pozwalają jej doświadczyć ludziom, z których większość takich doświadczeń nie miała. Trudno wątpić, że dla pokoleń świadomie pozbawianych szans na spontaniczne współdziałanie polityczne jest to przeżycie formacyjne. To ono stanowi niewidoczny z perspektywy obecnej polityki konkretny rezultat, który protesty już osiągnęły.

Rządzący i opozycja – sprawujący władzę i walczący o nią w ramach systemu politycznych gier, które prowadzą między sobą – sprowadzają aktywność społeczną obywateli do powtarzanego regularnie aktu wyborów, nad którego regułami i spektakularnym przebiegiem sprawują całkowitą władzę (dowodzą tego widowiska minionej wiosny). Codzienna polityczność kształtowania swojego życia nie mieści się w tym horyzoncie. A to właśnie tej codziennej polityczności dotyczą protesty kobiet. W jej polu lokuje się alternatywna sieć aktywności, która – także dzięki globalizacji, technologii, współczesnym mediom – wymyka się zarządzaniu przez tradycyjne władze, fałszywie aspirujące do bycia „reprezentantami zbiorowości".

Widowisko polityczne wciąż nas interesuje i oczywiście dajemy się sprowokować takimi aktami jak powołanie na ministra (czyli naczelnego impersonatora) edukacji i nauki dr. hab. Czarnka, ale przecież nawet on sam nie wierzy, że może mieć realną władzę nad tym, czego i jak się dowiadujemy i uczymy. Takie samo rozejście się odgrywanego zarządzania i realnych działań można dostrzec w kulturze, gospodarce, zdrowiu (tu widać je wręcz jak na dłoni). Polityka przyszłości, którą ustanawiają protesty kobiet, nie ma na celu zniesienia tego podziału na odgrywane i realne , ale wyrasta z niego, domagając się tak naprawdę nie odejścia tej czy innej formacji, ale całkowitej zmiany modelu życia politycznego na taki, jakiego jeszcze sobie nie możemy wyobrazić. Choć *de facto* tworzymy go na co dzień.

Oczywiście, wcale nie jest pewne, czy rozpad opartej na konflikcie polityczności, którego jesteśmy współsprawcami, nie przyniesie sukcesu kolejnym populistycznym komediantom w rodzaju Donalda Trumpa. Jest też raczej pewne, że ktoś będzie jeszcze usiłował kleić nasze życie ze światem obecnej polityki przemocą. Pierwszy występ prezesa Kaczyńskiego w roli generała Jaruzelskiego był wprawdzie groteskowy, ale zdarzenia z zeszłej środy w Warszawie już takie nie były. Nie wydaje się jednak sensowne, by inwestować energię społeczną w podtrzymywanie fikcji rządów i parlamentów. Uczy tego także polska historia.

Wystarczy popatrzeć, co się stało z wielomilionowym ruchem i przyszłościowym projektem Solidarności, by zdać sobie sprawę, jak kończy się uznanie, że zmiana świata społecznego to utopia. Od 40 lat jesteśmy przekonywani, że każda rewolucja musi zjeść swoje dzieci, bo taka jest tragiczna konieczność. Ale tragiczne agony też organizowali zawodowi politycy, a ich widownie tworzyli sami faceci.

Kobiety już wtedy robiły coś zupełnie, zupełnie innego.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Na słuchawce, czyli na wojnie

ANNA KIEDRZYNEK

W światku dyspozytorów, podobnie jak wśród ratowników w karetkach, ludzie grają twardzieli. Głupio przyznać się kolegom, że jakiś wypadek zrobił na człowieku wrażenie.

Co pamiętają najlepiej: zgłoszenia z udziałem dzieci i własną bezradność. Jak ten telefon od matki, która podczas parkowania zapomniała zaciągnąć ręczny. Auto, cofając się, najechało na dziecko. Michał instruował kobietę, jak udzielić pierwszej pomocy. Myślał potem o trzyletniej główce pod półtoratonowym autem. Nie musiał jej widzieć, żeby odgadnąć: tam nie było po co wdmuchiwać powietrza.

Dyspozytor, który podpisuje się jako „lekarz z centralnej Polski", przysyła maila z opisem tego, co po latach zostało mu w głowie. „Chłopiec, lat 6. Zadzwonił nad ranem i wyszlochał, że tatuś wisi na poręczy. Mamy nie ma, bo jest w pracy i nie odbiera. Pytał, czy uratujemy mu tatę. Mężczyzna, lat 20, we wstrząsie anafilaktycznym. Zdążył mi powiedzieć, że traci przytomność. Zmarł, będąc na linii".

Kto bardziej potrzebuje psychologa

Michał bywa rozdrażniony. Na żonę i dzieci nie krzyczy, bo nie umie wybuchać. Ze swoim gniewem siada w kącie i tam przeżywa go w ciszy. Od maja prosił dyrekcję o urlop. W tym roku potrafił robić trzy nocki pod rząd. Za dnia przesypiał parę godzin, a potem zajmował się dziećmi (ma trójkę). W pracy koledzy podpinali go pod kroplówkę, żeby nie pękła mu głowa. Dyrekcja nie chciała go wypuścić, proponowała ekwiwalent pieniężny za niewykorzystany urlop. Michał nie chciał pieniędzy, tylko odpoczynku. Wolne dostał w październiku.

Na dyspozytorni pracuje od 13 lat. Przez 10 lat łączył dyżury na telefonie z pracą ratownika na karetce. – To są dwa rodzaje stresu – mówi. Gdy jeździł, widywał rzeczy straszne, ale miał pełną kontrolę nad sytuacją. Kiedy odbiera telefon, krąży wokół sprawy po omacku. Są procedury, owszem. Jednak ostateczną decyzję o wysłaniu karetki podejmuje człowiek, często nieprzytomny ze zmęczenia.

Dyspozytorów brakuje w całej Polsce, a liczba zgłoszeń nie maleje. Michał wylicza, że w ostatnich miesiącach z jego dyspozytorni odeszło pięć osób. Trzy na emeryturę, dwie z wypalenia. – Ja muszę mieć zdrową głowę, nie dla siebie, ale dla rodziny – tłumaczył mu kolega, który odszedł do innej pracy. Michał podsumowuje: – Psychika mu uklękła, tak na to mówimy.

Od przyszłego roku dyspozytorów w Polsce czekają zmiany. Projekt nowego rozporządzenia przewiduje, że przejdą oni z pogotowia ratunkowego pod nadzór wojewodów i zostaną objęci wsparciem psychologicznym. Warto pamiętać, że dyspozytor to najczęściej ratownik z kilkuletnim stażem wyjazdowym, pielęgniarka lub lekarz z doświadczeniem na oddziale intensywnej terapii. Na jednej z grup facebookowych dla ratowników informacja o psychologu na dyspozytorni wzbudza jednak kontrowersje.

„Co tam ratownicy... Dyspozytorzy to permanentny stres" – ironizuje jeden z komentujących. Odpowiedź: „Zapraszam na dyspo, zwłaszcza jak 6-latek musi reanimować matkę". Odzywają się też lekarze z SOR-ów. Licytacja, kto bardziej potrzebuje psychologa, ciągnie się w kilkudziesięciu komentarzach.

Przemek, ratownik, na dyspozytorni przepracował cztery lata: – Uważam, że wyjazd karetką to jest jednak większy stres. Znam takich ratowników, co do dzisiaj pamiętają akcje sprzed 10 lub 15 lat. Ja też mam jeden taki wyjazd w głowie. To była osiemnastoletnia dziewczyna. Powiesiła się w swoim pokoju. Gdy tam wpadliśmy, matka trzymała w ramionach jej ciało. Ojciec siedział nieruchomo i wpatrywał się w ścianę. Na biurku wciąż leżały rozłożone podręczniki szkolne. Ja tę scenę mam przed oczami do teraz, a dyspozytor, który przyjął zgłoszenie, myślał o tym może parę godzin. Z drugiej strony... Dzwoniący ludzie są zdenerwowani, krzyczą, mylą słowa pod wpływem stresu, a czasem po prostu kłamią. Potrzeba wprawy, żeby w tym nie utonąć.

Michał: – Na telefonie jest gorzej. Tak zwani turboratownicy, którzy pyskują nam przez radio, wpadają czasem na dyspozytornię, żeby pokazać „jak to się robi". Ale kiedy dzwoni 95-letnia kobieta i mówi, że upadła, ale w sumie nic jej nie jest, tylko wstać nie może, to nagle ten kowboj wymięka. Powinien powiedzieć: „To nie jest stan nagłego zagrożenia życia, proszę sobie zorganizować transport do szpitala" i się rozłączyć. Ale już widzi, że to nie jest takie proste.

Lekarz z centralnej Polski odpisuje: „Stres jest ogromny. Chodzi o to, żeby nie popełnić błędu, nie zadziałać irracjonalnie, ale też nie wpaść w rutynę. Każde połączenie to ogromna presja, żeby postąpić według wytycznych, ale jednocześnie tak, aby te wytyczne nie przysłoniły człowieka i jego sytuacji. Teoria rzadko kiedy pokrywa się z praktyką".

W kwestii psychologa Przemek zachowuje mimo wszystko sceptycyzm. – Dyrekcja przedstawi nam kogoś takiego i co? Ludzie zaczną ustawiać się do niego w kolejce? Nie sądzę. Nie będą chcieli tak się odkrywać, zwłaszcza w pracy. Może gdyby psycholog przebywał na sali dyspozytorskiej i obserwował, jak pracujemy, to mógłby wyłapać, że ktoś się sypie, mógłby z nim usiąść i dyskretnie pogadać. Inicjatywa musi wychodzić od psychologa, inaczej nic z tego nie będzie.

Lekarz z centralnej Polski odpisuje ostro: „Psycholog? I co to da? Wyżalę się mu, a on, nie mając zielonego pojęcia o tej pracy, pokiwa głową i napisze do dyrekcji, że mam załamanie psychiczne lub nerwicę i nie powinienem być dyspozytorem?".

Michał wyjaśnia, że w światku dyspozytorów, podobnie jak wśród ratowników na karetkach, ludzie grają twardzieli. Głupio przyznać się kolegom, że jakiś wypadek zrobił na człowieku wrażenie. Psycholog, wchodząc w ten świat, będzie musiał swoje usługi odpowiednio za-

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

W dyspozytorni w Krakowie, która zarządza zespołami ratownictwa w połowie województwa małopolskiego, listopad 2012 r.

reklamować. Przekonać ratowników, że rozmowa z nim nie jest oznaką słabości.

Wiarygodnie sprzedać objaw

Michał swoją osobistą wojnę toczy na kilku frontach. Najtrudniejsza walka to ta z systemem. Bo sytuacje, które w teorii nie powinny się zdarzać, podczas pandemii są na porządku dziennym.

Niedawno Michał odebrał telefon ze szpitala powiatowego, gdzie trafił mężczyzna po wypadku. Stan ciężki. Lekarz z izby przyjęć prosi o pozwolenie na transport pacjenta karetką do szpitala w dużym mieście. Koordynator wojewódzki już wyraził na to zgodę. Michał ma wybór: zgodzić się i modlić, żeby w okolicy, z której zabierze jedyną karetkę specjalistyczną, nie było żadnego wypadku ani zawału. Może też odmówić – co będzie zgodne z prawem, bo karetki tego typu służą do ratowania życia, a nie przewożenia pacjenta między szpitalami.

Jest czwarta rano, Michał chwieje się ze zmęczenia na krześle. Odmawia, uzasadniając to przepisami. Za chwilę znów dzwoni lekarz z izby przyjęć. To awantura numer jeden. Potem wydzwania koordynator. Straszy prokuratorem. Michał twardo obstaje przy swoim. Wie, że jeśli coś się stanie, a karetka będzie w tym czasie w drodze do szpitala wojewódzkiego, winny będzie tylko on – dyspozytor. Po 10 minutach znajduje się cudowne rozwiązanie: lekarz z izby przyjęć przypomina sobie nagle, że szpital powiatowy dysponuje własnym pojazdem do transportu poszkodowanych.

Rano Michał dowleka się do domu. Zanim zaśnie, zadaje sobie pytania. Co by się stało, gdyby szpital nie zapewnił transportu? Co to za system, w którym trzeba ważyć, kto jest wart ratowania: człowiek z krwi i kości po zatrzymaniu krążenia czy potencjalna ofiara zawału, która może nie dożyć przyjazdu karetki?

Albo taka staruszka. Wiek: ponad 80 lat, bardzo uprzejma, opanowana, chociaż w tle słychać było krzyki jej męża. Michał ustalił, że mężczyzna przez kilka dni nie oddawał moczu. Potrzebne było cewnikowanie, a to nie jest sprawa dla pogotowia, tylko dla nocnej opieki lekarskiej. Dostała instrukcje, gdzie ma zadzwonić. Po dwóch godzinach, zapłakana, znowu trafiła na Michała. Lekarz w przychodni powiedział jej, że nie ma cewnika. Michał, zirytowany, poprosił kobietę o pozostanie na linii, i sam połączył się z przychodnią. Lekarz krzyknął, że nie chce z nim rozmawiać. Pielęgniarka przepraszająco wyjaśniła, że pan doktor taki już po prostu jest.

Michał nie chciał odpuścić. Coś go w tej kobiecie ruszyło. Miał wolną karetkę, ale najpierw zadzwonił do chłopaków, żeby wytłumaczyć, dlaczego wysyła ich na tzw. pytę – czyli do zgłoszenia, które nie jest zadaniem dla pogotowia. Następnie wykręcił numer na policję: – Zajrzyjcie do przychodni takiej a takiej, mam podejrzenie, że lekarz dyżurny jest pod wpływem alkoholu.

– Byłem wyspany i w bojowym nastroju. Kiedy ta kobieta szlochała, to myślałem o własnej babci – mówi. – Ale nie chcę robić z siebie bohatera. Jestem przekonany, że gdyby ten telefon zadzwonił podczas trzeciej z rzędu nocki, tobym ją olał. Dostała skierowanie do POZ i numer telefonu do dyżurującego lekarza? Dostała. Czy u męża występuje zagrożenie życia? Na ten moment nie, choć przepełniony pęcherz teoretycznie może pęknąć. Tylko że to nie mój problem. Dla prokuratora i tak byłbym czysty. Jestem pewien, że w ostatnich latach zachowałem się tak wiele razy i nawet tego nie pamiętam.

Napięcie na linii POZ–dyspozytorzy–ratownicy wyjazdowi występuje cały czas. Ci z karetek nazywają dyspozytorów „pelikanami", bo „łykają wszystko", czyli przyjmują zgłoszenia do gorączek i połamanych nóg. Dyspozytorzy narzekają na niewydolne przychodnie, które odprawiają dzwoniących z kwitkiem. Każda z tych grup skarży się na to samo: brak ludzi, zasobów, pieniędzy. Michał mówi, że teraz, w pandemii, jest jeszcze gorzej. I podaje przykład pacjenta z kolką nerkową, który odbił się od przychodni siedem razy, aż w końcu wrócił do Michała. Wkurzony podwójnie, ale też z nowym objawem: bólem w klatce piersiowej. Michał: – Wiedziałem, że ściemnia, ale nie miałem wyjścia, musiałem wysłać zespół.

Kiedyś Michał podsłuchał, jak lekarz, który nie miał czasu na wizytę domową, szkolił pacjenta przez telefon, co ma powiedzieć, żeby dostać karetkę. To mógł być ból w klatce, trudności w oddychaniu albo utrata przytomności – każdy z tych trzech objawów, jeśli zostanie wiarygodnie sprzedany, stawia dyspozytora pod ścianą.

Michał mówi, że teraz dyspozytor to człowiek od zbierania ziemniaków. Ma pozbierać jak najwięcej i jak najszybciej, bo nikt nie przywiązuje wagi do jakości tej pracy. Jeszcze kilka lat temu dyrekcja pogotowia, w którym pracuje, pilnowała tzw. reżimu rozmowy – odsłuchiwała niektóre połączenia i kiedy uznała, że karetkę wysłano niepotrzebnie, wzywała pracownika na dywanik. Teraz nie ma o tym mowy. Dyspozytorów jest mało, starsi odchodzą na emeryturę, nowi nie garną się do tej pracy, więc każdy, kto trwa na stanowisku, jest na wagę złota. Dziś dyspozytor boi się wyłącznie prokuratora. Michał rozumie ten strach, bo im ↦

większe człowiek odczuwa zmęczenie, tym łatwiej o pomyłkę. Pewnie dlatego tak wielu jego kolegów łyka trefne zgłoszenia. Żeby mieć święty spokój.

Mówienie cicho uspokaja

Kolejną linię frontu na wojnie Michała wytyczają sami dzwoniący.

Łatwiej jest mu policzyć zgłoszenia spokojne niż te agresywne. Czasami obrywa nawet od tych, którym wysyła karetkę. Po tym jak zbierze wywiad i ustali, co się dokładnie dzieje, słyszy: „Ty chuju, szybciej się nie da?".

Są rozmowy, które zaczynają się spokojnie, bo poszkodowany, słysząc tyle szczegółowych pytań, wyraźnie się odpręża. Kiedy jednak Michał odmawia wysłania karetki, petent dostaje szału. Zaczyna się spirala przekleństw i wyzwisk, grożenie telewizją i prokuraturą. Średnio na każdą z 12 godzin dyżuru przypada jeden taki telefon. Na szkoleniach uczą dyspozytorów, żeby mówić wtedy cicho, coraz ciszej. To stawia ludzi do pionu, uspokaja. Michał wspomina, że kiedyś za każde podniesienie głosu na dyspozytorni pracownik dostawał upomnienie. Obecnie nikogo już nie dziwi, że przez agresję poszkodowanych trzeba czasami przedzierać się krzykiem.

– Już mnie to nie rusza – mówi Michał. – Może z wyjątkiem jednego: kiedy ktoś grozi, że dopadnie moją rodzinę. Podnosi mi to ciśnienie, bo teoretycznie, gdyby się bardzo postarał, to pewnie mógłby nas znaleźć.

To, co kiedyś go szokowało, dziś już nie dziwi. Na przykład jedna z bolączek sezonu grypowego: rodzice małych dzieci, którzy nie mają w domu apteczki. Jak ojciec, który zażądał karetki z racji gorączki u trzyletniego syna. Był tak wściekły, że gdyby tylko mógł, ugryzłby dyspozytora przez słuchawkę. Michał kazał podać dziecku leki na zbicie gorączki. – A skąd, do ciężkiej cholery, ja mam takie leki wziąć? – krzyczał mężczyzna.

Bywają i tacy dzwoniący, którzy wiarygodnie odmalowują fatalny stan członka rodziny, a gdy widzą miny ratowników, tłumaczą: – My tej karetki wcale nie chcieliśmy, to dyspozytor się uparł, że was wyśle.

Są też tzw. stali klienci, którzy dzwonią nawet po kilkadziesiąt razy w tygodniu. Czują ból w klatce, od 30 lat ten sam. Ratownicy przyjeżdżają, dają coś na ból, czasem zawożą do szpitala na rentgen. Michał już tych ludzi zna, wie, że są to np. chorzy kardiologicznie. Dlatego nie ryzykuje. Sto razy wyśle karetkę po nic, ale ten sto pierwszy raz to może być zawał.

Michał przez 10 lat łączył dyżury na telefonie z pracą ratownika na karetce. – To są dwa rodzaje stresu – mówi. **Gdy jeździł, widywał rzeczy straszne, ale miał pełną kontrolę nad sytuacją.** Kiedy odbiera telefon, krąży wokół sprawy po omacku.

Przed covidem największym wrogiem dyspozytora był piątkowy wieczór. Obecnie wymiotujących i połamanych imprezowiczów zastąpiły pseudocovidowe gorączki („Prawie każdy dzwoniący z podwyższoną temperaturą mówi, że to koronawirus"). Albo spanikowani dodatni, którzy czekają na wynik testu przez tydzień, spokojnie leżąc pod kocem i zbijając sobie gorączkę, a po otrzymaniu wyniku automatycznie zaczynają się dusić. Tak działa autosugestia. Michał rozumie ich panikę i cierpliwie tłumaczy, że obiektywnie nic złego się nie dzieje, i trzeba oddychać, spokojnie oddychać.

Tryb awaryjny na co dzień

Najcięższe walki toczą się na froncie walki ze zmęczeniem. Michał przez kilka lat wypraszał u dyrekcji pokój socjalny dla dyspozytorów. Dyrekcja odmawiała, tłumacząc, że w pracy odbiera się telefony, a nie leży i wypoczywa.

Z nadgodzin uzbierał dodatkowy etat. A i tak liczba zgłoszeń na jego dyspozytorni przekracza możliwości przerobowe pracowników. Rozwiązaniem dla awaryjnych sytuacji miała być tzw. zastępowalność dyspozytorni. Poszkodowany, który na połączenie z 999 czeka pół minuty, jest po upływie tego czasu kierowany do wolnego dyspozytora w innym mieście. Gdy Warszawa się nie wyrabia, połączenia ze stolicy trafiają do dyspozytorów z Krakowa, a oni decydują o wysyłaniu stołecznych karetek. Problem w tym, że wiele dyspozytorni w Polsce funkcjonuje w trybie awaryjnym na co dzień.

Michał: – Łódź się nie wyrabia ze swoimi, bo brakuje im np. pięciu osób, i zgłoszenia od nich wpadają do Krakowa. Krakowskie wpadają do Warszawy, a warszawskie do Gdańska. Jak było więcej dyspozytorów na dyżurach, na kolejne połączenie czekało się nawet pięć minut. Teraz są takie noce, kiedy nie ma kilku sekund przerwy, telefon dzwoni cały czas. Po 10 godzinach pracy non stop mam w głowie już tylko szum. Pytam: boli w klatce czy nie boli? Jak nie boli, proszę się kontaktować z przychodnią. Nie mam siły, żeby każdy przypadek traktować z taką samą uwagą, to jest po prostu fizycznie niemożliwe.

Ostatnie dwa tygodnie pandemii to już nie ekstremum, a prawdziwy armagedon. Do „normalnych" braków w obsadzie doszły covidy i kwarantanny, także wśród dyspozytorów. Pacjenci nie zdają sobie z tego sprawy, bo dzięki zastępowalności zawsze się gdzieś dodzwonią. Ale pętla, jak mówią Michał i Przemek, zaczyna się zaciskać. Dyspozytorzy przyjmujący telefony niemal nie odchodzą od biurek. Wysyłający karetki widzą ekran pulsujący od zgłoszeń, które czekają na zadysponowanie. Część poczeka jeszcze 5 albo 15 godzin. Sztuką jest wyłuskać tych, którzy tyle czasu nie mają.

Michał: – Nawet gdy to się skończy, ludzie dalej będą się wypalać, bo jest zła organizacja pracy, niedobory kadrowe i brak możliwości dłuższego odpoczynku na dyżurze. Jak psycholog ma temu zaradzić? Większy sens miałoby zarządzenie, że trzeba nam zapewnić dyżurki i 45 minut przerwy w nocy. To leży w interesie każdego, nie tylko naszym. Korzyść z tego mieliby i pacjenci, i POZ, i ratownicy na karetkach.

Jedną bitwę – o pokój socjalny – prawie udało mu się wygrać. Wywalczona przez niego dziupla to trzy metry kwadratowe, gołe ściany i stary rozkładany fotel. Obok huczy maszynownia windy. Od dwóch lat nikt tam nie wchodził. Na pięć-dziesięć minut się nie opłaca, a dłuższych przerw przecież nie robią. Michał tłumaczy, że to zwykła ludzka solidarność. – Jesteśmy drużyną. Tutaj każdy wie, że jak pójdzie się zdrzemnąć, to reszta będzie zasuwać potrójnie, odbierając jego telefony.

© ANNA KIEDRZYNEK

My z Szeli

DANIEL FRYMARK / FORUM

Mistrzostwa Polski w Koszeniu Zboża Metodą Tradycyjną, Dziemiany na Kaszubach, lipiec 2016 r.

MICHAŁ RAUSZER, KULTUROZNAWCA:

Lud nie ma naturalnej skłonności do przemocy. Przemoc jest manifestem politycznym wygłoszonym z braku innych środków, o czym warto pamiętać studiując współczesne formy protestu.

RAFAŁ WOŚ: Jakie jest Pańskie pochodzenie?

MICHAŁ RAUSZER: Moi przodkowie byli chłopami i robotnikami. Czyli ewidentnie nie „pańskie".

Jak u mnie. Wszyscy dziadkowie żyli na wsi.

Ja sam wychowałem się na wsi i w miasteczku. Prawidłowego polskiego nauczyłem się dopiero, kiedy poszedłem do liceum. Wcześniej mówiłem gwarą. Babcia często pokazywała mi dom, w którym się wychowała. Opowiadała o przedwojennym głodzie i ciężkiej pracy.

U mnie tak samo. Jako dzieciak zainteresowany historią, często domagałem się od dziadków, żeby mi opowiedzieli, „jak to kiedyś było". To, co słyszałem, kompletnie nie pasowało do tego, co czytałem w książkach. Zamiast o polskim państwie podziemnym, dziadek mi mówił, że najlepiej mu było „za Niemca", jak go wzięli na roboty przymusowe. A gdy spytałem babci, jak wspomina rządy sanacji, to zaczęła coś mówić o... Legionach Piłsudskiego, do których podobno chciał przystać pradziadek. Myślałem, że opowiedzą mi o zamachu majowym, o powstaniu warszawskim, o Jałcie, tylko że to nie była ich historia.

Miliony Polaków mają takie doświadczenia. Idziemy do szkoły i tam dostajemy zupełnie inny rodowód niż ten, z którego faktycznie wyrastamy. To jest też moja frustracja, która doprowadziła mnie do wejścia w badania nad ludową historią Polski. Stopniowo zacząłem rozumieć, że brała się ona z poczucia, że czegoś mi brakuje. Na lekcjach polskiego dowiadywałem się o wspaniałościach dworów magnackich. Czytałem o zwyczajach i dylematach szlachty czy ziemiaństwa. Ale kto te dwory postawił? Kto je obsługiwał?

Nasze prababki, nasi pradziadkowie.

Ich tam nie ma. Są niewidzialni albo żyją bytem osobnym w wyidealizowanym wiejskim skansenie. Ale ten skansen to tylko jedna czy dwie lekcje polskiego albo historii. Wspomnienie pańszczyzny, jako czegoś może niezbyt ładnego, ale jakoś normalnego. A potem znów wracamy do perspektywy szlachecko-ziemiańskiej, która z biegiem czasu zmienia się w perspektywę mieszczańsko-inteligencką. Bo czym jest w naszej zbiorowej pamięci dwudziestolecie międzywojenne? To kawiarnie literackie Krakowskiego Przedmieścia!

Tylko że moi przodkowie tam nie bywali. No i gdzie jest ich historia, ich perspektywa? Dlaczego chłonąc historię mojego kraju, dostaję tylko historię, z którą nie mieli nic wspólnego?

Może właśnie taka powinna być historia? Dawać możliwość uczestnictwa w czymś, z czego nasi przodkowie byli wykluczeni?

Problem w tym, że dla ogromnej części społeczeństwa historia jest jakby protezą przyszytą w miejsce kończyn, które straciliśmy. Wychodzą z tego potem takie wyobrażenia jak przydrożne restauracje w stylu „Chłopskie jadło". Jako specjalność zakładu dostaniemy tam półmisek mięs i kiełbas. Czy nasi chłopscy przodkowie tak jedli? Ich dieta składała się głównie z potraw mącznych, kasz i mleka. Tłuszcz był od święta.

Oczywiście nie chodzi tylko o nazwę restauracji. To tylko sygnał głębszego problemu. W gruncie rzeczy mówimy tu o mechanizmie sprawowania władzy. A to już jest problem bardzo aktualny. Można go pokazać zarówno lekko, jak poważnie.

To na początek lekko poproszę.

Sięgnijmy do kultury popularnej ostatnich lat. Na samym początku powieści „Ziarno prawdy" Zygmunta Miłoszewskiego z 2011 r. pojawia się wątek archiwisty, który przeczesuje stare księgi w poszukiwaniu szlacheckiego rodowodu swoich zleceniodawców. To refleks autentycznego zjawiska, gdy po 1989 r. nadeszło zapotrzebowanie na uzasadnienie rosnących nierówności. W dobrym guście było wtedy odnaleźć sobie herbowego przodka.

Na poziomie filmu zrobili to Andrzej Wajda i Jerzy Hoffman, ekranizując w 1999 r. „Pana Tadeusza" i „Ogniem i mieczem". Jedna z tez głosi, że oba te filmy nieprzypadkowo były najbardziej kasowymi przebojami kinowymi po 1989 r. Po prostu istniał popyt na nowy postszlachecki rodowód dla nowej klasy średniej.

↦

W paradoksalny sposób działało to także na ludzi ze społecznego marginesu. Dobrze to było widać w sitcomie „Świat według Kiepskich", nadawanym od 1999 r. Główny bohater, Ferdynand Kiepski, nie jest człowiekiem, któremu się w życiu udało: utrzymuje go żona, on sam głównie pije piwo. Ale jest jedna rzecz, która pozwala Kiepskiemu zachować resztki godności. To wiszący na ścianie portret nobliwego przodka.

A poważniejsze konsekwencje braku ludowego spojrzenia na naszą historię?

Polska historia łatwo przechodzi do porządku dziennego nad czymś, co wydarzyło się między XV a XIX w., a co było początkiem kształtowania się kapitalizmu. Poza Europą to była kolonizacja Ameryk, Afryki i sporej części Azji przez europejskie potęgi, ale towarzyszyły temu także procesy czegoś w rodzaju kolonizacji wewnętrznej. Czyli znaczącego zaostrzenia wyzysku tej części społeczeństwa, która nie posiadała wpływu na proces polityczny.

W Polsce też to się wydarzyło?

Tak. To właśnie wtedy dochodzi do kolonizacji chłopstwa przez szlachtę. Jeszcze w XV w. pańszczyzna wynosiła kilka dni rocznie. W XVI w. to już minimum jeden dzień tygodniowo. Do tego szlachta zaczyna zyskiwać *de facto* nieograniczoną władzę nad ludem. Właściwie do końca trwania Rzeczypospolitej – no może poza tzw. dobrami królewskimi – chłop nie znał innego pana niż ten konkretny pan, któremu podlegał. Jakiegoś innego suwerena wprowadzili do gry dopiero zaborcy. W Polsce wyzysk był sprywatyzowany.

I co z tego wynika dla nas?

W historii nigdy nie ma tak, że wyzysk jest po prostu nagim wyzyskiem. Większość wyzyskujących woli go ubrać w jakieś uzasadnienie. W opowieści szlachty panowanie nad ludem było normalną koleją rzeczy. Wynikało po prostu z tego, że szlachta posiada zestaw cech panowanie uzasadniających: właściwe pochodzenie, właściwy styl życia, właściwe myślenie, zachowanie przy stole, sposób mówienia. Walerian Nekanda Trepka w słynnej pracy „Liber chamorum" (Księga chamów) daje długą listę określeń osób pochodzących spoza stanu szlacheckiego. Bajstruk, buhaj, gnojek, kundel, nadmidupa, pomyje, suka, złodziej, bękart...

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

MICHAŁ RAUSZER jest etnografem, doktorem kulturoznawstwa, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim. Zajmuje się badaniami nad konstruowaniem tożsamości kulturowej i kulturową historią buntu. Właśnie nakładem wydawnictwa RM ukazała się jego książka „Bękarty pańszczyzny. Historia buntów chłopskich".

Proszę, niektóre się nawet przyjęły.

Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak dobrze. I to jest ciągle ten sam schemat, wedle którego szlachta konstruowała wyobrażenia na temat siebie. Tylko mając odpowiednie poglądy, można zyskać status ludzi rozumiejących społeczeństwo obywatelskie i prawdziwą demokrację. A ci, co wybierają inaczej, są po prostu gorsi.

Żeby to zadziałało, musi być cały zestaw negatywnych skojarzeń z ludem. Inaczej ludem nie dałoby się straszyć.

Oczywiście, że taki zestaw istnieje. Jako autor książki o powstaniach chłopskich muszę często odpowiadać na pytanie, czy postawiłbym pomnik przywódcy rabacji galicyjskiej, Jakubowi Szeli?

A postawiłby Pan?

Nie postawiłbym. Postawiłbym pomnik rzeszom bezimiennych chłopek, które na swoich plecach nosiły te cztery wieki pańszczyzny. Ale przecież nie o to chodzi.

A o co?

Rozmawiamy o wygumkowaniu tradycji chłopskiej i ludowej z naszej wspólnej historii. Staram się przekonywać, że to się nie dzieje bez konsekwencji. Jedną z nich jest przedstawianie historii chłopskiego czy ludowego oporu wobec niesprawiedliwości jako czegoś moralnie podejrzanego i niebezpiecznego.

Może faktycznie były niebezpieczne i podejrzane.

W naszej historii miały miejsce trzy wielkie powstania ludowe. A także bardzo wiele mniejszych. Pierwsze jest powstanie Chmielnickiego z połowy XVII w. Dziś powszechnie przedstawiane jako konflikt narodowościowy. Antypolski bunt wymierzony w Rzeczpospolitą i prowadzący do jej osłabienia.

Nóż wbity w plecy Polski przez pijanych Kozaków.

W rzeczywistości to był bunt ludowy zainicjowany przez Kozaków zaporoskich, którzy byli w dużej mierze chłopami zbiegłymi jak najdalej się dało przed wyzyskiem pańszczyzny. To chłopi stanowili o sile tego buntu, nawet jeśli sam Chmielnicki miał inne plany. Jedno ze źródeł podaje, że w roku 1649 w zupełnie innej części Rzeczpospolitej chłopi napadli na pana Suchorzewskiego i mieli przy tym krzyczeć: „Ej, dałby nam tu Pan Bóg pana Chmielnickiego, nauczylibyśmy tych panków, jak to szarpać chłopa".

Co było dalej?

Powstanie zostało, jak wiemy, stłumione. A na chłopów spadły bezwzględne represje. Nad tym historia głównego nurtu przechodzi do porządku dziennego.

Bunt Chmielnickiego to był jednak dopiero początek.

Dwa kolejne wielkie powstania to tzw. koliszczyzna z 1768 r. oraz rabacja galicyjska z 1848 r. Wielki historyk Eric Hobsbawm uważał tę ostatnią za kluczowe wydarzenie w historii XIX-wiecznej Europy. Jego zdaniem to był moment, w którym strony zaangażowane w Wiosnę Ludów zdały sobie sprawę, że chłopi są czynnym podmiotem historii. I że trzeba ich brać pod uwagę w politycznych rachubach.

W tym sensie od buntu Szeli wychodzą zarówno radykalne koncepcje pełnego równouprawnienia chłopów pod względem politycznym, jak inicjatywy zastąpienia pańszczyzny czynszem, forsowane

przez próbujące bronić *status quo* europejskie dwory. Jednak w naszej historii koliszczyzna i rabacja to raczej przestrogi przed przemocą, jaką ze strony ludu doświadczyć może każdy, kto stanie mu na drodze.

Bo ta przemoc była prawdziwa.

Oczywiście, że była. Koliszczyzna zakończyła się rzezią humańską, w której życie z rąk chłopstwa straciło 15-22 tys. ludzi. W tym Żydzi, bo tamte wydarzenia miały mocny antysemicki charakter. Historia rabacji to także przede wszystkim historia przemocy i grabieży.

To jak celebrować pamięć o tych buntach, skoro były krwawe?

Gdy idzie o powstania narodowe, jakoś nie mamy z tym większego problemu. Celebrujemy je i opieramy na nich zbiorową tożsamość, choć przecież we wszystkich ginęli ludzie i działa się przemoc. Powstania chłopskie są mierzone inną miarą.

A gdyby mierzyć je tą samą, to jakby to wyglądało?

Trzeba dostrzec, że przemoc pojawia się w historii zazwyczaj dopiero wtedy, gdy ludzie nie mają innych możliwości zabrania głosu w ważnych dla nich sprawach. Fachowo by to można nazwać wyrzuceniem ze sfery politycznej.

O powstaniach narodowych umiemy tak myśleć. Zaborca czy okupant zabrał nam prawo głosu. Więc my je sobie odebraliśmy, choćby i przemocą. Zastosowanie tych kryteriów wobec powstań chłopskich pozwoliłoby nam zbudować wokół nich nową pamięć. Ta pamięć nie polegałaby na gumkowaniu Humania albo Szeli. Ale wymagałaby przyjęcia do wiadomości, że lud nie ma żadnej naturalnej skłonności do przemocy. Przemoc jest manifestem politycznym wygłoszonym z braku innych środków. To się – oczywiście na innym poziomie – manifestuje nawet dziś. Bezradność i poczucie zagrożenia po stronie sporej części kobiet sprawia, że najnowsze protesty odbywają się pod konfrontacyjnym hasłem „wypierdalać". Gdyby były inne kanały wywierania wpływu, ten język nie musiałby być taki ostry.

Skoro tak, to dlaczego zrównanie powstania Chmielnickiego z, powiedzmy, powstaniem warszawskim u wielu budzi tak wielkie opory?

Wydaje mi się, że w Polsce jest słabo z tzw. polityką emancypacyjną. Paradoks polega na tym, że spora część winy leży po stronie tych, którzy się do polityki emancypacyjnej najchętniej lubią odwoływać.

Warto zwrócić uwagę, że we współczesnej Polsce emancypacja różnych grup wykluczonych ekonomicznie najczęściej odbywa się w, jakby to ująć, takim bezpiecznym oddaleniu. Np. geograficznym. Często grupy mające na sztandarach równouprawnienie wybierają sobie wykluczonych podopiecznych, którzy są gdzieś daleko. Np. chłopów w Ameryce Południowej.

Czemu tak daleko?

Bo ich emancypacja niewiele nas będzie kosztowała, nie utracimy wpływu na proces polityczny i nie będziemy się musieli z „andyjskimi Januszami" użerać na co dzień. Jednocześnie poczujemy się lepiej – w końcu poparliśmy walkę o prawa człowieka.

Niedawno Nagrodę Nike za książkę o Szeli dostał Radosław Rak. Nagrodzie patronuje środowisko, które jeszcze dekadę temu zwalczało przywódcę chłopskiego Andrzeja Leppera. Choć Lepper był w porównaniu z Szelą politykiem umiarkowanym.

Znów musi być bezpieczna odległość – tym razem czasowa, żeby móc się w ogóle tym zajmować. Dopiero ta odległość sprawia, że temat emancypacji traci swój polityczny walor. Łatwiej z tego dystansu zasłonić cechy, które się nam w emancypowanej mniejszości nie podobają.

Co nam to mówi o intencjach emancypującego?

Problem w tym, że nie chodzi tu o żadną emancypację, tylko o paternalizm. Mamy cały zestaw moralnych cech, które jakaś mniejszość musi posiadać, aby zyskała naszą moralną akceptację. Jeśli tych cech nie posiada, zostaje skazana na potępienie. Dlatego dziś środowiska mające emancypację na sztandarach najchętniej emancypowałaby „podobnych do siebie". Podmiotem takiej kulawej polityki emancypacyjnej można stać się tylko wtedy, jeśli polubi się na Facebooku odpowiednie inicjatywy, które emancypatorom odpowiadają. Jeśli ktoś woli disco-polo, a w sobotę wieczorem kiełbasę i piwo, to niestety.

Dlatego emancypacja ludu na tym etapie jest taka trudna. Bo lud nie jest wart uwagi, czasem przeraża. A im mniej jest w obiegu zbiorowym ludowej historii, tym przeraża bardziej. I tym mniej interesuje kogokolwiek, by bić się o jego emancypację. ©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

REKLAMA

Pomóż syryjskim dzieciom stanąć na nogi.

Przekaż darowiznę:
62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

PMM.ORG.PL

Polska Misja Medyczna
BUDUJEMY POMOC

WIARA

DOGMAT PRZED DRAMATEM

KAROL TARNOWSKI, FILOZOF:

Wojtyła był przekonany, że Duch Święty działa przede wszystkim przez instytucję. Niestety, sprawowanie Eucharystii nie uświęca księży automatycznie.

ARTUR SPORNIAK: Wydaje się, że powinniśmy na nowo przemyśleć pontyfikat Jana Pawła II.

KAROL TARNOWSKI: Na pewno. Choć nie sądzę, aby nowe rozumienie tego pontyfikatu rzutowało w sposób decydujący na to, co Jan Paweł II w sposób oczywisty zrobił dobrego w świecie, także w Polsce: np. wsparcie Solidarności i danie ludziom nadziei, której bardzo potrzebowali w okresie komunizmu.

Dopowiedzmy: walka z antysemityzmem i zmiana nastawienia Kościoła do Żydów, przełomowe dla dialogu międzyreligijnego spotkanie w Asyżu, rachunek sumienia Kościoła w Roku Jubileuszowym 2000, zainicjowanie teologii miłosierdzia, którą rozwija obecnie Franciszek. Te osiągnięcia są trwałe.

Także jego pisma są ważne. Natomiast trzeba przemyśleć, choć pewnie nie do końca jest to możliwe, sprawę jego uwikłania w działalność kurii rzymskiej – tego mrocznego gniazda intryg. Jak do tego mogło dojść? Z charakterologicznego punktu widzenia to jest tak, że Jan Paweł II bardzo wierzył w ludzi. Oczywiście, bywały grupy, względem których był surowy, np. wobec teologów wyzwolenia, ale generalnie ufał ludziom i to sprawiało, że z wielkim trudem docierały do niego informacje o ich paskudnych wadach. Daleko idące zaufanie staje się w pewnych sytuacjach słabością. W naszym środowisku – w środowisku jego wychowanków – doświadczaliśmy tego zaufania. Zawsze wolał w nas widzieć dobro niż zło. Trudno jednak uznać to za usprawiedliwienie. Liczni komentatorzy raportu o McCarricku mówią, że Jan Paweł II był manipulowany. Jak to jednak możliwe, że tego nie dostrzegał?

Dominują skrajne reakcje: jedni wzywają, by odbierać papieżowi nazwy ulic, inni wołają, że to „kamienowanie świętego". I jedni, i drudzy nie potrzebują nic badać. Kim on dla nas wciąż jest?

Kimś, kto wywyższył Polaków w ich własnych oczach. On z nas wyrósł i reprezentuje wszystko, co najlepsze w polskim katolicyzmie. Stał się ikoną przekraczającą jego samego. Jest to częściowo prawda, a częściowo nieprawda. Jest prawdą w tym, że wyrastał z polskiej kultury, zwłaszcza romantycznej, ale także z renesansu – z Polski Jagiellońskiej. On się tym karmił i jak się wydaje – miał instynkt prawidłowy, ↦

CHRISTOPHER FURLONG / GETTY IMAGES

Na pogrzebie Jana Pawła II, w pierwszym rzędzie po lewej kard. Theodore McCarrick. Watykan, 8 kwietnia 2005 r.

↦ bo stawiał na Polskę pluralistyczną związaną z kulturą zachodnią. Nie bardzo to jednak przenika do kultu, którym jest otaczany. Ten kult wydaje mi się groteskowy, wyraża się przede wszystkim w stawianiu pomników, w większości nieudanych. Jest to szalenie powierzchowne.

Czy teraz go kamienujemy? Nie bardzo wiadomo, jak się do zarzutów ustosunkować, dlatego że sprawy odpowiedzialności, którą na pewno jako papież ponosi, nie można traktować mechanicznie. Wojtyła nie miał wglądu we wszystkie sprawy – był informowany, a reakcja zawsze jest zależna od sposobu naświetlenia. Informacje miały wielu pośredników: kurialiści, nuncjusze, biskupi. Przy tym niejasna rola Stanisława Dziwisza i mnóstwo fatalnych nominacji biskupich.

Nietrafione nominacje są rzeczywiście tajemnicą tego pontyfikatu.

Jan Paweł II miał ciekawą wizję kierunku, w którym powinien kroczyć Kościół, miał też swoje marzenia o Polsce, ale nie miał szczęśliwej ręki do ludzi.

Co do tej wizji Polski też można mieć zastrzeżenia. Na przykład zdaniem Józefy Hennelowej papież chciał, by katolicyzm został wprowadzony do prawnych struktur państwa. Dzisiaj widać, jakie to ryzykowne.

Mogę zaświadczyć z prywatnych kontaktów, że Karol Wojtyła nie był klerykałem. W bardzo pięknym filmie o papieżu Franciszku „Tango papieża" pojawia się stwierdzenie: „on był jednym z nas". Nie wiem, czy mógłbym tak powiedzieć o Wojtyle. On jednak miał wśród nas wielki autorytet, który nie pozwalał umieszczać go między nami. Na pewno się nie spoufalał. Ale umiał być bardzo naturalny, słuchał, co mamy do powiedzenia, i wydaje mi się, że nas rozumiał. Wyzwalał w młodych nowego ducha, miał też wpływ na inteligencję, czego przykładem były współpraca i współmyślenie – czasem krytyczne – z „Tygodnikiem Powszechnym".

Niestety, był też bardzo przywiązany do tradycji. Miał głęboki zmysł historii – co do tego nie mam wątpliwości – który wyprowadzał go z płytkiego i sklerykalizowanego myślenia XIX wieku czy z międzywojennej myśli endeckiej. Ale to zakorzenienie w tradycji sprawiało, że irytował się krytyką Kościoła. Owszem, doceniał Sobór Watykański II, sam zresztą się

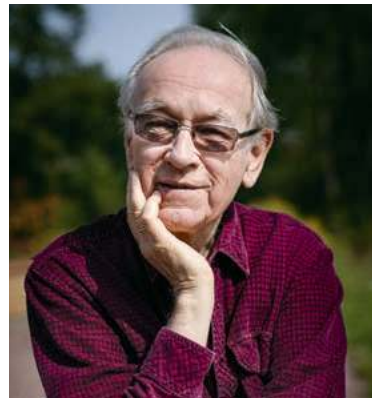

GRAŻYNA MAKARA

PROF. KAROL TARNOWSKI jest filozofem, wykłada filozofię w UPJPII i UJ, członek redakcji miesięcznika „Znak". Jest wychowankiem duszpasterstwa prowadzonego przez ks. Karola Wojtyłę.

do niego przyczynił. Ale pamiętam jedno spotkanie redakcji „Tygodnika" z Wojtyłą, na którym rozmawialiśmy o reformach soborowych. Pojawiła się tam otwarta krytyka pewnych form Kościoła przedsoborowego. On tego nie lubił. Był niezadowolony, że cieszyłem się z tej krytyki.

Krytykował w listach Turowicza, że relacjonuje spory wewnątrzkościelne. Uważał, że zamiast informować, trzeba formować. Turowicz odpowiadał, że formacja oderwana od rzeczywistości nie może się udać. Dla mnie to dowód, że na jakimś poziomie w swoim myśleniu Wojtyła był klerykałem: uważał, że reformować Kościół trzeba po cichu i bez świeckich.

W tym jego historycznym zmyśle było jednak coś ahistorycznego. Rola historii ograniczałaby się do tego, że wyłoniła jakiś monolit, który z istoty jest niezmienny. Co prawda, Wojtyła nie był w tym całkowicie konsekwentny, bo przecież przepraszał za historyczne winy Kościoła. Ale zdecydowanie górę brała w nim miłość do Kościoła. Tak, ona była najważniejsza.

Miłość do instytucji! „Kościół nie czuł się dość miłowany" – zarzucił „Tygodnikowi" w 1997 r. Instytucja, która wówczas rozpychała się łokciami w przestrzeni publicznej w walce o wpływy, miała być bezdyskusyjnie kochana. Przedziwne!

Rzeczywiście Wojtyła był przekonany, że chrześcijaństwo jest fundamentem kultury europejskiej (co w odniesieniu do Polski dzisiaj powtarza Jarosław Kaczyński) i w związku z tym powinno przenikać życie społeczne i polityczne. Ale od tego stanowiska, które w pewnej mierze może być słuszne, bo chrześcijaństwo przecież budowało zręby cywilizacji europejskiej, jest o krok od silnego związku ołtarza z tronem.

Papież nie potępiał niewierzących – zresztą nigdy nie można mieć pewności, czy ktoś wierzy, czy nie wierzy. Szanował ich, uważał jednak, że są to ludzie...

...nieszczęśliwi, zatem nie mogący dobrze poukładać porządku społecznego.

Tak.

Uważał, że prawda jest dana „z góry" jako wspomniany doktrynalny monolit i nie trzeba jej korygować przez konfrontowanie z rzeczywistością, tylko od razu ją wcielać.

Widoczne jest to zwłaszcza w jego filozofii moralności. Choć jednocześnie doceniał cielesność jako twór Boga – w jego myśli nie było śladu manicheizmu.

Ale znaczeń seksualności, z których wyprowadzał wnioski etyczne, szukał nie w ludzkiej miłości, tylko w micie o stworzeniu z Księgi Rodzaju.

To rzeczywiście było mało realistyczne. Bardzo wzniośle pojmował seksualność i rodzicielstwo. Dla niego seks był uczestnictwem w Bożym akcie stworzenia, ponieważ mogło z niego zrodzić się dziecko. Antykoncepcja była zatem niedopuszczalna, gdyż była działaniem skierowanym przeciw Bogu. Ale Wojtyła wiązał to niestety z moralnością typu kantowskiego, czyli moralnością nakazów i zakazów. Zakaz przekraczania normy staje się ważniejszy od wolności człowieka.

Takie absolutystyczne traktowanie normy prowadzi do zaprzeczania rzeczywistości, gdyż zakłada, że nigdy nie staniemy przed rzeczywistym dylematem moralnym, w którym każdy wybór będzie zły, np. pozwolić umrzeć matce i dziecku, czy uratować przez aborcję przynajmniej ją.

Wojtyłę charakteryzowała skrajna niechęć do sytuacjonizmu moralnego, stawiającego bardziej na roztropność niż na doktrynę. Jan Paweł II stawiał na doktrynę. Na wszystko patrzył przez jej pryzmat. Znikały wówczas konkretne dra-

maty ludzi, których nie da się doktryną rozwiązać.

To nie było płytkie doktrynerstwo. On rozumiał doktrynę głęboko, ostatecznie stawiał na Chrystusa. Człowiek jako osoba jest drogą Kościoła, ale bez Chrystusa nie można zrozumieć człowieka. Tyle że ten Chrystus był w jego myśleniu silnie zinterpretowany doktrynalnie – drogą do niego były dogmaty. A przecież Wojtyłę też to zarazem niepokoiło – interesował się np. mistyką Jana od Krzyża. Miał poczucie, że doktryna nie wystarcza. W swojej poezji ukazywał się jako człowiek wrażliwy na konkret. Ostatecznie przeważała jednak wiara w Kościół, postrzeganie go jako konieczne następstwo działania Jezusa. Przyznam, że ja osobiście nie całkiem rozumiem, dlaczego nie można wierzyć w Boga i w Jezusa, nie wierząc w instytucję Kościoła.

Dzięki Franciszkowi wyraźniej dostrzegamy ograniczenia doktryny. Bergoglio uważa, że życie jest od niej bogatsze i czasami trzeba improwizować, nie bojąc się błędów. „Doktrynalne" podejście utrwala klerykalną wizję Kościoła – bo to kler przede wszystkim ma dostęp do owej doktryny. Potrzebujemy zatem przewodników. Dla Franciszka duchowieństwo ma towarzyszyć ludziom w życiowej drodze i pomagać w jej rozeznawaniu.

Mam olbrzymie poczucie wyzwolenia w zetknięciu z Franciszkiem. On próbuje inaczej ustawić funkcjonowanie Kościoła. Niestety wciąż zmaga się z teologią Jana Pawła II, która nierealistycznie wysoko stawia poprzeczkę i sakralizuje instytucję.

Wspomniałeś, że Wojtyła nie był klerykałem. Potwierdza to np. świadectwo Haliny Bortnowskiej, zaangażowanej w synod diecezji krakowskiej. „Kiedy się skarżyłam biskupowi Wojtyle, że trudno się doprosić księżowskiej obecności na zebraniach zespołu synodalnego, odpowiedział: »Czego oczekujesz; oni przez tyle lat się uczyli, że mają być słuchani, a nie sami słuchać – i to w dodatku robotników, albo co gorsza ich żon...«". Dostrzegał to, a mimo wszystko wspierał taką wizję Kościoła?

Gdy bardzo intymnie rozmawiałem z nim na temat środków antykoncepcyjnych, doradził: „Całe życie pracowałem nad moralnością seksualną i już tego nie zmienię, ale zmień spowiednika". Problem w tym, że spowiednik nie miał zielonego światła do rozstrzygania innego, niż przewidywała doktryna, np. w trudnych sytuacjach na korzyść penitenta. I koło się zamykało. Wojtyła, jak powiedziałem, ostatecznie postawił na sakralność Kościoła.

To widać np. w tym, jak rozumiał rolę kapłanów. W ostatnim swoim liście na Wielki Czwartek 2005 r. pisał z kliniki Gemelli: „Z naszego odniesienia do Eucharystii wynika bardzo wymagający charakter »sakralny« naszego życia. Świętość powinna być widoczna w całym stylu bycia".

Księża czują się „namaszczeni" i to ich etycznie zobowiązuje. Uważam, że powinni świecić przykładem. Ale co zrobić, jeżeli tym przykładem nie są? Moim zdaniem powinno się to ujawniać, a Wojtyła nie był za tym. Chyba myślał w ten sposób: żeby nie gorszyć, bo zgorszenie pomniejszy Kościół w oczach ludzi.

Pod koniec życia z powodu choroby Jan Paweł II nie miał już sił mierzyć się z problemem pedofilii w Kościele. Ale to usprawiedliwienie nie może dotyczyć np. sprawy kard. Hansa Hermanna Groëra, metropolity Wiednia, oskarżonego w 1995 r. o nadużycia seksualne wobec nieletnich chłopców. Papież zdjął go z urzędu dopiero po desperackim oświadczeniu austriackich biskupów, że uzyskali „moralną pewność" co do winy metropolity. Ale Groër nigdy formalnie nie został osądzony, przez co do dziś Kościół austriacki jest silnie podzielony.

W Kościele współczesnym Wojtyle nie doceniano jeszcze wagi takich spraw. On wolał mówić o hierarchach raczej dobrze niż źle, nie pozwalał na krytykę. Tym można tłumaczyć fakt, że podczas wizyty Jana Pawła II w Austrii w 1998 r. ówczesny sekretarz stanu kard. Angelo Sodano – postać, co do odpowiedzialności której za krycie pedofilii wciąż nie mamy jasności – publicznie skrytykował biskupów austriackich za ich postawę wobec Groëra.

Poglądy Wojtyły na Kościół są niejednoznaczne. Z jednej strony nie można mu odmówić intuicji rozwoju doktryny, w tym sensie, w jakim Sobór był rozwojem doktryny. Ważne dla niego było dowartościowanie świeckich, dlatego wspierał różne oddolne ruchy kościelne. Doceniał też autonomię świata – pod tym względem był bardzo maritainowski. Z drugiej strony, był więźniem tradycyjnego rozumienia Kościoła, które zbyt wiele w tej instytucji sakralizuje. Wojtyła był przekonany, że Duch Święty przede wszystkim działa przez instytucję, czyli także przez księży. Sprawowanie Eucharystii uświęca księży. Niestety, nie dzieje się to automatycznie.

Duch Święty nie „wieje" w Kościele?

Gdyby nie „wiał", nie byłoby Franciszka. Co nie znaczy, że Jego działanie łatwo rozpoznać. Sądzę jednak, że nie „wieje" przez struktury jako takie.

W dzisiejszym kryzysie w pewnym sensie najłatwiejsze jest wystąpienie z Kościoła. Ale jak się ma choćby krztynę wiary katolickiej, to lepiej próbować wspierać reformę. Natomiast nie wiem, jak reformować Kościół w Polsce, który wydaje mi się kompletnie sklerykalizowany i zmurszały.

A jak reformować Kościół powszechny?

Przez zniesienie celibatu. Normalne małżeńskie życie zupełnie inaczej nastawiłoby księży do świata.

W rozstrzygnięciu sprawy kard. Groëra w ogóle nie wzięto pod uwagę perspektywy ofiar. Czy to nie kłóci się ze świętością Jana Pawła II?

Kłóci się. Ale w latach 90. Kościół był jeszcze na etapie, na którym perspektywa ofiar nie była obecna, a sprawy próbowano wyciszać czy wręcz ukrywać. Dziś brak zwyczajnej psychologicznej empatii wobec ofiar jest skandalem, wtedy tak tego nie postrzegano. Nauczyliśmy się czegoś ważnego.

Pojawiły się głosy, że kanonizacja była pochopna. Też tak uważasz?

Jednak nie. Poza wszystkim innym pamiętajmy, że pierwszy o to upomniał się owym „santo subito" lud Boży.

Podmuch Ducha Świętego?

W zmyśle wiary zwykłych wierzących także się On przejawia.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Adwent na pustkowiu

PIOTR SIKORA

Obecny kryzys Kościoła dla wielu z nas jest też kryzysem osobistej wiary. Czy to jednak koniec, czy początek nowego życia?

Rorate caeli de super, et nubes pluant iustum – „Niebiosa rosę spuśćcie nam z góry, Sprawiedliwego wylejcie chmury". Tak rozpoczyna się najbardziej adwentowa pieśń kościelna. Śpiewana na chorałową melodię w ciemnej, gotyckiej bazylice dominikanów przez studentów pochodzących z wielkomiejskich inteligenckich rodzin; w ludowej wersji muzycznej rozbrzmiewająca w parafialnych kościołach, zapełnionych przez dzieci trzymające lampiony z latarek, tektury i kolorowej folii. Było tak do niedawna.

Na roratach w tym roku tłoku zapewne nie będzie. Pandemia – ale nie tylko. A przecież gdy tę średniowieczną parafrazę fragmentu Księgi Izajasza śpiewały tłumy, jej treść nie była tak dokładnym opisem konkretnych aktualnych okoliczności, nie pasowała wówczas do świata tak ściśle, jak pasuje do kościelnej sytuacji w Polsce *anno Domini 2020*: „Oto miasto Świętego opuszczone, Syjon stał się pustkowiem, Jerozolima wyludniona i pusta Świątynia Twoja, dom chwały Twojej, gdzie wielbili Cię nasi ojcowie".

Tak, miejsca, w których wielbili Cię nasi ojcowie i nasze matki, pustoszeją, otoczone teraz przez barczystych młodzieńców, o krótkich włosach i srogich twarzach, którzy poza tym chętnie maszerują usiłując trafić racami w okno ozdobione tęczową flagą. A wokół młodzieńców oddziały policji w hełmach, dzierżących w rękach pałki i tarcze, niektórzy nawet konno.

Przyczyna i skutek

Są hierarchowie, politycy i publicyści, którzy przypominają z naciskiem, skąd pomysł otaczania kordonem kościołów: że wymalowano na murach kilku z nich wulgarne napisy, że kilka mszy zostało przerwanych przez osoby protestujące przeciw prawnemu rozstrzygnięciu, z którego cieszyłby się – mówią – Jan Paweł II, że pod tą czy inną kurią tłum krzyczał wulgarne hasła. To wojna – mówią i dodają: nie tylko wojna kultur, lecz wojna dobra ze złem, a właściwie atak sił zła na Kościół.

Inni widzą bardziej przenikliwie i mniej egocentrycznie. Ci, szukając przyczyn pustoszenia świątyń, a nawet gniewu wyrażanego na ich murach, gotowi są pójść tam, gdzie prowadzi pieśń i przyznać: „Zgrzeszyliśmy i staliśmy się jak nieczysty. I opadliśmy wszyscy niczym zwiędłe liście. A nieprawości nasze jak wiatr nas rozniosły. Zakryłeś przed nami swą twarz i wydałeś na pastwę naszych grzechów".

Dla wielu jednak pęknięcie sięga głębiej, tam, gdzie słowa pieśni już nie prowadzą. Od modlitwy Izajasza bliższa ich doświadczeniu jest diagnoza Nietzschego. Być może, rodzi się coraz wyraźniejsze podejrzenie, miał rację ów arcykrytyk chrześcijaństwa, gdy z pasją potępiał jego hierarchiczną postać. Czyż bowiem w obliczu ujawniania się zła obecnego w instytucjonalnej strukturze Kościoła nie trzeba uznać jego przenikliwości, gdy pisał, że „kapłan, pasożytniczy typ człowieka, rozkwitający tylko kosztem wszelkich zdrowych tworów życia, nadużywa imienia Boga: »Królestwem Bożym« nazywa taki stan rzeczy, w którym właśnie kapłan określa wartość rzeczy"?

Ich oceny wydają się toksyczne, stojące na przeszkodzie ludzkiemu rozwojowi. W licznych chrześcijańskich wspólnotach tworzonych przez ludzi religijnie bardzo zaangażowanych dominuje „teologia lęku" przed wszechobecnymi – jakoby – duchowymi zagrożeniami. Nie brak kościelnych kręgów, nawet na katolickich uczelniach, gdzie stawianie trudnych pytań i samodzielne dociekania postrzegane są jako brak lub podważanie wiary. Moralizujący teologowie i kaznodzieje często usiłują wtłoczyć ludzi w gorset przepisów, zamiast pomagać w rozwoju dojrzałej wolności.

Więcej jeszcze – wiele osób wierzących nie może tak po prostu utożsamić się ze słowami adwentowej pieśni, która łączy kryzys religijnych instytucji nie z atakiem z zewnątrz, lecz z grzesznością ludzi religijnych, gdyż problematyczna okazuje się dla nich sama kategoria grzechu. Doświadczali i doświadczają bowiem, że nieraz bywała, a i teraz bywa używana w niecnym celu podporządkowania sobie jednych ludzi przez drugich. Poczucie winy to bowiem potężny środek uzależniający.

Znowu – w doświadczeniu wielu – trafny wydaje się opis Nietzschego: „Nieposłuszeństwo wobec Boga, to znaczy wobec kapłana, wobec »Prawa«, otrzymuje miano »grzechu«, środki, dzięki którym można się ponownie »pojednać z Bogiem«, są, rzecz jasna, środkami, które jeszcze gruntowniej gwarantują podporządkowanie kapłanowi: jedynie kapłan »wybawia«". Dlatego nie bezzasadna wydaje się sugestia, że „z psychologicznego punktu widzenia w każdej zorganizowanej przez kapłanów społeczności niezbędne stają się »grzechy«: są one właściwym instrumentem władzy".

W ilu z nas budzi się dziś poczucie duchowej opresji ze strony tych, którzy

DAVID BECKER

Kometa Neowise nad pustynią w Jean w Newadzie, gdzie można oglądać instalację artystyczną „Seven Magic Mountains" Ugo Rondinonego, 15 lipca 2020 r.

prawiąc o moralności, są przedstawicielami instytucji doświadczanej jako moralnie skorumpowana? Czy nie dlatego dla wielu staje się nieznośne, iż „wszystko jest tak w życiu urządzone, że kapłan jest wszędzie niezbędny, przy wszystkich naturalnych wydarzeniach życiowych, przy narodzinach, ślubie, chorobie, zgonie"? Czy nie to jest przyczyną pustoszenia świątyń? Owszem, nawet jeśli zasadniczo prawdziwa jest diagnoza proroka – iż miejsca święte pustoszeją, ponieważ zgrzeszyliśmy – to konieczna staje się precyzyjna identyfikacja, kto powinien to wyznać. Zbyt łatwo ów grzech przypisać nie tym, którzy naprawdę ponoszą winę. Istnieje pokusa, by rozmyć odpowiedzialność, obciążając tych, którzy w istocie należą raczej do ofiar niż sprawców. Ulec zaś tej pokusie – znaczy mnożyć krzywdę.

W płomieniach

Dramat staje się tym większy, im bardziej owa postać chrześcijaństwa była związana z samym rdzeniem osobistej wiary. Wówczas z egzystencjalnym stanem ducha współbrzmi już nie tylko Nietzscheański atak na hierarchiczne instytucje religijne, lecz wieszczony przez tego filozofa upadek całej hierarchii wartości, którymi dotąd kierowaliśmy się w życiu, wyschnięcie źródła sensu tego życia. Zaczynamy rozumieć znaczenie krzyku szaleńca z „Wiedzy radosnej": „Szukam Boga! Szukam Boga! (...) Gdzie się Bóg podział? (...) Powiem wam! Zabiliśmy go, wy i ja! Wszyscy jesteśmy jego zabójcami! Lecz jakżeż to uczyniliśmy? Jakżeż zdołaliśmy wypić morze? Kto nam dał gąbkę, żeby zetrzeć widnokrąg?".

Ogłaszana tu śmierć Boga nie jest wydarzeniem o obiektywnej, metafizycznej naturze. Rozgrywa się w przestrzeni ludzkiego doświadczenia. Co wcale nie umniejsza jej znaczenia. Przeciwnie – dla tych, którzy jej doświadczają, jest czymś dotkliwszym niż niemożliwa do osobistego sprawdzenia odpowiedź na pytanie, jaka jest naprawdę natura kosmosu. Zniknięcie sprzed oczu duszy boskiego horyzontu zmienia bowiem cały sens życia. Gdzie dotąd odnajdywali świętość i znaczenie, teraz tylko martwe nic. Jeśli mamy rano zwlec się z łóżka, podjąć jakąkolwiek decyzję niebędącą tylko biologicznym odruchem, trzeba wszystko wymyślić od nowa. Albo – tu Nietzsche pewnie by się nie zgodził – od nowa odkryć.

Ktoś mógłby tu wysunąć oskarżenie: słaba była to wiara, jeśli upada na widok przestępstw hierarchów Kościoła, w zderzeniu z bezdusznością jego instytucji. Nawet jeśli w oskarżeniu tym jest ziarno prawdy, nie powinno się nim zbyt szafować. Trudno się bowiem dziwić, że ludzie, którym od dziecka mówiono o koniecznym pośrednictwie Kościoła między człowiekiem a Bogiem, tracąc wiarę w Kościół, tracą wiarę w Boga. Jeśli jedyne doświadczenie religijne, w które byli wprowadzani, miało postać wspólnotowo-rytualną, nie zostaje im wiele, gdy wspólnota zawodzi, a rytuał zaczyna wydawać się pustym albo nawet fałszywym gestem.

Jeśli tak właśnie mamy, nie jesteśmy wcale w swym doświadczeniu odosobnieni. Posłuchajmy jeszcze raz Księgi Izajasza, proroka, który nie bał się w imieniu Boga powiedzieć o publicznym kulcie uznawanym za objawiony: „Gdy przychodzicie, by stanąć przede Mną, kto tego żądał od was, żebyście wydeptywali me dziedzińce? Przestańcie składania czczych ofiar! Obrzydłe Mi jest wznoszenie dymu; święta nowiu, szabaty, zwoływanie świętych zebrań... Nie mogę ścierpieć świąt i uroczystości. Nienawidzę całą duszą waszych świąt nowiu i obchodów; stały Mi się ciężarem; sprzykrzyło Mi się je znosić!" (Iz 1, 12-14).

Czemuż to Bogu, wedle proroka, obrzydł religijny kult? Bo ci, którzy go organizują i w nim uczestniczą, nie troszczą się o sprawiedliwość, nie wspomagają uciśnionego, nie oddają słuszności sierocie, nie stają w obronie wdowy (por. Iz 1, 17).

Nowe otwarcie

Ale w tej samej księdze możemy przeczytać też fragment napisany ponad sto lat później przez uczniów Izajasza: „Tak mówi Pan, który otworzył drogę przez morze i ścieżkę przez potężne wody; który wiódł na wyprawę wozy i konie, także i potężne wojsko; upadli, już nie powstaną, zgaśli, jak knotek zostali zdmuchnięci. Nie wspominajcie wydarzeń minionych, nie roztrząsajcie w myśli dawnych rzeczy. Oto Ja dokonuję rzeczy ↦

↦ nowej: pojawia się właśnie. Czyż jej nie poznajecie? Otworzę też drogę na pustyni, ścieżyny na pustkowiu" (Iz 43, 16-19).

Wspominanie dawnych wydarzeń – zwłaszcza wyprowadzenia z Egiptu – było zasadniczą treścią religijnych świąt Izraela. Słowa księgi wskazują więc, że ta podstawowa religijna praktyka musi się zmienić. Dlaczego? Bo na pustkowiu Bóg robi coś zupełnie nowego, otwiera nową ścieżkę-możliwość, właśnie się pojawia, przychodzi. Innymi słowy – właśnie dzieje się Adwent.

Być może czujemy, jakby dotychczasowy świat religijnych praktyk, a nawet osobistej wiary okazał się fatamorganą – iluzja właśnie się rozwiewa i orientujemy się, że dookoła pustka. Jeśli tak – to właśnie doświadczamy istoty Adwentu. By zobaczyć początek owej nowej ścieżki, warto jeszcze raz posłuchać Nietzschego.

Nie, nie musimy Nietzschemu wierzyć na słowo, ani w ogóle zgadzać się z jego wizją świata – krytykował on etyczną wrażliwość Izajasza, prorok zaś na pewno wygłaszałby z pasją mowy przeciw społeczeństwu, które zrealizowałoby ideały filozofa. Tym niemniej ten ostatni, gdy czytał – jak przyznaje: z wysiłkiem – ewangelie, zauważył coś bardzo ważnego: „Co oznacza »radosna nowina«? Że znaleziono życie prawdziwe, życie wieczne – nie obiecuje się go, ono istnieje, jest w was: jako życie w miłości, w miłości bez pomijania kogokolwiek i wykluczania, bez jakiegokolwiek dystansu. Każdy jest dziecięciem Bożym".

Być może tu właśnie rozpoczyna się ta nowa ścieżka na pustyni. Wraz ze świadomością, że „»Królestwo niebieskie« jest stanem serca – a nie czymś, co nadejdzie »ponad ziemią« czy »po śmierci« (...) jest doświadczeniem serca; jest wszędzie, jest nigdzie". Nietzsche chyba nie wiedział, że odkrył coś, co w chrześcijańskiej tradycji było od początku – i do końca nigdy nie znikło.

Szukani wewnątrz

Posłuchajmy na przykład Ewangelii Tomasza: „Mówi Jezus: »Jeśli wasi przywódcy powiedzą: 'Królestwo jest w niebie', to ptaki niebieskie wyprzedzą was. Jeśli powiedzą: 'Królestwo jest w morzu', wyprzedzą was ryby. Lecz królestwo jest wewnątrz was i na zewnątrz was. Gdy poznacie samych siebie, zostaniecie poznani i zrozumiecie, że jesteście dziećmi Ojca żyjącego. A jeśli nie poznacie siebie, jesteście ubodzy i sami jesteście biedą«".

Jest w tym tekście nie tylko krytyka takiego przywództwa w Kościele, które sugeruje, że pomiędzy nami a Bogiem istnieje dystans, że trzeba Go szukać gdzieś daleko. Jest też wyraźne wskazanie, którędy przez pustynię biegnie ścieżka: wewnątrz każdej i każdego, przez świadomość swojego boskiego pochodzenia. A wówczas Królestwo odnajduje się nie tylko w sobie – ale także wszędzie wokół siebie, na wyciągnięcie ręki.

Gdyby ktoś stawiał tu zarzut, że podążamy za apokryfem – możemy sięgnąć do kanonicznej Ewangelii Jana. Czytamy w niej historię kobiety z Samarii. Gdy pyta Jezusa, gdzie – w Jerozolimie (jak czynią Żydzi) czy na Górze Garizim (zgodnie z praktyką Samarytan) – należy sprawować kult, Mistrz odpowiada: „Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. (...) Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w duchu i prawdzie, a takich to czcicieli szuka Ojciec. Bóg jest duchem: potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w duchu i prawdzie" (J 4, 21. 23-24).

Jezus w dialogu z Samarytanką zapowiada radykalną zmianę. Mówi o końcu czegoś, co jemu współczesnym wydawało się fundamentem wiary. Wskazuje jednak, że prawdziwa podstawa i rzeczywiste źródło są gdzie indziej. Bóg jest duchem. A więc: to Duch jest Bogiem – żadna forma, żaden kult, żadna świątynia. Jedyne, co tak naprawdę się liczy, jedyne, czego Bóg-Duch szuka, to ludzie, którzy jednoczą się z Nim w duchu i prawdzie.

Być może, by ten przez Boga szukany kult mógł się rozwinąć, trzeba, by coś się skończyło. Być może trzeba przestać wspominać to, co minione, by dostrzec Nowe, które pojawia się właśnie.

Adwentowa pieśń „Rorate..." kończy się słowem Boga dającym nadzieję: „Pocieszcie się, pocieszcie się, ludu mój. Wkrótce nadejdzie twoje zbawienie. Czy dlatego tracisz ducha, że odnowiła się twoja boleść? Ocalę cię, nie bój się. Jam jest bowiem Pan, Bóg twój, Święty Izraela, twój Odkupiciel". Być może jednak nie powinno się śpiewać tej zwrotki za wcześnie. Być może, aby zabrzmiała ona Jego, nie naszym (zawsze nieco fałszującym) głosem, trzeba znaleźć się na pustkowiu. To tam otwiera się ścieżka...

©℗ PIOTR SIKORA

POŻEGNANIE

Z wielkim smutkiem żegnamy

Ś.†P.

prof. dr. hab. Piotra Francuza

Uczonego – wybitnego badacza, kierownika Katedry Psychologii Eksperymentalnej KUL oraz Perception & Cognition Lab, wieloletniego dyrektora Instytutu Psychologii KUL, członka Komitetu Psychologii PAN, laureata Nagrody im. Władysława Witwickiego Polskiej Akademii Nauk za wybitne osiągnięcia naukowe w dziedzinie psychologii, eksperta Narodowego Centrum Nauki, znakomitego wykładowcę wyróżnionego przez Parlament Studentów Rzeczpospolitej Polskiej,

naszego Drogiego Profesora, Współpracownika i Przyjaciela.

Jego Rodzinie i Bliskim
składamy wyrazy serdecznego współczucia

PRACOWNICY I STUDENCI INSTYTUTU PSYCHOLOGII KUL

KIM KYUNG-HOON / REUTERS / FORUM

Spotkanie papieża Franciszka z Japończykami, którzy przeżyli wybuch bomby atomowej, Park Pokoju w Hiroszimie, 24 listopada 2019 r.

Rzućcie broń

MACIEJ MÜLLER

Papież chciałby całkowitego wyeliminowania wojny jako narzędzia osiągania celów politycznych. Czy to realne oczekiwanie?

Bardzo trudno dziś utrzymać racjonalne kryteria, które wypracowano w poprzednich wiekach, by mówić o możliwości »wojny sprawiedliwej«. Nigdy więcej wojny!". To nie cytat z manifestu pacyfistów, tylko z ostatniej encykliki Franciszka. W kilku paragrafach „Fratelli tutti" papież przedstawia argumenty za całkowitym odrzuceniem wojny jako sposobu rozwiązywania sporów między narodami.

Według Franciszka wojna jest reakcją „zawsze fałszywą" i „nie rozwiązuje problemów, które zamierza przezwyciężyć", a w ostateczności „przyczynia się do jeszcze większego zniszczenia tkanki społeczeństwa narodowego i światowego". „Faktycznie, w ostatnich dekadach wszystkie wojny były rzekomo »usprawiedliwione«" – ubolewa papież. Przypomina następnie tradycyjną, wywodzącą się od św. Augustyna teorię wojny sprawiedliwej, której obecną formułę zawarto w Katechizmie z 1992 r. Mówi ona o „uprawnionej obronie z użyciem siły militarnej", która jest dopuszczalna moralnie, gdy: „szkoda wyrządzana przez napastnika narodowi lub wspólnocie narodów jest długotrwała, poważna i niezaprzeczalna; wszystkie pozostałe środki zmierzające do położenia jej kresu okazały się nierealne lub nieskuteczne; uzasadnione są warunki powodzenia, a użycie broni nie pociągnie za sobą jeszcze poważniejszego zła i zamętu niż zło, które należy usunąć".

Franciszek uznał, że to nauczanie niewystarczające. „Łatwo popaść w zbyt szeroką interpretację tego możliwego prawa" – pisze we „Fratelli tutti". „Nie możemy już zatem myśleć o wojnie jako o rozwiązaniu, ponieważ ryzyko prawdopodobnie zawsze przeważy nad przypisywaną jej hipotetyczną użytecznością" – podsumowuje.

Moc niszczycielska

– Papież zakwestionował sensowność pojęcia wojny sprawiedliwej – komentuje ks. prof. Andrzej Szostek, etyk. – To ciekawy przykład dojrzewania doktryny katolickiej. Nie jedyny, bo przecież np. podczas pontyfikatu Jana Pawła II ostatecznie zakwestionowano karę śmierci. Dziś uważamy za oczywiste, że fakt wojny jest nieszczęściem. Wojna jest w sensie moralnym zawsze zła. Sprawia bowiem, że człowiek zaczyna traktować drugiego jak wroga i przyzwyczaja się do rzeczy obiektywnie okrutnych, budzących przerażenie. Patrzenie na śmierć tysięcy ludzi znieczula na nieszczęście. Dlatego Jan Paweł II żarliwie, choć bezskutecznie błagał o to, żeby nie doszło do amerykańskich działań w Iraku w 2003 r.

Argumentem za odrzuceniem wojny jest dla Franciszka postęp technologiczny. „Od czasu rozwoju broni jądrowej, chemicznej i biologicznej, a także ogromnych i coraz większych możliwości, jakie dają nowe technologie, wojnie dano niemożliwą do skontrolowania moc niszczycielską, która uderza w wielu niewinnych cywilów" – podkreślił. To truizm, że wojny zawsze przynosiły ogromne cierpienie ludności cywilnej, faktem jest jednak, że raczej na zasadzie efektu ubocznego toczonych walk. W czasie II wojny światowej terror wobec ludności zyskał natomiast państwową sankcję, a celem niektórych późniejszych wojen – choćby na terenie byłej Jugosławii – były czystki etniczne: wypędzenie lub fizyczna eksterminacja wspólnot uznanych za wrogie.

– Postęp techniczny sprawił, że dzisiaj inaczej rozumie się wojnę – zauważa ↦

↦ ks. Szostek. – Trudniej powiedzieć, kiedy się ona zaczyna. Jeszcze w pierwszej połowie XX w. wojnę się oficjalnie wypowiadało. W 1982 r., kiedy doszło do walk o Falklandy, wojny nie wypowiedziały ani Argentyna, ani Wielka Brytania. A czy zamach terrorystyczny na World Trade Center to wojna, czy nie? – pyta etyk. Można tu dodać problem wojny propagandowej lub cybernetycznej. To takie niuanse mogły skłonić papieża do odrzucenia wojny jako takiej.

Prawo do obrony

Nowe, radykalne nauczanie wywołało zakłopotanie komentatorów. Brytyjski „The Tablet" pytał, czy papież odebrałby Wielkiej Brytanii prawo interwencji na Falklandach? Znawcy konfliktów i polityki międzynarodowej zwracają uwagę, że w encyklice pobrzmiewa apolityczny pacyfizm – czyli takie spojrzenie na wojnę, które wydaje się spójne i przekonujące, dopóki nie przyłożymy go do konkretnych sytuacji politycznych. Tymczasem nietrudno o przykłady, kiedy to zaniechanie działań mogłoby spowodować jeszcze większe zło.

Gdyby radykalnie odrzucić możliwość odpowiedzi militarnej, to w 2014 r. Rosja po zajęciu Krymu zapewne opanowałaby całą wschodnią Ukrainę. W 1990 r., po zajęciu Kuwejtu przez Irak i postawieniu Saddamowi Husajnowi ultimatum przez społeczność międzynarodową, w RFN zapanowała wręcz antywojenna histeria. Tymczasem rezygnacja z operacji „Pustynna Burza" mogłaby zachęcić dyktatora do kolejnych agresywnych kroków. Żeby nie popaść w *reductio ad Hitlerum*, wspomnijmy tylko krótko o nieskuteczności przedwojennej polityki appeasementu.

Przykłady można mnożyć: czy kryteria wojny sprawiedliwej w świetle nauczania Franciszka spełniłaby interwencja NATO w Kosowie w 1999 r.? Albo o cztery lata wcześniejsze naloty na pozycje serbskie wokół oblężonego Sarajewa? Celem tych działań zbrojnych (inna sprawa: na ile spóźnionych) było powstrzymanie ludobójstwa. Teza, że zaniechanie działań wojennych niejednokrotnie mogłoby spowodować większe zło, wydaje się na gruncie historii nietrudna do udowodnienia.

Papież w encyklice zachęca do szukania dyplomatycznych rozwiązań sporów, zachwala 75-letnią działalność ONZ. Można odnieść wrażenie, że zdaje się marzyć o świecie, w którym działania militarne, ani w ogóle armie, nie byłyby potrzebne. Według ks. prof. Szostka papieskiego spojrzenia na wojnę nie należy sprowadzać do absurdu. – Nie wyciągajmy wniosku, że Franciszek chce odebrać napadniętemu krajowi prawo do obrony – mówi etyk. – Nie o to chodziło papieżowi. Encyklika zwraca uwagę, że wojna sprawiedliwa oznaczała dawniej nie tylko wojnę obronną, ale też taką motywowaną uzasadnionymi racjami, np. w celu odzyskania części własnego terytorium. W świetle nauczania papieskiego nie należy rezygnować ze starań o jego zwrot, ale czynić to na drodze dyplomatycznej, z wykorzystaniem gremiów międzynarodowych itp. Trzeba dopominać się o sprawiedliwość, dochodzić swoich słusznych praw, ale z wykluczeniem metody militarnej.

> Teza, że zaniechanie działań wojennych niejednokrotnie **mogłoby spowodować większe zło,** wydaje się na gruncie historii nietrudna do udowodnienia.

Argument ostateczny

„Łatwo wybrać wojnę, posługując się wszelkiego rodzaju wymówkami, pozornie humanitarnymi, obronnymi lub prewencyjnymi, uciekając się także do manipulacji informacją" – pisze papież. Politolodzy, ale także etycy, choć niekoniecznie pod nazwiskiem, zwracają uwagę, że w charakterystycznym dla siebie stylu Franciszek nieco się tu zagalopował. Należałoby albo zatrzymać się na poziomie ogólnej refleksji, albo szczegółowo opracować każde z zagadnień.

Wojna prewencyjna jest bardzo trudna do oceny moralnej. Atakuje się po to, aby zapobiec zagrożeniu; *post factum* może być ono jednak trudne do udowodnienia. Innymi słowy: trudno wykazać, że gdyby do ataku nie doszło, zdarzyłoby się coś o wiele gorszego. Klasycznym przykładem prewencji jest wojna sześciodniowa z 1967 r. Izraelczycy pierwsi poderwali lotnictwo, ale gdyby tego nie zrobili, czekając na skoncentrowane uderzenie koalicji państw arabskich – zyskałaby ona zapewne nieodwracalną przewagę. Do Polaków silniej może przemówić przykład roku 1920, kiedy po uzyskaniu informacji wywiadowczych o planowanej ofensywie sowieckiej Piłsudski wydał rozkaz ataku wyprzedzającego. Jak mogłyby wyglądać losy młodej Rzeczypospolitej, gdyby marszałek pozostał bierny?

Papież chciałby także wyeliminować z polityki narzędzie odstraszania nuklearnego. „Musimy zadać sobie pytanie, jak trwała jest równowaga oparta na strachu, gdy faktycznie pogłębia lęk i podważa relację zaufania między narodami – napisał. – Międzynarodowy pokój i stabilność nie mogą opierać się na fałszywym poczuciu bezpieczeństwa, na groźbie wzajemnego zniszczenia lub całkowitej zagłady".

Według politologów broń atomowa to ostateczność, po którą sięga się, kiedy wszystko inne zawiedzie. Potencjalnie, bo świat przetrwał kilkadziesiąt lat zimnej wojny, mimo że kilkakrotnie stanął na krawędzi zagłady nuklearnej. Można się zastanawiać, czy takie państwa jak Izrael, otoczony przez kraje mające w programie politycznym jego unicestwienie, przetrwałyby nie mając w zanadrzu nuklearnego *ultima ratio*. Arsenały atomowe pełniły funkcje odstraszające, a wyścig zbrojeń napędzało przekonanie, że pozostanie w tyle równałoby się przyznaniu, że jest się bezbronnym.

Franciszek nie zgadza się na kontynuowanie tego typu polityki: podczas pielgrzymki do Japonii zapowiedział nawet, że wpisze do Katechizmu potępienie samego posiadania broni atomowej. „Awaria lub szaleństwo jakiegoś władcy, szaleństwo jednego może zniszczyć ludzkość" – przestrzegał.

Ks. prof. Szostek nie chciałby, żeby radykalizm sformułowań ostatniej encykliki posłużył do prostego odrzucenia postulatów papieża. – Nie sądzę, żeby Franciszek chciał nas skłonić do oceniania dawnych konfliktów w świetle dzisiejszej refleksji etycznej – podkreśla. – Encyklikę odczytuję raczej jako propozycję: zostawmy przeszłość, uznajmy, że wszyscy jesteśmy braćmi, spierajmy się ze sobą, ale nie dopuszczajmy więcej do wojen. Nawet sprawiedliwych.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Współpraca WOJCIECH PIĘCIAK

WOJCIECH

Bonowicz:
Nie dla mięczaków

No więc – bicie. Trzeba bić. Jak władza nie bije, to społeczeństwu wątroba gnije. Jak inaczej nauczyć młodszych, żeby szanowali starszych? Tylko siłą. Siła zawsze się sprawdza. A jak mimo to nadal nie chcą uszanować? To więcej siły. I aż do skutku. W końcu jesteśmy na wojnie.

A co to za wojna? Jest to wojna kulturowa, cywilizacyjna. Tu się rozstrzygają losy pokoleń, a nie jednej czy drugiej demonstracji. Tu chodzi o rdzeń, o fundamenty, o zasady. Nie ma takiej wartości, której nie warto by poświęcić dla ocalenia fundamentów.

Tu sprawa o człowieka idzie – jakim on będzie w przyszłości? W imię człowieka przyszłości trzeba naprostować człowieka teraźniejszości. To znaczy – najpierw zgiąć, a potem naprostować. Zgięty i naprostowany będzie bardziej elastyczny.

Nie można się cofnąć. Ani o krok. Jeżeli trzeba dziewczynie zerwać z ramion plecak, to należy go zerwać, a nie hamletyzować. Jeżeli trzeba poprawić pałą, to dlaczego nie? Wojna nie jest dla mięczaków. Zresztą dziewczyna stawiała opór. Wprawdzie nie rzuciła w policję racą, ale się wyrywała. Mało sobie ręki nie wywichnęła. Wszystko przez to, że znalazła się po niewłaściwej stronie.

Ktoś tam uważa, że należałoby ją raczej przekonywać niż bić? Który to taki mądry? Jak kogoś nie przekonała dotąd nasza telewizja, to już nic go nie przekona. Ludzie bywają niereformowalni. Dlatego jest policja i środki przymusu.

Tu nie ma się co patyczkować. Albo my, albo oni. Jak my ich nie zmieciemy, to oni nas zmiotą. Są siły dobra i są siły zła. Wiadomo, kto jest kim. My stoimy tu, gdzie staliśmy zawsze, a tamci tam, gdzie stało ZOMO. No może w tej chwili to nie najszczęśliwszy przykład, ale wiadomo, o co chodzi. My mamy rację, więc mamy władzę – albo na odwrót. A oni co mają? Krzyczą, i w dodatku jakoś tak nieprzyjemnie. Protestować trzeba kulturalnie, nieagresywnie. Mogli wygrać wybory? Mogli. Nie wygrali, to niech siedzą cicho i pozwolą nam robić, co chcemy.

Owszem, trochę przykro, że większość z tych „onych" to jeszcze dzieci. Biedne dzieci, dały się zmanipulować. Chodziły na religię, ale widocznie nie uważały. Na polskim i historii sączono im do główek, że Polski mają się wstydzić. Zaraz będą nowe podręczniki i wszystko naprostują. To znaczy najpierw zegną, a potem naprostują. Człowiek powinien być elastyczny, zwłaszcza młody. Już to mówiłem? A, nie zaszkodzi powtórzyć. A jak będzie trzeba, to i fizykę się poprawi, i biologię. W ogóle tyle rzeczy do zrobienia, a tu awantura za awanturą. Tak wspaniale by się rządziło, gdyby nie te kłody pod nogi.

A tymczasem w każdej dziedzinie jesteśmy liderami. W Europie to nam po prostu zazdroszczą, szczególnie odwagi. Tuż przed kolejnym szczytem pandemii zabraliśmy się za układanie rządu. I ułożyliśmy. Trzy komplety puzzli, a obrazek miał być jeden. Trochę trwało, ale się udało. I od razu wzięliśmy się za załatwianie najważniejszych spraw. Który to krzyknął, że może byśmy dali spokój tym najważniejszym i skupili się na zdrowiu? To któryś z „naszych"? Nie? To niech sobie krzyczy, pewnie jakiś marksista. Chyba nie oglądał wieczornych wiadomości. Tu o wielkie sprawy idzie, a nie o jeden czy drugi respirator. Tu się wykuwa przyszły kształt świata.

Co ja to miałem...? Aha – z tym biciem. Ja tam znowu tak bardzo za biciem nie jestem. Ale tak całkiem nie bić to też nie można. Jak nie postraszysz, to ci chałupę spalą. Że ci akurat nie palą? A wiadomo to? Prowokatorzy są wszędzie. Wiem, co mówię. ©

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK:

WOJCIECH DRUSZCZ

NADZIEJA RAZ JESZCZE

„Nadzieja raz jeszcze" – tak brzmiał temat tegorocznych Nadzwyczajnych Dni Tischnerowskich, które odbyły się od 18 do 21 listopada. W dodatku znajdziemy omówienie tego, co działo się podczas tych Dni, ale też obszerną rozmowę z tegorocznymi laureatami Nagrody Znaku i Hestii im. ks. J. Tischnera, którą poprowadzą m.in. ks. Adam Boniecki i Henryk Woźniakowski.

Zapraszamy do lektury!

ZAPRASZAMY ONLINE:
fb.com/JozefTischner
fb.com/dni.tischnerowskie
więcej info na: www.tischner.pl

NADZWYCZAJNE | ONLINE DNI TISCHNEROWSKIE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

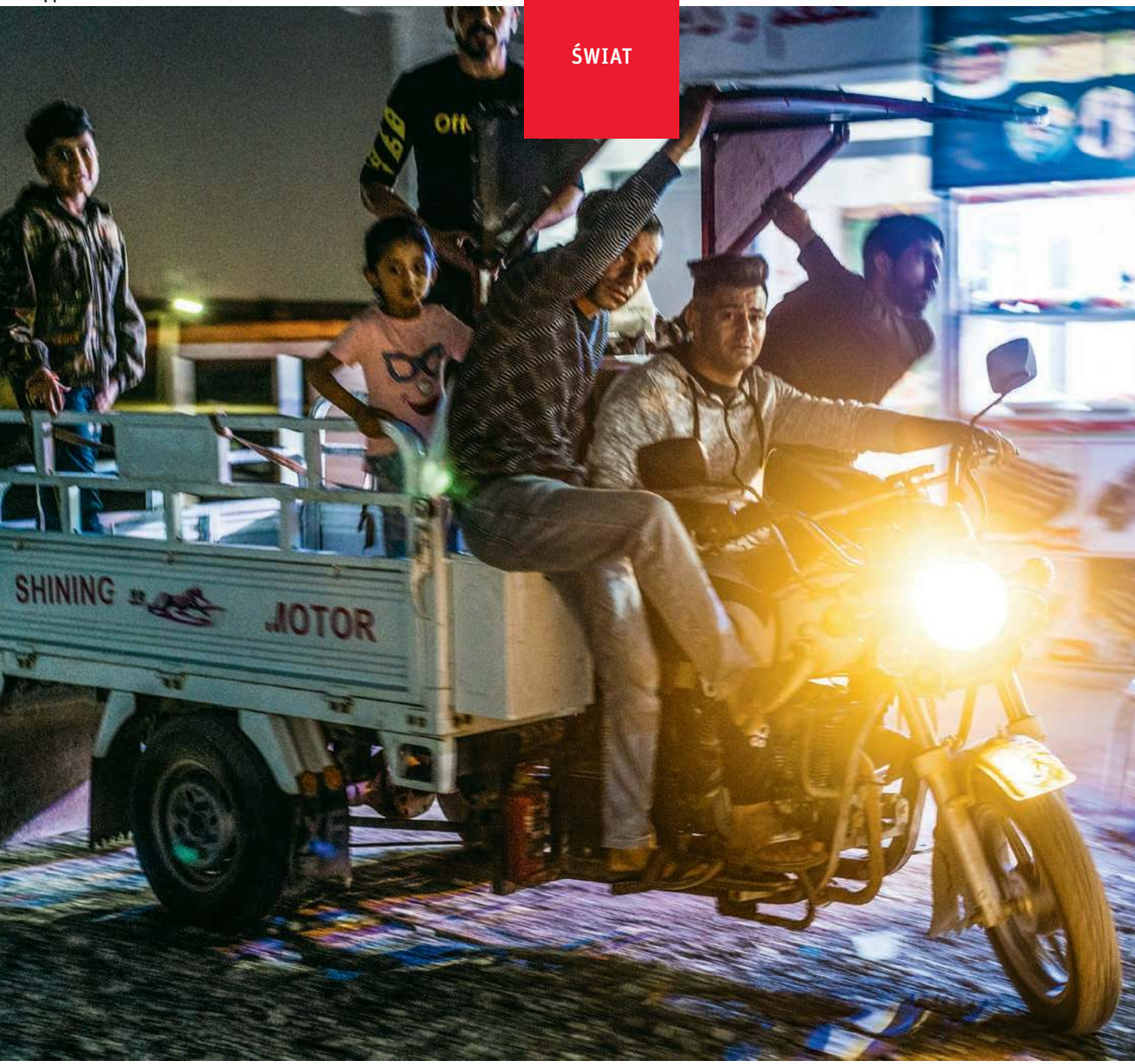

Obóz Baharka, 4 listopada 2020 r.

W MROKU ŚWIATŁA

Dopóki Iran będzie tu aktywny, dopóty w Iraku nie będzie dobrze – co do tego mieszkańcy obozu Baharka wydają się zgodni.

TEKST MARCIN ŻYŁA, ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA Z IRBILU (IRACKI KURDYSTAN)

Smugi, refleksy i odbicia – nie bramy, mury i strażnicy – pilnują tego miejsca, gdy zaczyna się wieczór. Światła trzymają je w uścisku. Zimne jarzeniówki iluminują drogę dojazdową, kontenery z biurami i przychodniami, opuszczone boisko dla dzieci, opasane drutem kolczastym dawne magazyny armii. Latarnie są jak szperacze. Choć statyczne, niepokoją. Hipnotyzują, krępują ruchy. Przypominają o próżni.

Inne, cieplejsze światła podskakują na wybojach (z miasta wróciła ostatnia taksówka), migocą barwami (dostawca towarów zawiesił na motocyklu kilka żarówek), tłumią je cienie chłopców w drzwiach klubu bilardowego (ci wrócą do domów ostatni, turniej ledwie się zaczął). Biały blask bije z wnętrz domów, oświetla wąskie przejścia i podwóreczka z miskami do mycia naczyń. Rozwieszone kolorowe ręczniki dodają mu pastelowej poświaty.

Nawet gdy obok przejedzie samochód, zrazu oślepiając, potem zostawiając nas na sekundę w całkowitej ciemności – jest to jakiś dowód życia.

Krótki wykład o polityce

Te ciepłe światła gromadzą ludzi. O tej porze z Baharki, obozu dla przesiedleńców położonego pod Irbilem, największym miastem irackiego Kurdystanu, wyjechali już urzędnicy, lekarze i wolontariusze. Wrócili ci, którzy pracują w mieście. Nie ma nikogo poza mieszkańcami.

Wielu przyszło tu, gdzie wzdłuż szerokiej, kamienistej alei stoją: meczet, parę sklepów, warsztaty i zakład fryzjerski. To skromniejsza wersja gwarnego bazaru pod irbilską cytadelą, który kilka kilometrów stąd zapełnia się teraz tysiącami mieszkańców. Ale musi wystarczyć, bo tu wszystko jest bardziej umowne. Zuhir, sześćdziesięcioletni sklepikarz, na pytania odpowiada krótko.

– Co się najlepiej sprzedaje?

– W dzień mrożonki, wieczorem słodycze.

Albo: – Czemu w kraju jest tak źle?

– Bo Ameryka sprowadziła do Iraku Iran, a tak długo, jak istnieć będzie Iran, nie będzie dobrze.

Osiem lat trwała kiedyś wojna Iraku z Iranem i tyle samo Zuhir spędził w irańskiej niewoli. Nie pojmano go od razu – wziął udział w pierwszych kampaniach, gdy armia Saddama Husajna próbowała zdobyć fragment wybrzeża Zatoki Perskiej. Front jednak wydłużył się do pięciuset kilometrów, po czym stanął, a cały konflikt zamienił się w bliskowschodnią wersję Wielkiej Wojny na Zachodzie – walczono wręcz, rozpylano gazy bojowe, obie strony zapewniały o swojej przewadze, dając światu asumpt do żartów o wojskach, które posuwając się wyłącznie do przodu, musiały się dawno minąć. W międzyczasie zginęło jednak ponad milion ludzi.

Husajn kazał nazywać tę wojnę „drugą Al-Kadisijją", na cześć zwycięskiej bitwy z VII w., która rozpoczęła arabski podbój Persji. W niewoli Zuhir mógł usłyszeć inną nazwę: „Święta Obrona". Na początku lat 80. dla Iranu, w którym dopiero dokonała się szyicka rewolucja Chomeiniego, był to kolejny akt długiego sporu z sunnitami.

– Byliśmy jeńcami, ale należeliśmy też do partii, której członków Irańczycy torturowali i prześladowali – mówi Zuhir, gdy siądzie na plastikowym krześle ogrodowym przed sklepem, a wokół staną inni mężczyźni. – Przenoszono nas z miejsca na miejsce, prowadzono walkę psychologiczną, chciano zniszczyć. Nie spotkałem dobrego Irańczyka. Był to najcięższy okres w moim życiu. Znacznie gorszy niż teraz.

Z niewoli wypuszczono go dwa lata po ustaniu walk, w 1990 r. Wrócił do domu pod Mosulem, chciał, jak przed wojną, uprawiać rolę i hodować owce. Ale Saddam Husajn szykował się już do inwazji na Kuwejt – wkrótce miała się zacząć seria wojen, najazdów, sankcji, rebelii, zamachów i protestów, która w Iraku nieprzerwanie trwa do dziś. A Zuhira – po czterech dekadach od wysłania go na front – zapędziła ostatecznie tu, do irackiego Kurdystanu.

Na szachownicy

Od obalenia Husajna w 2003 r. władzę w Iraku dzierżyli w dużej mierze szyici, wcześniej często działający na emigracji w Iranie. Amerykanom było to na rękę: zyskali partnerów w odbudowie instytucji państwowych, porzuconych przez członków partii Baas, dawnej podpory dyktatury Husajna. Irańczycy zaś – okazję do odbudowy swoich wpływów nad Tygrysem i Eufratem. Bilans zysków obu stron był tak duży, że przewyższał amerykańsko-irańskie animozje.

Teraz jednak sytuacja się zmienia. Prezydent Donald Trump zapowiedział właśnie zmniejszenie amerykańskiej obecności wojskowej w Iraku, a nastawione sceptycznie do Iranu władze w Bagdadzie dążą do zbliżenia z Arabią Saudyjską, regionalnym rywalem Teheranu. Kilka dni temu, pierwszy raz od trzech dekad, otworzono iracko-saudyjskie przejścia graniczne. Bagdad chce inwestycji Rijadu w podupadły przemysł wydobywczy. Ale rząd centralny jest wciąż słaby – i pod rosnącą presją szyickich mediów, a także b. premiera Nuriego al-Malikiego i jego proirańskiej partii Zew Islamu.

Iran twierdzi, że tylko on jest w stanie zatrzymać ekstremistów, chcących odbudować w Iraku potęgę Państwa Islamskiego. Iraccy sunnici zarzucają Teheranowi próbę zdominowania lokalnego rynku żywności, uczynienia z ich kraju gospodarczej kolonii. Rok temu wybuchły masowe antyirańskie protesty, podpalono irański konsulat w Nadżafie. Saudowie zaś boją się w Iraku powtórzenia scenariusza z Libanu, kraju, który wspierali przez wiele dekad, choć duża część ich pomocy ostatecznie trafiła do szyickiego, proirańskiego Hezbollahu.

Jakby to nie było już wystarczająco skomplikowane, rząd w Bagdadzie wciąż wypłaca żołd i zapewnia amunicję kilkudziesięciu szyickim milicjom skupionym w sojuszu pod nazwą Siły Mobilizacji Ludowej. Żaden iracki urzędnik nie mógłby być pewien swojego bezpieczeństwa, jeśli zdecydowałby się zwrócić przeciw Teheranowi.

To dlatego Zuhir mówi: – Oni kontrolują kraj. I znów przez nich nie będę mógł wrócić do domu.

Dzieci tulą Burhana

Kiedy pod jego sklep przychodzą dzieci, pozwala im wziąć trochę słodyczy. Gdy przybiega wielki obozowy pies, nie ma litości – odgania go, okładając kijem.

Gdy siada ponownie, wraca do życia przed 1980 r.: – To był mój najszczęśliwszy czas. Wtedy wszystko było prostsze. Mieszkaliśmy wspólnie, wielką rodziną, jeździliśmy na pikniki do Mosulu. Były tam piękne łąki nad Tygrysem. Żyliśmy jak królowie. Czy o tym śnię? Tak, czasami – mówi Zuhir. I zaraz dodaje, żeby nikomu nie umknęło: – Tak długo jak Iran będzie istniał, nie będzie życia w Iraku.

Tam, w Mosulu, jednym z najstarszych i najpiękniejszych miast Bliskiego Wschodu, stał też do niedawna ↦

↦ meczet al-Nuri, z charakterystycznym, pochylonym minaretem. Zuhir go pamięta: wieża, stojąca na prostokątnej podstawie, podzielona na siedem segmentów, z których każdy ozdobiono z zewnątrz innymi ornamentami...

– ...a im wyżej, tym bardziej te dekoracje były subtelniejsze, delikatniejsze – ciągnie Burhan.

Dla niego – czterdziestolatka, byłego mechanika samochodowego – meczet al-Nuri był najpiękniejszy na świecie; gromadził jego zdjęcia, oglądał filmy. Do dziś chodzi z jego obrazem w głowie. Meczet zniszczono podczas ostatnich dni walk o Mosul. Trwa odbudowa.

Burhan: – Bywa, że płaczę. Te miejsca przypominają różne historie. Czasem – moje życie.

Teraz skrył się za dyktami, listwami, sklejkami, okruchami styropianu. Ma pracownię kilkadziesiąt metrów od sklepu Zuhira. Od paru miesięcy rzeźbi w niej ze styropianu najsłynniejsze zabytki Iraku.

– Tu jest minaret z Irbilu – pokazuje jedną z dwumetrowych wież, stojących w rogu. – Potrafię tak zrobić wszystko. Jeśli pokażesz mi zdjęcie lub film jakiegokolwiek zabytku, odtworzę go. Jeśli nie w stu, to na pewno w 98 procentach – precyzuje.

Burhan nie umie pisać ani czytać. Rzeźbienie w styropianie to rozrywka i ukojenie. Czasem – tak mówi – przybiega do niego nieznajome dziecko, rzuca mu się na szyję, daje buziaka. Bo wieże minaretów, zwłaszcza tych zniszczonych przez wojnę, to atrakcja – i nadzieja.

Oddajmy mu głos: – Na początku epidemii straciłem pracę. Wcześniej zajmowałem się naprawą grzejników. Ale nawet wtedy miałem dużo wolnego czasu. Pomyślałem, że mógłbym wykonywać modele zabytków. Zabytki są ważne dla każdego narodu. Im starsze, tym bardziej. Kiedy rzeźbię, wspiera mnie cała społeczność. Dzieci i sąsiedzi starają się trzymać ode mnie z dala. Wiedzą, że muszę się skoncentrować. Kłopot w tym, że mam coraz mniej miejsca. Nie mam gdzie tego trzymać. Nie mam też materiału. Przygotowanie jednej rzeźby zajmuje mi teraz nawet 45 dni, tyle muszę czekać na nowy styropian. Gdybym tylko mógł, zbudowałbym wszystko! W Iraku jest wiele miejsc, które chciałbym odwiedzić, mógłbym robić zdjęcia i potem rzeźbić. Ale nie mam materiału.

Jak wspiera Bóg

Pod sklepem poruszenie. Szepty, których znaczenia tłumacz nie nadąża przekazać, ale ich melodia w każdym języku oznacza przecież to samo – takich pytań się nie zadaje: „Czy byłby pan w stanie przebaczyć Irańczykom?”.

Zuhir odpowiada po chwili: – To trudne. Tylu ludzi zginęło. Tylu młodych zabiły szyickie milicje.

Pytamy dalej: a gdyby został premierem, co by zrobił?

– Jeśli chodzi o Iran, nie mógłbym zrobić nic. Bo Iran kontroluje wszystko.

Mówimy, że Iran jest coraz bardziej aktywny także w Kurdystanie. Zuhir: – Kraj zbankrutował, nie wypłaca nawet pensji pracownikom, wszystkie pieniądze trafiają do Iranu oraz popierających go milicji w Libanie czy Jemenie. I nie ma jak tego zmienić. Będzie tylko gorzej. Nawet teraz w rejonie Mosulu milicje proirańskie konfiskują ludziom mieszkania, zabierają własność. Wielka rafineria Baidżi została rozkradziona przez proirańskie milicje.

Państwo Islamskie – które niedawno, przez kilka lat, dominowało w jego rodzinnych stronach – jest już przeszłością. Zuhir wspomina o nim mimochodem, gdy opowiada o swojej ucieczce z Iraku. Uciekł, po tym, jak w środku nocy dżihadyści zabili jego kuzyna: – Nic ze sobą nie wziąłem, tylko to, co miałem na sobie.

Ma dwóch synów. Jeden wyjechał do Turcji, drugi wciąż się uczy. Gdy przyszło Państwo Islamskie, od razu opuścił Mosul. Przekroczyli granicę syryjską – tam, mimo toczącej się wojny, było bezpieczniej. Jakiś czas później iracki rząd ewakuował swoich obywateli do kraju i tak Zuhir wraz z rodziną wynajął dom pod Irbilem. Potem jednak dobrowolnie przenieśli się do obozu – tu dzieci uczone są według programu rządu centralnego, po arabsku.

Pod sklep znów przychodzą dzieci. Zuhir macha ręką, żeby wzięły sobie coś z półki. Nie lubi, nie umie odpowiadać na pytania zaczynające się od „dlaczego”.

– Rozdajesz dzieciom słodycze? Przecież w ten sposób na nich nie zarobisz.

– A czy mógłbym im odmawiać?

– Jesteś taki opanowany. Jak to możliwe?

– To Bóg daje spokój i cierpliwość. W ten sposób nas wspiera.

– Chyba jednak nie każdego.

– Tak, nie każdy jest cierpliwy.

Przy bramie

Na koniec także Burhanowi pokazujemy zdjęcia Mosulu, miasta zniszczonego jak kiedyś Warszawa.

– Czuję w środku, jakbym chciał je odbudować, ale nie mam wsparcia – mówi, a my nie wiemy, czy rzeczywiście ma na myśli miasto, czy wciąż swoje wieże. – Taka odbudowa jest poza moimi możliwościami. Gdybym widział to z zewnątrz i od środka, mógłbym... Czasem czuję, że mógłbym zrobić prawie wszystko. Gdybym dostał trochę wsparcia.

Za kilka godzin, rano, obóz się zbudzi. Kierowcy taksówek skasują po 5 tys. dinarów za kurs do Irbilu, gdzie co szczęśliwsi mają pracę. Na razie jednak zimne i ciepłe światła wciąż plączą się ze sobą – jak ten reflektor przy obozowej bramie i miły blask spod polowego piecyka, na którym dwójka strażników – stanowczo zabrania się fotografowania – ogrzewa się w tym nocnym, półpustynnym chłodzie, gotuje herbatę, do której zaraz doda szałwii urwanej z krzaku obok.

„Marzenia? Jesteśmy ich pozbawieni od dzieciństwa”. Słowa Burhana zostają z nami na długo. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Materiał powstał dzięki Polskiej Misji Medycznej, która pomaga uchodźcom, osobom przesiedlonym i społeczności lokalnej w guberni Irbil. Projekt jest współfinansowany z programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Wesprzeć można na www.pmm.org.pl lub wpłacając na konto: 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444.

Zuhir opowiada o swojej niewoli w Iranie. Poniżej: w obozowym klubie bilardowym. Na sąsiedniej stronie: Burhan i jedna z jego styropianowych wież. Obóz Baharka, 4 listopada 2020 r.

PAWEŁ KĘSKA

Dzieci ze wsi Kamianka, 13 listopada 2019 r.

Ciemne kolory

EWGENIA STUPNIK, PSYCHOLOŻKA, STREFA FRONTOWA W DONBASIE:

Dzieci tutaj nie znają spokojnego życia. Od sześciu lat słyszą wybuchy i w większości reagują na nie spokojnie. To przerażające.

PAWEŁ KĘSKA: Twoja życiowa misja to...?

EWGENIA STUPNIK: Pracuję i żyję w strefie buforowej. To moje powołanie.

W jaki sposób to odkryłaś?

Kiedy zaczynała się wojna, nie miałam wielkiego doświadczenia zawodowego. Zaczęłam dostawać prośby od wolontariuszy z frontu, którzy nie wiedzieli, jak pomóc rannym żołnierzom. Zdałam sobie sprawę, że moja uniwersytecka wiedza nie wystarcza. Zaczęłam zgłębiać psychologię kryzysową, zdobyłam certyfikat z tzw. protokołu SEE FAR CBT Trauma Treatment Model, opracowanego w Izraelu dla ofiar działań bojowych.

Pojechałam na front. Spotykałam się z dowódcami, którzy mówili: „Chłopaki potrzebują pomocy psychologa, ale nikt nie wie, na czym to polega". Żołnierze mieli już destrukcyjne stany emocjonalne. Wtedy pierwszy raz zobaczyłam, jakie skutki niesie wojna.

Jak to wyglądało?

Było bardzo zimno. Poczułam, czym są w okopach stale mokre wojskowe buty, zmrożona ziemia. I strach. Prowadziłam z żołnierzami medytację połączoną z wizualizacją. Starałam się poprowadzić ich do wewnętrznego obszaru, w którym są bezpieczni – mieli go sobie wyobrazić. Pamiętam jednego, który nie mógł się odnaleźć w tym świecie. Błądził i w końcu w wyobraźni wrócił do okopu. Zrozumiałam, że dla niego nie ma już świata poza wojną. Zrozumiałam też, jak wielu ludzi potrzebuje pomocy psychologicznej, bo nie radzą sobie z okrucieństwem, jakie przeżyli.

Co jest zadaniem psychologa w pracy z żołnierzami na froncie?

Oni powinni umieć rozpoznać granice własnych możliwości, granice stresu i jego destrukcyjnej siły. Powinni też być gotowi do powrotu do domu. Sukces był wtedy, kiedy jeden na pięciu żołnierzy po sesji mówił: „Gdy będę w domu, pójdę do psychologa, bo rozumiem, że bez tego nie da się w pełni wrócić". To były moje zwycięstwa, bo moim zadaniem było przygotowanie ich na powrót do normalności.

W strefie frontowej żyje ponad 2 miliony ludzi, w tym wiele dzieci. Kiedy zaczęłaś pracować z dziećmi?

Udało mi się dostać do projektu prowadzonego przez UNICEF. Jeździłam w zespołach terapeutów do miejsc, gdzie żyją ludzie, którzy doświadczyli ostrzału artyleryjskiego. W Mariupolu

to cała dzielnica. Organizowaliśmy tam improwizowane zajęcia arteterapii. Naszym celem było pomaganie dzieciom w rozpoznawaniu emocji, w zrozumieniu ich, w nauce odpowiedniego ich wyrażania. Rozmawiałam z nimi o tym, o czym nie rozmawiali z nimi dorośli. O wojnie, o tym, jak się czują, co myślą. Potem dzieci robiły rysunki i rzeźby, przekształcając doświadczenia i emocje w kolory. To były ciemne kolory. Najważniejsze jest, żeby nie „zachowywać" emocji w swoim ciele.

Któreś ze spotkań zapamiętałaś szczególnie?

Raz, gdy pracowaliśmy z grupą dzieci na powietrzu, usłyszeliśmy „tępe" wybuchy, co znaczyło, że bitwa toczy się nie dalej niż 10 km od nas. Nie było zagrożenia, ale dzieci się przestraszyły. Podniosły głowy i uważnie słuchały, nie do końca wiedziały, co robić. Obok przechodziła kobieta, która powiedziała, że to burza, pioruny. Dzieci westchnęły i wróciły do zabawy. Dorosły też się bał, ale na widok dziecięcego strachu wziął odpowiedzialność na siebie. Z psychologicznego punktu widzenia to była zła strategia radzenia sobie z trudnymi emocjami. Zrozumiałam, że wojna jest wspólną traumą wszystkich.

Jaka strategia jest skuteczna w pracy z dziećmi wojny?

One nie znają spokojnego życia. Od sześciu lat słyszą wybuchy i w większości reagują na nie spokojnie. To właśnie jest przerażające. Trzeba nazwać to, co się dzieje, i pozwolić im umiejętnie przeżyć emocje. Rysunki, które malowały po pracy z nami, miały więcej kolorów. Były jaśniejsze.

Ze starszymi pracuje się inaczej?

Pracuję z ludźmi, którzy pamiętają II wojnę światową i po kilkudziesięciu latach wraca do nich ten sam strach. Nigdy nie sądzili, że będą musieli ponownie się z tym zmierzyć. Wiedzą też, jak to jest żyć w zniszczonym świecie, i wiedzą, jak trudno jest go odbudować. Starsi ludzie są często opuszczeni przez bliskich, którzy emigrowali z Donbasu. Niektórzy stracili nadzieję. Widzę dzieci II wojny światowej i widzę dzieci tej wojny. Dzieci tamtej wojny znają jej straszną cenę, a dzieci tej wojny, nie rozumiejąc tego, zaczynają tę cenę płacić.

PAWEŁ KĘSKA

Ewgenia Stupnik, sierpień 2020 r.

Jak można pomóc starszym?

Najważniejsze to pomóc przetrwać uczucie intensywnego niepokoju. Oni przez wiele lat pracowali, aby na emeryturze odpocząć i cieszyć się rodziną, wnukami. A teraz jakby utracili swoją „inwestycję". Nie mogą już dłużej pracować, aby przeżyć, a grożą im głód i zimno. Trudno im się z tym pogodzić, boją się. Moim zadaniem jest pomóc im odnaleźć siebie. Pomóc zrozumieć, na co mają wpływ.

Trudno jest dotrzeć do osoby, której doświadczenie życiowe trzykrotnie przewyższa moje. Sukcesem jest dla mnie, kiedy oni zaczynają znów o siebie dbać. Kiedy zaczynają się uśmiechać. Największą nagrodą jest słowo „dziękuję".

Wsparcie dla osób starszych to część polskiego projektu realizowanego w Donbasie. Pomagają im lotne zespoły medyczne i rekrutujący się z bezrobotnych opiekunowie socjalni, którzy zakładają własne organizacje i zaczynają odbudowywać struktury społeczne. Ale pomoc w przeżyciu traumy to jedno, a motywowanie do zmieniania świata to coś innego.

Pracuję z opiekunami jako trener motywacji. Łączę dwa cele: radzenie sobie z traumą i budowanie motywacji oraz wyznaczanie celów samorozwoju. Nie wszyscy są gotowi na tak poważną zmianę, żeby z ofiary, z człowieka upokorzonego przez wojnę, stać się kimś aktywnym, kto zmienia świat. To jednak jest walka o przyszłość tych miejsc.

Ilu specjalistów od psychologii kryzysowej pracuje w strefie buforowej?

Za mało. Konflikt trwa już bardzo długo i coraz mniej organizacji finansuje bezpłatną pomoc psychologiczną dla ofiar wojny. Wielu moich kolegów-psychologów wyjechało. Inni migrują między takimi organizacjami, w końcu starają się już pomagać odpłatnie, ale niewielu potrzebujących może zapłacić. Często zdajesz sobie sprawę, że ktoś potrzebuje pomocy, ale nie możesz pracować całkiem za darmo, bo masz zwyczajne życiowe potrzeby. To wyzwanie dla tych, którzy zostali. Inni wyjeżdżają stąd do dużych miast.

Nie masz dylematu?

To mój wybór. Tak, mogłabym żyć w wielkim mieście. Mogłabym lepiej zarabiać i mieć bardziej ułożone życie osobiste. Ale wybieram tę pracę. Gdy widzę, jak ktoś odzyskuje siłę i sens życia, to po prostu mnie to cieszy.

Nosisz ten sam bagaż, co Twoi pacjenci: w 2015 r. zbombardowano Twoje miasto i zginęło wielu ludzi.

Zasadą traumatoterapii i psychologii kryzysowej jest, że psycholog nie jest tylko intelektualnym towarzyszem. Jest osobą, która zapewnia też wsparcie ↦

Strefa wojny

NA FRONCIE W DONBASIE – między Ukrainą a siłami prorosyjskimi, wspieranymi przez rosyjską armię – oficjalnie trwa dziś zawieszenie broni, jednak co jakiś czas dochodzi do wymiany ognia; są zabici i ranni. Wojna doniecka, rozpętana wiosną 2014 r. przez Władimira Putina, ciągnie się już siódmy rok.
W strefie frontowej pozostało wielu mieszkańców, którzy nie chcieli uciekać lub nie mieli dokąd. Na obszarze tym nie działa infrastruktura, bezrobocie sięga 80 proc., wiele obszarów jest zaminowanych.
W latach 2019-20 w trzynastu miejscowościach leżących wokół Mariupola (miasta nad Morzem Azowskim, po ukraińskiej stronie frontu) przez fundację Most Solidarności oraz miejscowy Caritas realizowany jest projekt pomocy dla poszkodowanych przez wojnę; finansuje go polskie MSZ. To kolejny taki projekt prowadzony w Donbasie przy wsparciu z Polski. © PK

↦ emocjonalne i metaforycznie zastępuje ramię.

Staram się oddzielać pracę zawodową od życia osobistego. Ale to trudne w pracy z żalem, w którym kryje się ból. Bez przeżycia bólu może nie wrócić zdolność do otwarcia się na nowe doświadczenia, ale to przeżywanie bólu jest czasem bardzo silne. Dlatego nie mogę się zatracić w relacji z pacjentem.

Mówisz wciąż jak psycholog. Powiedz jak Żenia, dziewczyna mieszkająca w Mariupolu nad Morzem Azowskim.

Mam te same problemy ze stresem. Dla mnie to ciągła walka. Trudno planować życie, kiedy budzisz się rano, myślisz o tym, co musisz dziś zrobić, i zdajesz sobie sprawę, że w każdej chwili wszystko może się zmienić, bo wojna jest blisko. Mam takie samo obciążenie jak moi pacjenci, mam podobne myśli, podobne problemy. Odpowiadam sobie wciąż na pytanie, czemu tu jestem. Wiem, że aby żyć, nie mogę stracić nadziei i planów na przyszłość.

Jakie to plany?

Dopóki wojna w Donbasie się nie skończy, zostaję. Etnicznie jestem stąd. Jestem Greczynką przyazowską. Tu mieszka wielu ludzi mojej narodowości, którzy zostali w miejscowościach niekontrolowanych przez Ukrainę, w miejscowościach, które są na linii frontu. Mój lud już przeżył przesiedlenie z Krymu i zapuścił tu korzenie. Są przywiązani do tej ziemi i walczą o to, żeby zostać. Potrzebują uwagi i pomocy. Nie tylko jako psycholog, ale także jako Greczynka nie mogę zostawić tych ludzi bez pomocy.

Masz jakąś nadzieję na przyszłość?

Mam nadzieję, że wojna się skończy, i że ludzie, którzy ucierpieli, otrzymają maksymalną uwagę ze strony państwa, ze strony świata.

A Twoja osobista nadzieja?

Kiedy wojna się skończy, będę mogła łatwiej planować moje życie. Kiedy się skończy...

© Rozmawiał PAWEŁ KĘSKA

Nadzieja Besarabii

PIOTR OLEKSY

W mołdawskich wyborach starły się dwa oblicza Europy Wschodniej. Wygrało to, które stawia na godność i prawa człowieka. Dla kraju to dopiero początek zmian.

Gdy w styczniu 2016 r. kierowałem się do biura Mai Sandu, byłem do niej sceptycznie nastawiony. Mołdawianie protestowali wtedy przeciw rządom Vlada Plahotniuka – oligarchy, który mając zerowe poparcie społeczne, zawłaszczał parlament korupcją polityczną i szantażem. Sandu nie należała do liderów protestów, jednak każde jej pojawienie się na manifestacji budziło ogromny entuzjazm. Spodziewałem się rozmowy z niezdecydowaną działaczką, która wbrew społecznym oczekiwaniom nie potrafi zająć pozycji liderki.

Dwie godziny później wychodziłem ze spotkania pod wrażeniem jej kompetencji, rozeznania patologii systemu i świadomości ciężaru, który na niej spoczywa.

– To, co robimy z moim zespołem, nie jest wyzwaniem na dziś. Naszą pracę postrzegamy w perspektywie przynajmniej dziesięciu lat – powiedziała wtedy Sandu. Jej celem nie było zdobycie władzy, lecz zmiana mentalności, dzięki której na pierwszy plan życia politycznego wyjdzie godność zwykłego człowieka.

W niedzielę 15 listopada Maia Sandu poczyniła znaczący krok w realizacji swej strategii: w drugiej turze wyborów prezydenckich pokonała urzędującą głowę państwa, uzyskując prawie 58 proc. głosów. Nie znaczy to, że zdobyła władzę, bo w Mołdawii prezydent pełni głównie funkcje reprezentacyjne. Skłoniła jednak tę ogromną rzeszę ludzi, w tym prawie 250 tys. emigrantów, do głosowania właśnie na nią, mimo że nie obiecywała cudów. Przeciwnie: mówiła, że jeśli chcą uratować kraj, wszystkich czeka ogromna praca.

W ten sposób w mołdawskich wyborach starły się dwa oblicza Europy Wschodniej. Jej przeciwnikiem był bowiem Igor Dodon – dziecko i filar tamtejszego systemu, w którym od lat, żerując na tożsamościowym pęknięciu społeczeństwa i wsparciu zagranicznych patronów, utrzymują władzę oligarchowie.

NIEZATAPIALNY. Mołdawską politykę śledzę od 2009 r. Wtedy też do pierwszej ligi wszedł Dodon. Od tamtego czasu wielu ekspertów powtarzało, że nic z niego nie będzie, że jeszcze chwila i się skończy, że nie warto zwracać na niego uwagi. Tymczasem wszyscy inni tonęli, a on trwał i do niedawna nieustannie rósł w siłę.

W ostatnich latach rządów Partii Komunistów był wicepremierem od gospodarki. Po tym, jak w 2009 r. od władzy odsunęła ich koalicja partii prozachodnich, zawalczył o stanowisko burmistrza stolicy. Przegrał, ale zdobył popularność. Opuścił szeregi komunistów i pomógł nowej władzy wybrać prezydenta, kończąc w ten sposób trwający prawie trzy lata kryzys polityczny. Już wtedy mówiono, że Dodon odegrał rolę w historii: przyjął zapłatę, zagłosował i tyle. Partia Socjalistów, którą starał się ożywić, długo nie mogła wyjść z politycznego cienia. Prze-

SERGEI GAPON / AFP

Maia Sandu, przyszła prezydent Mołdawii. Kiszyniów, 16 listopada 2020 r.

łom nastąpił w 2014 r., nie był jednak efektem charyzmy Dodona, lecz wolty komunistów i wszechstronnego wsparcia Kremla.

Partia Komunistów była bliska ponownego przejęcia władzy, jednak jej starzejący się lider wystraszył się Vlada Plahotniuka i ogłosił, że nie sprzeciwia się integracji kraju z Unią Europejską. W ten sposób pogrzebał komunistyczny szyld w oczach prorosyjskiego elektoratu, który stanowi około połowy społeczeństwa. Pretendentów do przejęcia schedy było dwóch: Igor Dodon i Renato Usaty, młody polityk o charyzmie trybuna ludowego.

POMAZANIEC. Ten drugi zaczął szybko zaskarbiać sobie serca wyborców, jednak Kreml wybrał pierwszego. Zaczęto inwestować w niego wizerunkowo i stało się jasne, że to właśnie Dodon jest pomazańcem Putina w Mołdawii. Co więcej, partię Usatego w przededniu wyborów usunięto z list wyborczych, co pasowało wtedy wszystkim.

Dodon mógł wejść w romans z Rosją i nie bać się Plahotniuka, gdyż łączyły ich liczne interesy. Gdy w 2016 r. Sąd Konstytucyjny przywrócił powszechne wybory prezydenckie, stało się jasne, że Plahotniuk chce obsadzić na stanowisku głowy państwa właśnie Dodona. Również wtedy jego główną konkurentką była Maia Sandu. Oficjalnie rząd i partia oligarchy poparły właśnie ją, jednak dla przedstawicielki obywatelskiej opozycji, walczącej z kleptokratycznym reżimem, mogła to być co najwyżej niedźwiedzia przysługa. Dziś ludzie Plahotniuka otwarcie mówią, że w rzeczywistości pracowali wtedy na Dodona.

Tak powstał kartel polityczny, opierający się na formalnej rywalizacji i geopolitycznych patronach. Dodon nieustannie latał do Moskwy, by pławić się w blasku Putina i odbierać instrukcje, co udowodniło niedawno dziennikarskie śledztwo. Z kolei Plahotniuk starał się przekonywać Zachód, że tylko on gwarantuje niezależność kraju od Kremla. Równocześnie obaj dzielili się wpływami, a politycznie działali na rzecz stabilizacji duopolu.

Koniec tej historii przyszedł w czerwcu 2019 r. Po wyborach, które odbyły się cztery miesiące wcześniej, Dodon i Plahotniuk próbowali sformalizować swoją współpracę, jednak Rosja powiedziała zdecydowane „*niet*". Dodon znalazł się w klinczu między patronem zagranicznym a krajowym. Znów wieszczono jego koniec. Ale ostatecznie to Plahotniuk musiał opuścić kraj.

PRYNCYPIALNA. 48-letnia dziś Maia Sandu zaistniała na politycznym firmamencie w czasie wspomnianego kryzysu prezydenckiego. Wtedy głowę państwa wybierał jeszcze parlament. Proeuropejska koalicja nie miała wymaganych 61 głosów, zaczęły więc pojawiać się nazwiska apolitycznych autorytetów, które mogłyby objąć to stanowisko.

Ktoś sobie przypomniał, że pewna Mołdawianka, absolwentka Uniwersytetu Harvarda, pracuje na wysokim stanowisku w Banku Światowym. Ostatecznie koalicja uznała, że nie może pozwolić sobie na tak niezależną osobę w roli głowy państwa, jednak w 2012 r. zaproponowano jej tekę ministra edukacji. Zgodziła się i rozpoczęła mozolną oraz bolesną reformę systemu szkolnictwa, modernizując go i bezwzględnie walcząc z korupcją. Właśnie wtedy zrodził się mit Mai Sandu jako pryncypialnej, uczciwej i niezależnej od nacisków. Rzecz w mołdawskiej polityce niebywała.

Nie opuściła rządu, gdy na przełomie 2014 i 2015 r. wybuchła słynna afera z kradzieżą miliarda dolarów z systemu bankowego. Długo jej to wypominano. Ona niezmiennie powtarza, że jej celem było dokończenie reformy edukacji. Koalicja rozpadła się jesienią 2015 r., a Sandu założyła – wraz ze współpracownikami z ministerstwa edukacji – stowarzyszenie, które stało się zalążkiem jej Partii Działania i Aktywności.

Gdy jesienią 2016 r. po raz pierwszy walczyła z Dodonem o prezydenturę, musiała zmierzyć się z atakiem propagandy: wyborców próbowano zrazić jej rzekomym homoseksualizmem i sympatią do rumuńskiego faszyzmu. W drugiej turze na Dodona zagłosowało ok. 70 tys. osób więcej (w 3,5-milionowym kraju). Na jego sukces pracował jednak cały system organizujący ówczesne życie polityczne: krach marzeń o integracji europejskiej, Kreml, Plahotniuk i jego pieniądze oraz wyborcy przywiezieni z Naddniestrza.

Nastały trudne lata w pozaparlamentarnej opozycji. Często wydawało się, że kartel jest tak silny i stabilny, że nie ruszy go żadna siła. Maia Sandu miewała wtedy momenty zwątpienia, jej współpracownicy przyznawali, że brakuje im już pomysłów, a walka wydaje się beznadziejna. Słychać było narzekania, że Sandu jest ↦

↦ zbyt pryncypialna i nie ma zmysłu politycznego.

Po wyborach parlamentarnych w lutym 2019 r. blok ACUM, w skład którego weszła jej partia, stał się drugą siłą w parlamencie. Rewolucja, która wyniosła ją wtedy na chwilę do władzy, nazywana jest cichą lub dyplomatyczną: pod naciskiem rosyjskiej oraz zachodniej dyplomacji zawarła taktyczny sojusz z Dodonem i zgodziła się zostać premierem w rządzie koalicyjnym prorosyjskiej Partii Socjalistów i proeuropejskiego ACUM. Sojusz ten przetrwał do listopada. I tak dłużej, niż zakładano – chodziło bowiem o to, by uwolnić kraj od Plahotniuka.

STRACH. Igor Boțan, znany mołdawski komentator polityczny, zwykł mawiać, że Dodonem kieruje przede wszystkim strach. – On boi się Putina, boi się Plahotniuka, boi się władzy, którą posiada, a przede wszystkim tego, co będzie, gdy ją straci – tłumaczył mi kilkukrotnie.

Dlatego cały czas Dodon utrzymywał się na powierzchni, a nurt niósł go do przodu. Gdy w listopadzie 2019 r. zrywał sojusz z Sandu, wydawało się, że jest bliski stworzenia dla siebie hegemonistycznej pozycji w systemie. Zawarł sojusz z Partią Demokratyczną, byłym ugrupowaniem Plahotniuka, które jako typowa partia władzy potrzebowała stołków, aby przetrwać. Wprawdzie opuściła ich grupa prominentnych działaczy, w tym najbliżsi współpracownicy oligarchy, ale głosów wystarczyło, by zapewnić większość w parlamencie. Dodon podporządkował sobie dużą część mediów, wstrzymał reformę sądownictwa, a na stanowisku prokuratora generalnego znalazł się człowiek, który nie był wrogo do niego nastawiony.

Jednak kilka miesięcy później machina zaczęła szwankować. Rząd był już bliski podpisania umowy kredytowej z Rosją, która miała dać Mołdawii 200 mln euro i otworzyć furtkę dla finansowych malwersacji, gdy dokonała się rewolta w Sądzie Konstytucyjnym. Człowiek Dodona utracił fotel przewodniczącego, a Sąd zablokował tę umowę. W tym samym czasie szeregi Partii Demokratycznej zaczęli opuszczać kolejni deputowani. W efekcie obóz prezydencki utracił większość w parlamencie.

Nie było wątpliwości, że demontaż tego obozu politycznego jest efektem działania ludzi Plahotniuka, który w tym czasie przebywał w USA. Sojusznicy Sandu z bloku ACUM byli już gotowi stworzyć nową większość, łączącą siły przeciwne Dodonowi. Wśród nich znalazłaby się również Partia Șor, stworzona przez jednego z głównych oskarżonych o kradzież bankowego miliarda, dosłownie kupująca poparcie najbiedniejszych.

Sandu oświadczyła jednak, że nie będzie współpracować z twórcami kleptokratycznego reżimu. Na przyśpieszone wybory nie pozwalała natomiast konstytucja – nie można ich przeprowadzić na pół roku przed wyborami prezydenta. I tak mołdawski parlament w ostatnich miesiącach trwa w politycznym dryfie i klinczu zarazem.

WYBORY. Powszechnie oczekiwano, że wybory prezydenckie w listopadzie 2020 r. nie tylko wyłonią głowę państwa, ale przyniosą szersze nowe otwarcie w polityce.

Czy tak się stanie? Zapewne Maia Sandu będzie teraz przeć do rozwiązania parlamentu. Naciskał na to będzie również Renato Usaty – ten sam, który kiedyś był konkurentem Dodona na prorosyjskim skrzydle. Obecnie nie dotyka zupełnie tematów polityki zagranicznej, budując swe poparcie na hasłach antykorupcyjnych i antyelitarnych. Jest on teraz merem Bielc, drugiego największego miasta w kraju, zamieszkiwanego głównie przez rosyjskojęzycznych Mołdawian. W tej części społeczeństwa ma też największe poparcie. Usaty również startował w wyborach prezydenckich – w pierwszej turze uzyskał 17 proc. głosów, odbierając wyborców Dodonowi i angażując elektorat protestu. Przed drugą turą jednoznacznie opowiedział się przeciw urzędującemu prezydentowi.

Dodon też pewnie zdecydowałby się na przyśpieszone wybory parlamentarne, gdyby wygrał te prezydenckie. Teraz wie jednak, że wiatr nie wieje mu w żagle. Kontrolując rząd i Partię Socjalistów, nadal kieruje krajem, a strach przed utratą władzy będzie powstrzymywał go przed rozwiązaniem parlamentu. Do stabilnej większości brakuje mu dwóch głosów, w tej sytuacji prawdopodobnie będzie mógł liczyć na poparcie deputowanych, którzy nie chcą rozstać się ze swoją funkcją. A że skład tego parlamentu został w dużej mierze zaprojektowany przez Plahotniuka, to wolnych elektronów, które nie miałyby szans na reelekcję, jest tam dość dużo.

CZAS. Dodon przystępował do tej kampanii pewny siebie, szybko jednak uwidoczniło się, że ludzi niezbyt interesuje, co ma on do powiedzenia. Rosło przekonanie, że wstrzymał reformy rozpoczęte przez rząd Sandu i zajął się interesami własnego otoczenia. W obliczu pandemii i kryzysu gospodarczego jego opowieść o sojuszu z Rosją i tradycyjnych wartościach mało kogo interesowała. Obwiniano go za to o kryzys polityczny i nieudolne rządzenie w tak trudnym momencie.

Maię Sandu zmienił za to bardzo okres premierostwa. Odeszła od opowieści o szybkim zbliżeniu z Zachodem oraz od narracji prorumuńskiej. Zaczęła wypowiadać się publicznie po rosyjsku, a w centrum swojej polityki postawiła godność i prawa człowieka.

Najbliższe miesiące, a może i lata będą jednak dla niej niezwykle trudne. Nawet gdyby udało jej się doprowadzić do rozwiązania parlamentu, to po wyborach prawdopodobnie musiałaby wejść w kolejny trudny sojusz. W tym momencie jedynym potencjalnym partnerem do demontażu obecnego systemu wydaje się być Usaty. A przecież pod względem wartości, stylu polityki oraz relacji ze światem rosyjskiego ciemnego biznesu jest im do siebie bardzo daleko.

Mimo wszystko czas zdaje się pracować na jej korzyść.

HYMN. Jeszcze niedawno mołdawski hymn narodowy był traktowany z przymrużeniem oka. Jego tytuł brzmi „Nasz język". A przecież pytanie, czy jest to język rumuński, czy też mołdawski, przez lata rozpalało opinię publiczną. Tymczasem w dniu wyborów Mołdawianie mieszkający w różnych krajach Unii Europejskiej wspólnie śpiewali swój hymn przed lokalami wyborczymi. Gdy okazywało się, że zabrakło kart do głosowania, wsiadali do samochodów i ruszali do innych miast. Ci sami ludzie, którzy przez lata ciężkiej pracy utrzymywali swój kraj przy życiu, regularnie wysyłając rodzinom zarobione pieniądze.

Bez ich głosów też by wygrała. Choć nie w tak pięknym stylu. © PIOTR OLEKSY

Autor pracuje w Katedrze Studiów Wschodnich UAM, jest autorem książki „Naddniestrze. Terror tożsamości". Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu Gabriela Le Bomina: Isabelle Carré jako Yvonne de Gaulle i Lambert Wilson w roli generała.

Generał w pantoflach

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Pół wieku po śmierci francuski bohater narodowy Charles de Gaulle powraca. Tym razem jednak schodzi z cokołu – jako człowiek, mąż i ojciec.

ZA ŻYCIA JEDNI GO WIELBILI JAKO WIELOkrotnego zbawcę Francji, inni szczerze nienawidzili – do tego stopnia, że dwa razy ledwo uszedł z życiem, gdy próbowali go zabić rodzimi terroryści, nieprzejednani zwolennicy „francuskiej Algierii".

Dzisiaj Charles de Gaulle bardziej łączy niż dzieli Francuzów. Sondaże pokazują, że wraz z Napoleonem Bonaparte należy on do ulubionych postaci historycznych w kraju. Jego dorobek i idee rzadko wywołują teraz we Francji ostre dyskusje, za to chętnie powołują się na niego wszyscy politycy – i to od radykalnej lewicy aż po skrajnie prawicowy Front Narodowy Marine Le Pen. Jakby spełniły się słynne słowa generała, że „każdy był, jest lub będzie gaullistą".

Dla większości Francuzów jest on symbolem człowieka, który uratował honor kraju, mówiąc „nie" rodzimym zwolennikom kapitulacji w czasach, gdy stawką była walka bądź kolaboracja z Adolfem Hitlerem.

De Gaulle à la carte

W listopadzie przypadają dwie okrągłe, związane z nim rocznice. Niedawno minęło 50 lat od jego śmierci (9 listopada 1970 r.), a także 130 lat od urodzin (22 listopada 1890 r.). Natomiast wcześniej – 80 lat od słynnego apelu de Gaulle'a, który wygłosił 18 czerwca 1940 r., już na emigracji w Londynie.

Wzywał w nim Francuzów do zbrojnego oporu wobec Hitlera. Wówczas samotny, odsunięty na boczny tor – cztery dni później przedstawiciele III Rzeszy i Francji (już pod rządami marszałka Philippe'a Petaina) mieli podpisać porozumienie o zawieszeniu broni. Wkrótce potem Francja została podzielona – na strefę okupowaną przez Niemców (z Paryżem włącznie) i kadłubowe państwo ze stolicą w Vichy – oraz włączona w orbitę sojuszników Hitlera. Postawa de Gaulle'a nie była powszechna, przeciwnie: generał wydawał się wtedy epigonem idącym pod prąd nastrojów Francuzów, a towarzyszyła mu jedynie garstka myślących jak on.

Według prezydenta Emmanuela Macrona „upór i silna wola", które cechowały de Gaulle'a w chwilach próby, należą do „spuścizny francuskiego ducha". W rocznicę śmierci generała – w 1958 r. twórcy francuskiej Piątej Republiki – Macron, idąc śladem poprzedników, odwiedził jego grób w miejscowości Colombey-les-Deux-Églises w Szampanii.

Jeśli, podobnie jak Macron, wielu Francuzów spogląda dziś z tęsknotą na generała, to dlatego że jego mit podnosi nadszarpnięte narodowe morale. Kompensuje problemy dotykające współczesnych Francuzów – takie jak zapaść gospodarcza, poczucie braku bezpieczeństwa, islamistyczny terroryzm, a teraz jeszcze pandemia. „Nostalgia za de Gaulle'em jest częściowo nostalgią za Francją, która już nie istnieje" – podkreśla brytyjski historyk Julian Jackson, autor nowej biografii de Gaulle'a, którą nad Sekwaną okrzyknięto jako rewelacyjną. ↦

Mit generała przyciąga ludzi o najróżniejszych poglądach, bo sam bohater miał wiele twarzy. Charyzmatyczny przywódca, oskarżany o zapędy autokratyczne, który w 1969 r. sam zrezygnował z władzy po przegranym referendum. Zdecydowany antykomunista, który sprzeciwiał się także hegemonii USA w świecie. Po roku 1945 najpierw zwolennik utrzymania francuskiego imperium kolonialnego i „francuskiej Algierii", a potem orędownik niepodległości tego kraju.

Słowem: w przypadku Charles'a de Gaulle'a każdy Francuz, niezależnie od poglądów, może znaleźć coś dla siebie.

Przez dziurkę od klucza

Generał ściśle strzegł sekretów swojego życia prywatnego. Historycy twierdzą, że z kolejnych wersji swoich pamiętników wykreślał zbyt intymne, jego zdaniem, informacje dotyczące rodziny. Pisarz André Malraux, sam gaullista, powiedział, że w słynnych „Pamiętnikach wojennych" Charles w ogóle nie istnieje, bo przyćmił go Wielki Francuz.

Teraz, zgodnie z duchem naszej epoki, de Gaulle-człowiek bierze spóźniony rewanż na de Gaulle'u-mężu stanu. Z okazji potrójnej rocznicy w ostatnich miesiącach w kraju zaroiło się od książek i filmów dokumentalnych lub fabularnych o francuskim bohaterze. Powtarzają się pytania: jakim był człowiekiem? Jak sprawdzał się w roli męża i ojca? Co wiadomo o jego relacjach z rodziną?

Najgłośniejszą próbą tego typu jest pierwsza filmowa biografia na dużym ekranie, pod lapidarnym tytułem „De Gaulle", w reżyserii Gabriela Le Bomina. Filmowa opowieść skupia się na kilku miesiącach z życia bohatera: od wybuchu II wojny światowej po jego apel z 18 czerwca 1940 r., wygłoszony na antenie radia BBC za zgodą premiera Winstona Churchilla.

Znany aktor francuski Lambert Wilson wciela się tu w człowieka rozdartego między chęcią zapewnienia bezpieczeństwa swojej rodzinie a misją ratowania Francji (bądź też, na ówczesnym etapie wojny, tylko – lub aż – jej honoru). Samotnego oficera, który postawił wszystko na jedną kartę i ruszył do Londynu z jedną walizką i adiutantem, aby ogłosić się przywódcą Francji – nazwanej Wolną Francją. Zupełnie samozwańczo, wszak kraj miał swój parlament, rząd i wszelkie instytucje. Za ten brawurowy gest zapłacił zresztą od razu i boleśnie: rząd Petaina nie tylko ogłosił go dezerterem, ale też pozbawił obywatelstwa.

> Zgodnie z duchem naszej epoki, de Gaulle-człowiek bierze teraz **spóźniony rewanż na mężu stanu.**

Twórcy filmu fabularnego o de Gaulle'u kładą akcent na rolę, jaką w jego drodze do chwały odegrała żona Yvonne, młodsza o dziesięć lat od męża; pobrali się w 1921 r. W scenie spaceru po bretońskiej plaży w czerwcu 1940 r. przekonuje męża, żeby kontynuował walkę z Hitlerem wbrew ówczesnemu stanowisku francuskiego sztabu głównego. Według scenarzystów filmu wsparcie żony dla wahającego się generała miało kluczowe znaczenie. Innymi słowy – bez niej nie zostałby przywódcą Ruchu Oporu.

Charles i Yvonne: nierozłączni

Być może – bo trudno o tym przesądzać – scenarzysta przecenia rolę Yvonne w tym przełomowym dla Francji momencie. Ale filmowe dialogi, choć wymyślone, oddają więź, jaka łączyła słynną parę. Ich trwający niemal pół wieku związek przetrwał wszystkie życiowe i polityczne burze, aż do śmierci Charles'a (Yvonne zmarła dziewięć lat później).

Ich pierwsze spotkanie, w 1920 r., zaaranżowała jej rodzina, ale młodych szybko połączyło uczucie. Pobrali się kilka miesięcy później. Oboje pochodzili z katolickich rodzin z wyższej klasy średniej, z tą różnicą, że familia panny młodej – przemysłowcy Vendroux – była zamożniejsza. W związku z tym Charles, choć zakochany w żonie, w przyjacielskim gronie nie stronił od żartów: „Poślubiłem ciasteczka Vendroux".

O uczuciowym życiu Charles'a, zawodowego oficera, z okresu sprzed małżeństwa mamy tylko skąpe wzmianki. Sam generał wspominał pod koniec życia, że w młodości „miał słabość do kobiet", ale w kwestii podbojów miłosnych zachował dyskrecję. Jeden z biografów, Jean Lacouture, twierdzi, że gdy w 1920 r. de Gaulle (wówczas w stopniu kapitana) został wysłany do Warszawy, jako członek francuskiej misji wojskowej – był to czas wojny polsko-bolszewickiej – miał regularnie jadać pączki w kawiarni Bliklego w towarzystwie polskiej arystokratki, niejakiej (pisownia oryginalna) „hrabiny Czetwertinskiej". Kim ona naprawdę była i czy znajomość ta przerodziła się w uczucie – nie wiadomo.

Małżeństwo de Gaulle'ów, a zwłaszcza Yvonne, ceniło sobie spokój wiejskiej rezydencji Colombey-les-Deux-Églises, gdzie wprowadziło się z trójką dzieci w latach 30. W okresach, gdy generał wycofywał się z polityki, prowadzili tam spokojne życie. Jego goście wspominali, że konwersacje z gospodarzem toczyły się w salonie, podczas gdy Yvonne w kąciku robiła na drutach.

Ten tryb życia zmienił się po przeprowadzce pary do Pałacu Elizejskiego w 1958 r., kiedy Charles został prezydentem. Jednak Yvonne nie znosiła blichtru tego pałacu i tęskniła za ich domem. W toku gwałtownych sprzeczek z mężem sprzeciwiała się także temu, aby ubiegał się on o reelekcję w wyborach prezydenckich w 1965 r. Jednak Charles jej nie posłuchał.

„Ciotka Yvonne" – jak popularnie zwali ją Francuzi – prowadziła skromne życie w cieniu męża i z dala od rozgłosu. Nie udzielała wywiadów. Nie znaczy to jednak, że nie miała swoich poglądów. Według historyków to właśnie ona naciskała na męża, aby w 1967 r. zaakceptował ustawę dopuszczającą stosowanie przez kobiety pigułki antykoncepcyjnej. Poparła tę zmianę, choć sama była żarliwą katoliczką, a Kościół katolicki we Francji sprzeciwiał się tej ustawie. Mąż w końcu uległ.

Ostatnie lata życia Yvonne spędziła w prowadzonym przez siostry domu spokojnej starości. Zmarła w 1979 r. i spoczęła u boku męża oraz córki Anne, na skromnym wiejskim cmentarzu w swoim ulubionym Colombey.

Ukochana Anne

Małżeństwo de Gaulle'ów miało troje dzieci: syna Philippe'a (w dorosłym życiu – oficera francuskiej marynarki i strażnika pamięci ojca) oraz dwie córki, Elisabeth i Anne. To właśnie historia najmłodszej Anne, dziewczynki z zespołem Downa, jest ważnym wątkiem wspomnianej filmowej biografii z Wilsonem w roli głównej.

Narodziny niepełnosprawnej córeczki – Anne nigdy nie nauczyła się mówić

i nie chodziła aż do 10. roku życia – były dla rodziców ciosem. W tamtym czasie, gdy o trisomii 21 niewiele wiedziano, normą było oddawanie dzieci z zespołem Downa do zamkniętych zakładów opiekuńczych. Charles i Yvonne nie zdecydowali się na to.

Julian Jackson pisze, że wspólne wychowanie upośledzonej córki wystawiło związek na ciężką próbę, ale z biegiem czasu – wzmocniło go. W jej towarzystwie Charles, szorstki i chłodny w obejściu (syn Philippe bardzo rzadko widział go całującego czy obejmującego żonę), śmiał się, bawił się z nią, śpiewał jej piosenki.

Relacja z Anne była sekretem, z którego zwierzał się tylko zaufanym ludziom. I tak, w 1940 r. powiedział pewnemu księdzu, że opieka nad córką jest dla niego ciężkim wyzwaniem, ale też „łaską i radością". „Pomaga mi przyjmować z dystansem wszystkie trudności i zaszczyty, dostrzegać zawsze coś ważniejszego" – wyznawał.

Anne de Gaulle przeżyła zaledwie 20 lat. Gdy zmarła w 1948 r. – z powodu powikłań wywołanych zapaleniem oskrzeli – jej ojciec był zdruzgotany. Kilka miesięcy później w liście do drugiej córki, Elisabeth, żyjącej w Afryce, uskarżał się na dotkliwą pustkę panującą w Colombey po odejściu Anne.

Jeszcze za życia córki Yvonne założyła fundację, która zajmuje się osobami z upośledzeniem umysłowym. Fundacja istnieje do dziś, a od 1948 r. nosi nazwę Fondation Anne de Gaulle.

W klapkach na odsiecz Francji

Z upływem czasu w masowej wyobraźni niezłomny zbawca Francji zyskuje coraz bardziej ludzkie rysy. Bywa też – rzecz kiedyś niewyobrażalna – obiektem publicznych żartów. Jak w znakomitym i zabawnym komiksie „De Gaulle na plaży" Jeana-Yves'a Ferriego (oryg. „De Gaulle à la plage"), którego animowaną adaptację wyemitowała w tym roku telewizja ARTE.

W kreskówce tej widzimy generała w krótkich spodenkach, jak spędza wakacje w Bretanii w towarzystwie rodziny i adiutanta, narzekając na niewdzięczność Francuzów. Z łopatką do piasku w ręku wygłasza pompatyczne tyrady o ratowaniu kraju zaczynające się od „moi, de Gaulle" (ja, de Gaulle) oraz flirtuje – za plecami Yvonne – z atrakcyjną plażowiczką. Spotyka także innego politycznego emeryta, Churchilla, z którym przy kieliszku brandy kłóci się o zasługi w pokonaniu Hitlera...

W tych żartach nie ma jednak szyderstwa. Przeciwnie: kpiąc sobie z megalomanii de Gaulle'a, autorzy tej – jak i innych podobnych fantazji historycznych – oddają mu też hołd. W wersji popkulturowej generał jawi się jako postać pełna ludzkich słabości. Jako poczciwy starszy pan z nieco innej epoki, który dla dobra kraju zawsze był gotowy do wyrzeczenia się osobistych korzyści.

Coraz mniej przypomina herosa z podręczników, za to coraz bardziej postać bardzo ludzką, sympatyczną. A przez to – także Francuzom bliższą.

© SZYMON ŁUCYK

Korzystałem m.in. z: Julian Jackson „De Gaulle. Une certaine idée de la France" (Paryż 2019) oraz „Charles de Gaulle", edycja specjalna dziennika „Le Monde" (2020).

REKLAMA

Wydawnictwo WAM poleca KSIĄŻKI NA CZASIE!

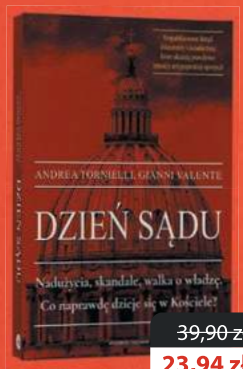

39,90 zł
23,94 zł

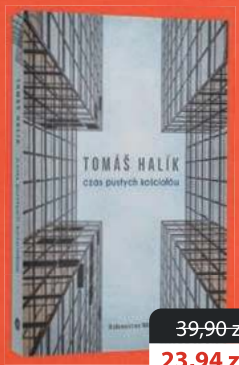

39,90 zł
23,94 zł

42,90 zł
25,75 zł

34,90 zł
20,94 zł

41,90 zł
25,14 zł

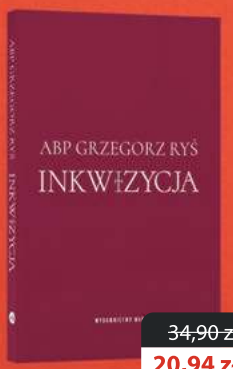

34,90 zł
20,94 zł

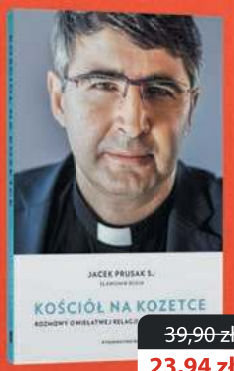

39,90 zł
23,94 zł

35,90 zł
21,54 zł

Cała oferta -40%

wydawnictwowam.pl

Przy zakupie od **75 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

SIEWCA NOWOCZESNOŚCI, KTÓRA PRZERAŻA

GRZEGORZ KRZYWIEC, AUTOR KSIĄŻKI O ROMANIE DMOWSKIM:

Głównym grzechem twórcy Narodowej Demokracji była jego wizja świata, którą przeszczepił na swój obóz, na młodzież, na scenę polityczną.

MIKOŁAJ MIROWSKI: Roman Dmowski uważany jest za jednego z ojców odzyskanej sto lat temu niepodległości.

GRZEGORZ KRZYWIEC: Był on jednym z ojców odrodzonej Polski. Tę zasługę trudno mu odebrać, niezależnie od polityczno-ideowych kłopotów z tą postacią. Oprócz roli, którą odegrał na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r. – gdzie decydowały się kwestie polskich granic i gdzie skutecznie wystąpił razem z Ignacym Paderewskim w roli głównych delegatów Polski – był on wtedy najważniejszym reprezentantem największego ruchu politycznego na ziemiach polskich. Oraz politykiem, który w znacznej mierze określił ramy myślenia o tym, czym miała być odrodzona Polska. Co ciekawe, poza udziałem w konferencji paryskiej i epizodem ministerialnym, jego rola miała charakter przede wszystkim nieformalny.

Jedynie od 27 października do 14 grudnia 1923 r. był szefem MSZ w gabinecie premiera Wincentego Witosa.

Poza tym krótkim okresem, od powrotu do Polski latem 1920 r. Dmowski w zasadzie znalazł się na politycznym marginesie. Mimo to jego nieformalna rola rosła z każdym rokiem. Pod koniec lat 20. był bezsprzecznym liderem polskiego nacjonalizmu. Jest taka teza, po raz pierwszy wyrażona bodaj przez Ksawerego Pruszyńskiego i potem powtarzana, że Polska, która powstała po I wojnie światowej, przypominała wizję Dmowskiego. Czyli: państwo docelowo narodowe, rządzone przez etnicznie polskie elity. Ten stan nie uległ zmianie przez całe dwudziestolecie, niezależnie od politycznych fluktuacji.

Apogeum państwowej aktywności Dmowskiego to jego podpis pod traktatem wersalskim, który przyniósł korzystne rozstrzygnięcia dla Polski. Dało mu to miejsce w historii i kapitał polityczny. Wykorzystał go?

Istotnie, w tym momencie jego pozycja polityczna w kraju i za granicą była największa: znalazł się w czasie i miejscu, z którego miał duży wpływ na kształt terytorialny odrodzonego państwa. Współtworzył też aparat ekspercki, który stał się zapleczem dla nowoczesnej polskiej dyplomacji. Mimo licznych kontrowersji, które już wtedy mu towarzyszyły, był traktowany jako niezaprzeczalny reprezentant Polski. W życiu Dmowskiego, który całą swoją aktywność poświęcił polityce, trudno znaleźć drugi podobny moment. Do tej roli przygotowywał się zresztą przez niemal całe wcześniejsze życie.

Ale czy to zdyskontował?

Umiejętnie wykorzystała to propaganda nacjonalistyczna: że oto po ponad stuleciu polscy politycy z Dmowskim na czele są traktowani jak równi partnerzy i zasiadają w gremiach międzynarodowych, gdzie decydują się losy świata. Nawet jeśli w tych twierdzeniach jest wiele przesady, była to jakościowa zmiana dla ówczesnych Polaków. Zresztą Polacy, jako członkowie wspólnoty kulturowej, w zasadzie do dziś potrzebują takiego dowartościowującego komunikatu.

Dmowski był krytyczny wobec tradycji romantyzmu: uważał, że generowała „samobójcze" powstania, szastające „substancją biologiczną" narodu. Na drugim biegunie tego sporu była Polska Partia Socjalistyczna i piłsudczycy. Kto miał rację?

Rację, jak wiadomo, mają zwycięzcy. Największym przegranym była tu więc PPS – rozdarta między wizją demokratycznego socjalizmu i równościowego społeczeństwa z jednej strony oraz, z drugiej, aspiracją, aby pogodzić to z narodowymi mitami, a przy tym rywalizująca z komunizmem, którego ówczesnej siły przyciągania dziś się u nas nie docenia. Mając zaplecze wśród części postępowej inteligencji, a zwłaszcza w wielkoprze-

REPRODUKCJA ARCHIWUM KARLICKI / EAST NEWS

Roman Dmowski, lata 30. XX w.

mysłowym proletariacie, PPS była na straconych pozycjach w Polsce, kraju rolniczym i konserwatywnym społecznie.

Patrząc z perspektywy czasu, dwie wielkie tradycje polskiego myślenia – romantyzm i realizm – musiały się prędzej czy później spotkać. Dodałbym, że to pęknięcie między irredentyzmem a pracą organiczną, jak zwyczajowo identyfikuje się oba te nurty, od początku nie było tak jednoznaczne i oczywiste, jak się je dziś przedstawia. Niemniej w sensie dosłownym z tego starcia zwycięsko wychodzą wówczas piłsudczycy: to oni rządzą po 1926 r.

Często słyszymy, że Dmowski był politykiem niedemokratycznym i autorytarnym. Podkreśla się jego fascynację faszystowskimi Włochami. Tymczasem on sam deklarował się jako szczery demokrata, endecja wygrywała w wyborach, a autorem zamachu majowego był Piłsudski. Dmowski był demokratą?

U podstawy tego pojęcia tkwi nieporozumienie. Od początku swej kariery politycznej, a był to rok 1890, Dmowski nigdy nie uznawał się za demokratę w sensie identyfikacji z wartościami demokracji liberalnej: pluralizmem politycznym, szacunkiem wobec instytucji liberalnych, nie wspominając już o takim detalu jak prawa mniejszości narodowych. Jego wypowiedzi publiczne i prywatne są jednoznaczne, a pozostawił ich dość, aby się w tym rozeznać.

Natomiast czymś innym była demokratyzacja, czyli aktywny udział mas w życiu publicznym, ich kulturalne aspiracje. Tak pojmowaną demokratyzację Dmowski uważał za część nowoczesności, którą chciał wprowadzać w obrębie swojej wspólnoty politycznej. I taką demokratyzację społeczną, rozumianą jako emancypacja i upodmiotowienie mas, uważał za część umowy społecznej, którą wspólnota zawiera z jednostką. Nie będzie zatem przesadą stwierdzenie, że formacja, którą stworzył, była integralnym elementem ówczesnej demokratyzacji społecznej.

To skąd zauroczenie autorytaryzmem i Mussolinim?

Z czasem niechęć, wręcz wrogość wobec demokracji liberalnej i jej zasad, a szerzej: wobec projektu oświeceniowego, zaczęła przybierać w jego światopoglądzie coraz bardziej agresywne formy. Po I wojnie światowej wrócił do Polski odarty, w swoim mniemaniu, ze wszelkich złudzeń. Demokrację w stylu zachodnim, z którą się zetknął, postrzegał jako rządy pieniądza, za którym stoją – nieodmiennie u niego – Żydzi, o których zwykle mówił jako o ludziach niejasnych interesów. Żydzi, którzy zniekształcają to, co nazywał „podstawami bytu narodowego". Z czasem myślenie to obrosło u niego licznymi sylogizmami i metaforami – w rodzaju: demokracja to rządy masonów, tej „pomocniczej armii żydostwa" – które można sprowadzić do tezy, iż demokracja liberalna to w gruncie rzeczy rządy Żydów.

W zasadniczych pracach, które powstały tuż przed jego śmiercią w 1939 r. – jak „Świat powojenny i Polska" oraz „Przewrót" – pisał o tym wprost. Za swój projekt polityczny, a także za cel ruchu narodowego w latach 30. Dmowski uznał zburzenie porządku społecznego, który wziął początek od Wielkiej Rewolucji Francuskiej, a który w najbardziej drastycznej postaci miał przetrwać jako bolszewizm, u niego znów: zarządzany w dużej mierze przez Żydów. Innymi słowy: demokracje upadają, bo były ustrojami fałszu i złudzeń społeczno-politycznych. Na tym tle należy ↦

Roman Dmowski i gen. Henri Gourand, dowódca francuskiej IV Armii, podczas ceremonii przekazania sztandaru 1. Pułkowi Strzelców Polskich. Szampania, 18 czerwca 1918 r.

ARCHIWUM IMRE KERTÉSZ KOLLEG JENA

DR HAB. GRZEGORZ KRZYWIEC (ur. 1974) pracuje w Instytucie Historii PAN. Autor książek „Polska bez Żydów. Studia z dziejów idei, wyobrażeń i praktyk antysemickich na ziemiach polskich początku XX wieku" oraz „Szowinizm po polsku. Przypadek Romana Dmowskiego (1886–1905)".

↦ widzieć jego fascynację Mussolinim, a potem Hitlerem. A także ewolucję, którą przechodził rodzimy nacjonalizm.

Także krytycy Dmowskiego doceniają u niego chłodną głowę w polityce i zmysł analizy. Tym bardziej zadziwia jego irracjonalna antyżydowskość. Ona z wiekiem nie łagodnieje, lecz się pogłębia.

Tu trzeba odróżnić dwie sprawy. Pierwszy poziom – osobisty, związany z emocjami – to wrogość do Żydów jako grupy. U Dmowskiego miała ona przez całe życie charakter organiczny, nigdy nie uległa zmianie. Nie miał przyjaciół wśród osób pochodzenia żydowskiego. Przypuszczam, że ten stosunek do Żydów wywodził się u niego z wczesnego dzieciństwa. Większość pamiętnikarzy, w tym osób towarzysko mu bliskich, gdy opisuje jego stosunek do Żydów, do żydowskiej kultury i religii, używa słowa „nieprzejednany" bądź jego synonimu. Trudno wskazać inną postać z historii Polski ostatnich kilku wieków, u której w tak istotnym stopniu obecna jest aż taka niechęć, taka mieszanka strachu i egzystencjalnej grozy, a w końcu mająca charakter obsesyjnego natręctwa myślowego. W naukach społecznych, w tym także w historiografii, kładzie się dziś spory nacisk na emocjonalny podkład zideologizowanych resentymentów.

Równocześnie Dmowski traktował Żydów z atencją, podziwiał ich wielowiekową tradycję. W prywatnych rozmowach gorzej mówił o Rosjanach, a Białorusinów i Ukraińców nazywał „gorszym gatunkiem Polaków".

Tu dochodzimy do drugiego poziomu jego projektu, rozpisanego na całe życie. Chodziło o to, aby tę wrogość wpisać w ramy światopoglądowe, w sposób racjonalistyczny, wręcz scjentystyczny. Ten drugi poziom się zmieniał, tak jak zmieniał się świat na przełomie wieków XIX i XX. Nacjonalizm i nacjonalistyczny antysemityzm z końca wieku XIX miały w dużej mierze charakter retoryczno-mobilizacyjny, dopiero potem stały się podstawowym narzędziem w uprawianiu polityki. Jest sporo świadectw ludzi związanych z rodzimym ruchem narodowym, którzy chłodno to stwierdzają: bez „Żydów" nie byłoby nas, czyli nacjonalistów.

Co się wtedy dzieje?

W latach 20. i przede wszystkim w latach 30. XX w. ten antysemityzm nacjonalistyczny przybiera już agresywne formy, związane z przemocą i coraz większą rolą paramilitaryzacji w życiu społecznym. Jest też dla sporego odłamu polskiej młodzieży swego rodzaju stylem życia.

W tym kierunku podążał również Dmowski. Jego ostatnie pisma to właściwie agitacja przemocowa połączona z przeświadczeniem, że bez takiego gwałtownego przesilenia już się nie obejdzie. Dmowski od początku postrzegał rywalizację między narodami jako pole bitwy, a Żydów jako groźnego przeciwnika z powodu cech, których nie dostrzegał np. u Ukraińców. Tych określał zresztą mianem Rusinów.

Skoro o mniejszościach mowa: co było jego głównym politycznym grzechem? Wymieniliśmy antysemityzm, którym naznaczył swój obóz. A idea inkorporacyjna, oznaczająca przymusową asymilację licznych w II RP mniejszości?

Idea inkorporacyjna była pochodną większej całości. Jego antysemityzm i wizja państwa narodowego – takiego, które wchłania lub pozbywa się z przestrzeni publicznej mniejszości oraz tzw. wrogów narodu, czyli wszystkich inaczej myślących – były częścią większego pakietu, który do polskiego życia politycznego został wprowadzony

przez rodzimy nacjonalizm. Antysemityzm polityczny był też naturalną konsekwencją oglądu świata. Pewnie największym grzechem Dmowskiego była właśnie jego wizja świata i jej skutki. Bezwzględna, zdeterminowana, odarta z sentymentów, od której nie ma ucieczki oraz w której nie może być kompromisów. Konserwatywny publicysta katolicki Tomasz Terlikowski napisał kiedyś, że Dmowski był w istocie poganinem. Jest w tym coś na rzeczy.

Dmowski podjął przy tym wysiłek, aby swój ogląd świata przeszczepić na swój obóz, na młodzież, na całą ówczesną scenę polityczną. Nacjonalizm przedwojenny, ten w najbardziej agresywnych jego formach, to w dużej mierze jego dziecko, na jego obraz i podobieństwo. Gdyby za dziedzictwo Dmowskiego uznać wizję społeczeństwa zarządzanego autorytarnie przez, jak mawiano, elity uświadomione narodowo i wychowywane w duchu podporządkowania jednostki ogółowi, tę wizję społeczeństwa w stałej mobilizacji w kontrze wobec różnych wrogów wspólnoty – to taki obraz nie jawi się zapewne dla współczesnego Polaka zbyt atrakcyjnie. Ale takie były właśnie koszty jego wizji.

Co zostało z jego dziedzictwa? Zdaniem Wiesława Chrzanowskiego – w czasach PRL opozycjonisty i jednego z kontynuatorów myśli narodowej – obóz endecji należy do przeszłości, bo wypełnił z powodzeniem swoje główne zadanie, polegające na stworzeniu nowoczesnego narodu obejmującego wszystkie warstwy społeczne.

Trudno powiedzieć, gdyż dziedzictwo Dmowskiego w jakiejś części pokrywało się nie tylko, co oczywiste, z programem rodzimego nacjonalizmu, ale też z innymi wizjami nowoczesnego państwa. Nie było aż tak odległe od tego, co proponowały inne nowoczesne ruchy ideologiczne i polityczne tamtego czasu, przy wszystkich różnicach. Co zaś wyróżniało Dmowskiego, to z pewnością aspiracja, aby swoją wspólnotę uczynić tworem maksymalnie spójnym i zarazem, w jego mniemaniu, zdolnym do rozwoju i rywalizacji, bo w jego oczach tak wygląda świat, a innego nie będzie. To brutalna wizja, socjodarwinowska. A wnioski, jakie Dmowski wyciągał, też były bezwzględne.

Nie będę chyba oryginalny, gdy powiem, że skoro duża część Polaków ciągle identyfikuje się w agresywnych kategoriach narodowych, niemożliwych bez formuły wroga, to dziedzictwo Dmowskiego się w tym odnajduje.

Na ile więc jego wizja ostała się w polskim myśleniu?

Odpowiem pytaniem: jak dalece międzywojenna Polska – wielonarodowa, obarczona licznymi sprzecznościami i konfliktami, w swej genezie sięgająca jeszcze wieku XVIII, jeśli nie wcześniej, z jej peryferyjnym zapóźnieniem, a także z usytuowaniem we wrogim otoczeniu polityczno-międzynarodowym – może być jeszcze dla współczesnych punktem odniesienia?

© Rozmawiał MIKOŁAJ MIROWSKI

REKLAMA

Niesztampowa proza z nieoczywistych krajów

Książki WYSZUKANE specjalnie dla Was!

Wyróżnione Nagrodą Literacką Unii Europejskiej

WYSZUKANE
ezop.com.pl/wyszukane

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JACEK

Podsiadło

„Szczerze?”

Coraz częściej wyrażam się niezrozumiale, bo wyrażam się w sposób zbyt jasny, poprawny i klarowny. Ale że co, dociekają moi rozmówcy i korespondenci, pan tak totalnie nic nie kłapie, że ja nie łapię, znaczy rozumiem z grubsza te słowa, co pan ich używa, tylko nie wiem, o co chodzi, tak wie pan, w ogóle, tak że jak by pan mógł tak trochę bardziej coś tędy, to to by było mega. To dlatego, że żyjemy w czasach upadku kultury języka. Kultura upada, bo w gruzach legło jej fundamentalne założenie, że językiem posługujemy się w sposób świadomy i celowy. Kiedy Pani z Domu Kultury inicjuje korespondencję ze mną, zaczynając od „Witam, nazywam się Monika”, nieświadomie posługuje się formułą z nieodpowiedniego rejestru (portal randkowy?) i nie osiąga celu, jaki sobie zamierzyła (chciała się przedstawić, ale nie przedstawiła się). Jeszcze nie tak dawno, kiedy Kultowa Posłanka z ustami pełnymi nie tylko frazesów pouczała wykształciuchów, że poprawną formą „wziąć” jest „wziąść”, można było ją po prostu wyśmiać. Ale oto wypełniają się dni, nadchodzi sprawiedliwość, ostatni będą pierwszymi i to osobnicy uporczywie się posługujący polszczyzną poprawną będą wyśmiewani i piętnowani.

Miałem i ja wziąść na szczymanie i złożyć broń, ale nie chcę tego robić jako Przedostatni Mohikanin, a widzę, że tu jeszcze Michał Komar ostatkiem sił dobywa szczerbca, aby nim wymachiwać przeciw pisaniu wszystkich zaimków osobowych dużą literą. „Piosenkarka pisze o sobie w środku zdania – »Ja«” – nie może się nadziwić. Piosenkarki i celebrytów to ja już dawno zostawiłem w ich oślich ławkach. Ale dziennikarzom i pisarzom do końca próbowałem udzielać korepetycji.

Tu trzeba zaznaczyć, że Marcin Zegadło jest niewinny, on naprawdę cierpi na dysortografię. Co innego Znana Pisarka, która swoją gafę („Brama Grocka”) wyjaśniła mi tak: „Post napisałam z rozpędu, wklepując go na szybko w telefon”. Za wdzięcznym unikiem poszła kontra: „Kiedy ktoś chce zmienić lub rozmydlić temat dyskusji, wytyka innemu literówki albo byki”.

Czytałem opublikowane przez Kulturotwórczy Portal bzdury na temat mojej twórczości pióra Zdolnej Krytyczki. Cierpliwie. Nawet kiedy na kanwie fragmentu „Ilekroć jem zupę cebulową, myślę o Cyganach” autorka snuła rozważania o tym, że „istnieje zależność pomiędzy spożywanym posiłkiem i tematem, który zawsze pojawia się wtedy w rozważaniach podmiotu lirycznego”, po prostu zacisnąłem zęby i czytałem dalej. Kiedy jednak uznała, że miasto opisywane w wierszu jako akademickie, nawiedzane przez sentymentalnych Niemców i będące stolicą piosenki to „Ostrowiec, rodzinne miasto poety”, poprosiłem o usunięcie tej recenzji. Poprosiłem w sposób niewiarygodnie uprzejmy, zupełnie jak nie ja. Odpisała mi sama Redaktor Naczelna Kulturotwórczego Portalu: „Z całym szacunkiem do Pana opinii o tym tekście – każdy recenzent ma prawo do własnej interpretacji. Recenzji nie wycofamy. Namawiałabym Pana na rozmowę/wywiad z naszą autorką, w której wszelkie inne, nieakceptowane przez Pana interpretacje, można by skonfrontować”. Jak myślicie, jakie mleko daje czarna krowa? Zrobiłem wywiad ze Zdolną Krytyczką czy nie?

Wulgarny stałem się dopiero niedawno i tylko na fejsbuku, kiedy znajoma Znakomita Debiutantka pochwaliła się recenzją jej twórczości. Była tą recenzją zachwycona i podsuwała link do niej. Krytyk Doktorant napisał: „Indywiduacja podmiotki na drodze do społecznej samoświadomości płynnie przechodzi w tym poemacie od reorganizacji rozbitej tożsamości córki, przez kontestację ludzkiej amoralności i znieczulicy wobec krzywdy innych istnień, aż po odkrywanie własnej, wyswobodzonej z kulturowej tabuizacji, seksualności”. Słowa „podmiotka” użył ośmiokrotnie, m.in. „społeczną samoświadomość podmiotki” powiązał z jej „seksualną popędliwością”. Mnie jednak najbardziej pobudziło (szczerze przyznam, że do refleksji) zdanie bez „podmiotki”: „Tam, gdzie erotyzm wydobywa się na powierzchnię ponad pozostałymi tematami, gdzie mówiąca bezpruderyjnie emancypuje swoją seksualność, mówi bezpośrednio o zbliżeniu, dochodzi do redukcji popędu”.

Zdolna Dziennikarka Dodatku Feministycznego do Opiniotwórczego Dziennika napisała artykuł o gwałtach, a w nim: „Ciągle traktujemy gwałt jak temat, którego boimy się dotknąć, bo a nóż przydarzy się nam”. Zwróciłem jej uwagę: „Biorąc pod uwagę powagę tematu, warto to chyba czym prędzej poprawić”. Nie zrozumiała: „Rozumiem, że potrzeba krytyki jest w Panu silniejsza niż cudzy spokój, szczególnie, gdy można być uszczypliwym wobec kobiety”. Minął rok z ochłapem, a jej „nóż” spokojnie wisi w sieci nad ofiarami gwałtów niczym widelec Damoklesa.

Odniosłem też sukces. Niestety, połowiczny. W komentarzu pod tekstem Innej Zdolnej Dziennikarki Tego Samego Dodatku podniosłem, iż Pippi, jej i mój najwyższy autorytet, nie nazywa się „Langstrumpf”, ale Långstrump. I autorka odpowiedziała! Przyznała się do błędu! Obiecała poprawić! Ale przez pół roku nie poprawiła, mimo regularnych monitów.

Całkiem niedawno, podczas wspólnego spotkania autorek i autorów nominowanych do Jednej z Najważniejszych Nagród, Wybitny Poeta, zresztą późniejszy laureat, powiedział: „W cudzysło...”. Tu się zawiesił, po czym poprosił o użyczenie odpowiedniej końcówki koleżeństwo nominowanych i z więcej niż dwóch życzliwie mu podsuniętych wariantów wybrał formę „w cudzysłowiu”. Ostatecznie, snadź niepewny swego, odłożył na bok tom swej poezji i pokazał, o co mu chodzi, na paluszkach kończyn górnych. Mina zaś jego mówiła: mogłem tak od razu. ©

NAUKA

ŻABIE TAJEMNICE

Mają burzliwe, pełne sprzeczności życie.
I wcale nie chcą się rozmnażać, jak Grzegorz Mendel przykazał.

ANNA GOC

W gablocie, poza setką żabich figurek, wisiała grafika z bocianem. Ma otwarty dziób, z którego wystają już tylko żabie kończyny, owinięte wokół bocianiej szyi. Pod spodem napis: „*Don't ever give up*" (Nigdy się nie poddawaj).

– W pracowni prof. Leszka Bergera toczyło się naukowe śledztwo – mówi z właściwą śledztwu powagą dr Adam Hermaniuk z Wydziału Biologii Uniwersytetu w Białymstoku. – Berger podważył systematykę żab zielonych stworzoną przez Linneusza i przy okazji klasyczne prawo dziedziczenia Mendla. Całkiem sporo jak na fakt, że obiektem jego badań były żaby zielone – dodaje, bierze kubek z kawą, z którego patrzy na mnie żaba, i zaczyna opowiadać o żabim życiu.

GDY ŻABA JEST MŁODA, ważne są dwie sprawy: jak zdobyć pokarm i jak nim nie zostać. Owiane złą sławą i przechadzające się po łąkach bociany rzadko zaglądają na obrzeża stawów, gdzie między wodą a lądem żaba zielona wiedzie swe życie. Za to czaple, choć wyspecjalizowane w polowaniu na ryby, i żabami nie wzgardzą.

Nagrzać swą gładką, silnie unaczynioną skórę i zacząć dzień – brzmi żabia zasada życia. Zmiennocieplność zobowiązuje. Ruch to niemały wydatek energetyczny, a procesy metaboliczne przebiegają sprawniej przy wyższej temperaturze ciała. Dlatego żaby, nim zaczną polowanie, grzeją się w przedpołudniowym słońcu. Potem nie idą daleko, jedzenie samo przylatuje. Zbiorniki wodne są atrakcyjne i ze względów wiecznych: rozmnażają się tu choćby ważki – i doczesnych: przylatują się napić pszczoły.

Hermaniuk: – Czy widziała pani kiedyś żabi język? Jest długi i umięśniony. Tylna część, lekko rozdwojona, wysuwa się i łapie, co może. Przednia, przywierająca do szczęki, zostaje i czeka, by w odpowiednim momencie zwinąć całość z powrotem. Wszystko dzieje się szybko, za szybko, by nasze oko mogło nadążyć.

– Jad pszczół żabom nie przeszkadza? – pytam.

– Nie, co potwierdzają żabie języki. Wystarczy otworzyć pyszczek polującej na pszczoły żaby i zobaczyć, ile jest w niego wbitych żądeł.

ŻABY LUBIĄ TEŻ ZJADAĆ SIĘ NAWZAJEM. Zasada jest prosta i bardzo praktyczna: można zjeść wszystko, co jest mniejsze i nadaje się do połknięcia w całości. Szczątkowe zęby pomagają jedynie przytrzymać ofiarę. Duże gatunki, jak ważąca nawet dwieście gram żaba śmieszka, zjadają z chęcią pisklaki, myszy i mniejsze żaby. – Jeśli zobaczy pani kiedyś nad brzegiem jeziora dwie żaby, najpewniej są tej samej wielkości i nie mogą się nawzajem zjeść, dlatego się tolerują – wyjaśnia Hermaniuk.

Płazy potrafią jednak docenić wewnątrzgatunkowe towarzystwo. O tym, że razem może być bezpieczniej, przypominają sobie zimą. Strategie na przetrwanie są dwie.

Jeśli ma się duży modzel piętowy, czyli wyrostek na stopie, u grzebiuszki ziemnej twardy jak paznokieć, można odpuścić integrację i zakopać się samemu w ziemi – wszystko w zaledwie kilka minut.

Jeśli nie – warto rozważyć wspólne zimowanie. Znaleźć dobrze natleniony zbiornik i liczyć na cud, czyli na to, że drapieżnik nas nie znajdzie. Całe przedsięwzięcie odbywa się w dość niesprzyjających warunkach, a mianowicie w uniemożliwiającym szybką i zdecydowaną reakcję letargu. – Zimujące razem żaby są gotową spiżarnią dla stałocieplnych drapieżników. Wydra czy norka amerykańska potrafią wyjeść znaczną część populacji zimujących razem żab – tłumaczy Hermaniuk.

GDY ŻABA PRZEŻYJE ZIMĘ, może świętować podwójnie: ma za sobą najgorsze, a przed sobą – gody.

– Słyszała pani kiedyś chóry żabie? – pyta Hermaniuk.

– Mój dom rodzinny jest w pobliżu parku i kilkunastu stawów. Najgłośniej jest w maju, tuż po zachodzie słońca.

Otóż to. Gody zaczynają się wieczorem, gdy temperatura powietrza spada, a wody utrzymuje się na przyjemnym poziomie. Wieczór ma jeszcze jeden plus: drapieżnictwo jest mniejsze, a spokój w czasie godów ma znaczenie.

Dobrze jest tuż po deszczu, a najlepiej gdy do tego jest bezwietrznie. Wtedy głosy samców unoszą się niczym niezakłócone. Samce mogą zacząć się „stroszyć": wypełniać do granic możliwości rezonatory (tzw. worki głosowe) wzmacniające głos, zmieniać ubarwienie, jak np. żaba jeziorkowa lub moczarowa, ↦

ADAM HERMANIUK

Samiec żaby wodnej z wypełnionymi rezonatorami

↦ a całą skumulowaną i niespożytą energię wyładowywać szybko pływając. Żabką.

Samice nasłuchują. – Jeśli z jakiegoś miejsca dochodzą głosy samców, to dla nich sygnał: tam należy iść. Samica potrafi wybrać odpowiedniego samca, kierując się tylko głosem – opowiada Hermaniuk.

– Odpowiedniego?

– Liczy się wielkość i kondycja. Samiec mniejszy będzie miał inny głos od samca większego. Sporo zależy od preferencji samicy.

– Skąd samica wie, że usłyszała właściwego, skoro odzywa się cały chór? – dopytuję.

– Jednocześnie rechocze do kilku tysięcy samców, to prawda. Ale każdy gatunek po swojemu. Na przykład samce żaby śmieszki, największej spośród żab zielonych, wydają głos przypominający śmiech: „bre ke, ke, ke". Stąd nazwa gatunku. Im bliżej zbiornika, tym więcej szczegółów dotyczących poszczególnych samców wyodrębniają samice.

Żaby zielone tworzą godowiska. Gromadzą się tam, gdzie temperatura wody jest optymalna. Dookoła czekają samce satelitarne, którym nie udało się zająć najdogodniejszych terytoriów. – Wystarczy chwilę posiedzieć w ukryciu, by zaobserwować, że w godowisku trwa nieustanna walka. Jedne samce przeganiają inne. Ale nie wiadomo, czy samica jest w stanie dotrzeć do centrum i wybrać tego najlepszego. Poza tym samce żab zielonych, zwłaszcza żaby wodnej, która skrywa pewną tajemnicę, mogą nieco oszukiwać – mówi Hermaniuk.

– To znaczy?

– Zmieniają głos. Nie robią tego celowo, ale ich głos godowy przypomina głos innego gatunku, z którym współwystępują. Wszystko po to, by przetrwać.

– Liczą na to, że samica może się zorientować.

– Może, ale zwykle jest już za późno. Samice są większe, bywa, że i dwukrotnie. A więc bardziej ociężałe. Nawet jeśli samiec osiąga podobną do samicy długość ciała, to i tak jest lżejszy, smuklejszy. I sprytniejszy. Gdy samica jest w jego zasięgu, trudno o ucieczkę.

– Coś może zrobić?

– Dać samcowi sygnał. U większości płazów podczas godów odzywają się tylko samce. Żaby zielone są jednym z wyjątków: zaobserwowano, że samice mają sposoby na wyrażenie własnego zdania. Gdy nieodpowiedni samiec próbuje stworzyć parę z samicą, a ta nie ma na to ochoty, wysyła mu komunikat: „Zostaw mnie". Jej głos jest ostrzegawczy. Wiadomo też, że może wysłać samcowi sygnał: „Ty jesteś odpowiedni" – tłumaczy Hermaniuk.

Gdy żaba przeżyje zimę, może świętować podwójnie: ma za sobą najgorsze, a przed sobą – gody.

U płazów bezogonowych dochodzi do tzw. ampleksusu, specyficznego zachowania rozrodczego. Samiec chwyta samicę pod pachami, albo w pachwinach, i trzyma tak długo, aż ta złoży jaja. W najtrudniejszej sytuacji są samice ropuch, które w przeciwieństwie do żab żyją głównie na lądzie. Jeśli samiec zechce stworzyć parę daleko od zbiornika, samica musi go nieść na grzbiecie, bywa, że i kilka kilometrów. Rozdzielają się, gdy ona złoży jaja, a on je zapłodni.

Wracając do żab zielonych: samice żaby wodnej, jak to w przyrodzie bywa, mają w zanadrzu jeszcze jedną możliwość przechytrzenia nieodpowiedniego samca. Potrafią kontrolować, ile składają jaj. Możliwości są, bo jednorazowo samica składa nawet kilka tysięcy jaj. – Jeśli samica ma na grzbiecie niewłaściwego samca, uwalnia tylko część skrzeku, który zawisa w kłębach wśród roślin, i daje mu sygnał: „Jesteś już ojcem, idź sobie", a gdy ten ją wypuszcza, zaczyna się rozglądać za innym samcem, odpowiedniejszym – kontynuuje Hermaniuk.

Kilka dni później z jaj wykluwają się larwy.

PRZED PRZYSZŁĄ ŻABĄ jeden z najciekawszych etapów życia: metamorfoza. Organizm wodny zmienia się w lądowy. Roślinożerca staje się drapieżnikiem. Zmiany zachodzą bardzo szybko, w ciągu kilkudziesięciu godzin.

Sygnałem, że metamorfoza zaczęła się na dobre, jest pojawienie się ukrytych pod pokrywami skrzelowymi przednich kończyn. Stopniowo zanika ogon. Płuca, w których już od dłuższego czasu płynęła krew, zastąpią niebawem skrzela. Zmienia się budowa głowy: u zdrapującej pyszczkiem glony kijanki pojawiają się haczykowate, szczątkowe zęby.

– Mające za sobą miliony lat ewolucji żaby radzą sobie z metamorfozą bez problemu. Jednak u żaby wodnej, najpopularniejszej wśród żab zielonych, pojawiają się anomalie. Opisała je prof. Maria Ogielska z Zakładu Biologii Ewolucyjnej i Ochrony Kręgowców Uniwersytetu Wrocławskiego, nazywając „syndromem rozwojowym żaby wodnej". Z jej obserwacji wynika, że część larw żaby wodnej w ogóle nie rozwijała się po zapłodnieniu, a część tylko do pewnego momentu – mówi tajemniczo Hermaniuk.

I dodaje: – Gdy w swoich badaniach rozmnażałem żaby wodne, w niektórych krzyżówkach nawet do 90 proc. potomstwa obumierało. Niektóre kijanki miały dwie głowy, inne osobniki nie miały jej wcale, widoczne były deformacje ciała.

I TU WRACAMY DO TAJEMNICY ŻABY WODNEJ, którą rozwikłał ponad pół wieku temu Leszek Berger.

Jest początek lat 50. XX w. Zajmujący się dotąd mięczakami Leszek Berger zatrudnia się w Muzeum Przyrodniczym w Poznaniu (dziś Instytut Środowiska Rolniczego i Leśnego PAN). Ma przeprowadzić inwentaryzację Wielkopolskiego Parku Narodowego, opisać herpetofaunę, czyli żyjące tam gady i płazy.

Urządza pracownię, której miłym i pożytecznym sąsiedztwem jest zoo. W centrum Poznania, przy ruchliwej ulicy Świerczewskiego (dziś Bukowskiej). Gdy zachodzi słońce, dają o sobie znać lwy. To z ich klatek resztki mięsa i żeberek trafiają do pracowni Bergera. Innej, mniej uciążliwej dla zmysłów współpracowników Bergera metody na zapewnienie żabom much w środku miasta nie ma.

Na jednym ze zdjęć Zygmunta Pniewskiego, najbliższego współpracownika Bergera, widać nieduży ogród, wkopane w ziemię okrągłe baseny z żabami, wokół roślinność, głównie chwasty, a wszędzie słoje, pojemniki i pudełka z kijankami. Naprzeciw basenów metalowy stolik, z dokładnie przysuniętym krzesłem. W tle idący ulicą ludzie.

Gdy Berger zaczynał swoje badania, żaby zielone dzielono na trzy gatunki: najpopularniejszą w Europie żabę wodną, żabę śmieszkę, a także uważaną przez niektórych badaczy za podgatunek – żabę jeziorkową.

– Zaczął od krzyżowania żab w sposób naturalny. Wpuszczał do basenu osobniki różnych gatunków i przyglądał się

potomstwu. Potem rozmnażał je sztucznie – mówi Hermaniuk.

Co wyszło z krzyżówek?

– Pierwsze zaskoczenie pojawiło się szybko: ze skrzyżowania żab wodnych nie powstało żywotne potomstwo żab wodnych. Jedyne, jakie się pojawiło, to żaby śmieszki. A kiedy Berger skrzyżował żabę jeziorkową z wodną – w potomstwie były same żaby wodne, zupełnie znikała jeziorkowa. Z krzyżówki żaby śmieszki z żabą wodną otrzymywał same żaby wodne – streszcza Hermaniuk. – Berger odkrył, że najpowszechniejsza w Europie żaba wodna nie jest gatunkiem, tylko mieszańcem, tym samym podważył klasyfikację Linneusza.

Ale to nie wszystko. Mieszańce międzygatunkowe występują w przyrodzie, choćby najpopularniejszy z nich: muł. Są jednak bezpłodne, nie mogą utrzymać się w populacji. A żaba wodna – potrafi, jest żywotna.

– Badania Bergera pokazały, że żaba wodna nie tylko przeżywa i utrzymuje się w populacji, ale krzyżując się z gatunkami rodzicielskimi eliminuje z potomstwa ich genotypy. Berger jako pierwszy na świecie odkrył zjawisko pasożytnictwa płciowego, czyli hybrydogenezy, choć nie on jest autorem nazwy. Mechanizm hybrydogenezy po raz pierwszy opisał prof. Jack Schultz z Uniwersytetu w Connecticut, badając meksykańskie ryby z rodzaju *Poeciliopsis* – mówi Hermaniuk.

Gdy Berger prowadził badania, nieznane było podłoże genetyczne pasożytnictwa płciowego. – Z jego eksperymentów wynikało, że w momencie produkowania gamet przez żabę wodną dochodzi do eliminacji całego genomu jednego z gatunków rodzicielskich. I to jest sekret pasożytnictwa płciowego. Zgodnie z prawem dziedziczenia Mendla organizmy potomne posiadają dwa zestawy chromosomów. Jeden od matki, drugi od ojca. Kiedy tworzą się gamety, materiał genetyczny rodziców się miesza, a organizm wytwarza gamety o zredukowanej liczbie chromosomów. Natomiast u żaby wodnej dochodzi do całkowitego wyeliminowania jednego z genomów rodzicielskich. Do gamet przechodzą chromosomy tylko jednego gatunku, np. żaby śmieszki. Gdy dochodzi do zapłodnienia takiej gamety przez żabę jeziorkową, odtwarza się żaba wodna.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Żeby mogło dojść do produkcji gamet, chromosomy muszą być dopasowane, tworzą tzw. pary homologiczne. Na przykład ich długość czy wielkość powinny być identyczne. Jeżeli chromosomy pochodzą od dwóch różnych gatunków, a tak jest w przypadku mieszańców, budowa poszczególnych chromosomów jest nieco inna, co uniemożliwia produkcję funkcjonalnych gamet. Proces hybrydogenezy u żaby wodnej umożliwił ominięcie problemu z dopasowaniem chromosomów podczas wytwarzania gamet. Taki trik ewolucyjny – uśmiecha się Hermaniuk.

ŚRODOWISKO PRZYJĘŁO WYNIKI BERGERA Z NIEDOWIERZANIEM. Jego rozprawę habilitacyjną „Systematyka żab zielonych" odrzucił najpierw Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu, a później Uniwersytet Jagielloński.

„Prof. Halina Krzanowska, kierownik Katedry Genetyki UJ, powiedziała mi wprost: »praca jest interesująca, jednak trudno uwierzyć, aby ze skrzyżowania osobników mieszańca można otrzymać osobniki gatunku macierzystego, co jest niezgodne z prawami dziedziczności, dotąd nikt takich wyników nie otrzymał. Jeśli pan poprawi swoje wyniki, to przyjmę pracę do recenzji«" – pisze Berger i dodaje, że wyników nie poprawił, bo był ich pewien.

Dopiero w 1969 r. obronił rozprawę habilitacyjną na Akademii Rolniczej w Poznaniu (dziś Uniwersytet Przyrodniczy).

Wyniki jego badań, nieprzychylnie przyjmowane w Polsce i nieustannie niedofinansowywane, zaczęły przyciągać do Poznania naukowców z całego świata. Przyjeżdżali między innymi Heinz Tunner z Austrii, Hansjürg Hotz z Zurychu, Thomas Uzzell z Filadelfii. Początkowe konsultacje przekształciły się w prywatne sympozja – jak je nazywano w środowisku.

„Te zaskakujące wyniki musiały zyskać potwierdzenie innymi metodami niż tylko morfologia i morfometria" – pisze prof. Maria Ogielska. I dalej: „Dzięki współpracy z innymi ośrodkami w Europie i w USA wyniki zostały rzeczywiście potwierdzone przy pomocy różnych technik (...)".

Pod wpływem prac Bergera rozpoczęły się intensywne badania nad żabami zielonymi Europy, a pierwszy nowo odkryty gatunek z Sycylii nazwano od jego nazwiska – *Rana bergeri* (obecnie *Pelophylax bergeri*).

Prof. Leszek Berger prowadził swoje badania właściwie do końca życia, przenosząc laboratorium do wagonu kolejowego, który stał w gospodarstwie jego żony Haliny w Jaskółach. – Myślę, że hasło z plakatu „*Don't ever give up*" nie przypadkiem wisiało w pracowni prof. Bergera – mówi Hermaniuk.

©℗ ANNA GOC

Korzystałam z tomu: „Wpływ odkryć profesora Leszka Bergera na rozwój nauk biologicznych" pod red. L.W. Szajdaka i J. Śmiełowskiego (Poznań 2016) oraz książki Leszka Bergera „Płazy i gady Polski. Klucz do oznaczenia" (Warszawa–Poznań 2000).

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK

WIELKIE PYTANIA NA NOWO: JĘZYK

A w nim między innymi:
▪ skąd wiemy, że mówimy po polsku? ▪ czy da się nauczyć komputer rozmawiać z sensem? ▪ skąd wzięło się pismo i dlaczego mowa to za mało? ▪ który obszar w mózgu odpowiada za rymowanie? ▪ po co szympansowi znajomość języka migowego?

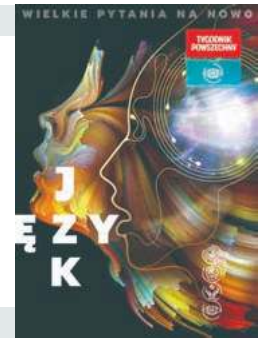

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ROLE, RÓLKI I PRZEBOJE

Serialowa ekranizacja powieści Szczepana Twardocha „Król" jest największym sukcesem w jego projekcie. To model kariery zaczerpnięty wprost z Ameryki, gdzie każdy poważniejszy pisarz chce znaleźć się na ekranie.

MACIEJ JAKUBOWIAK

W przedostatniej scenie premierowego odcinka serialu „Król", kiedy Kum Kaplica z towarzyszami piją wódkę w restauracji Simon i Stecki, w tle przemyka kierownik sali. Łatwo to przegapić, ale gra go sam Szczepan Twardoch, autor powieści „Król". Kilka tygodni przed premierą pisarz donosił na swoim facebookowym profilu, że „dla zabawy" wystąpił w serialu „w malutkiej rólce". Takie *cameo* dodaje produkcji, której pisarz jest zresztą współscenarzystą, wyraźną sygnaturę: to autoryzowany produkt, część literackiego projektu Szczepana Twardocha.

Nic w tym dziwnego. Autor „Króla" od lat konsekwentnie splata swój wizerunek medialny – a ten, ściśle kontrolowany, jest w gruncie rzeczy wszystkim, co wiadomo o pisarzu – z kolejnymi swoimi powieściami w sposób, który skłania do utożsamienia twórcy z jego głównymi bohaterami. Kostek Willemann w „Morfinie", który od wojny woli kobiety, samochody i narkotyki, Nikodem Gemander w „Drachu", ceniony śląski architekt, który od rodziny woli kobiety, samochody i zegarki, w końcu Jakub Szapiro, przystojny bokser i gangster, który po prostu woli kobiety – oni wszyscy na różne sposoby przypominają swojego autora. A właściwie to on, promując swoją twórczość, upodabnia się do swoich postaci. Premierze „Króla" towarzyszył spot wideo, na którym Twardoch celuje z pistoletu prosto w widza. Bardziej dosłowna była okładka jednego z czasopism, na której sam Twardoch pojawił się jako bokser.

Pewnie, to tylko działania promocyjne, ale dziś nic lepiej się nie sprzedaje w literaturze niż autentyczna więź między opowiadaną historią a osobowością autora. Tekst nie może być tylko zmyślną konstrukcją, musi być wyszarpany z wnętrzności, a fikcją warto się przejmować tylko wtedy, gdy jest poświadczona żywym doświadczeniem. Spore tu pole do nieporozumień i manipulacji – bo niby jak mielibyśmy dostrzec, co naprawdę siedzi w pisarskiej duszy? – ale przecież wszyscy dobrze wiemy, że to tylko taka gra. Grają w nią praktycznie wszyscy głównonurtowi pisarze i pisarki w Polsce, jednak mało kto opanował jej reguły w tym stopniu, co Szczepan Twardoch.

Nie tylko ściśle kontroluje swoją autorską markę, ale uruchamia ją w zróżnicowanych przecież mediach z wyczuciem ich specyfiki oraz umiejętnie równoważy utożsamienie z dystansem – w sam raz, żeby nie popaść w kicz. Przede wszystkim skutecznie steruje ewolucją swojego wizerunku. I to tak, żeby nikt nie zauważył, że cokolwiek się zmieniło.

Było minęło

Kiedy równo osiem lat temu, jesienią 2012 r., ukazała się „Morfina", część krytyczek i krytyków pisała o Twardochu, jakby był genialnym debiutantem. Powieść opowiadała o wrześniu '39, ale była napisana bez patosu, skupiała się za to na jednostkowej i co najmniej dwuznacznej perspektywie bohatera, który próbuje wywinąć się od patriotycznych obowiązków. U szczytu rządów Platformy Obywatelskiej, kiedy mogło się wydawać, że widma nacjonalizmu przepędzono wraz z rządem Jarosława Kaczyńskiego (choć te zaczynały odżywać, karmione katastrofą smoleńską), zdystansowana poza Twardocha była kuszącą propozycją. Sugerowała, że o wielkiej historii można rozmawiać inaczej, nowocześnie, dobrze się przy tym bawiąc. Ten ton był tak świeży, że naprawdę mógł brzmieć jak debiut.

Niektórzy jednak pamiętali, że Twardoch debiutował siedem lat wcześniej. „Zdecydowanie warte polecenia szczególnie młodemu czytelnikowi o konserwatywnym światopoglądzie" – tak o zbiorze opowiadań „Obłęd rotmistrza von Egern" pisał na swoim blogu w 2013 r. były poseł i świeżo upieczony działacz Ruchu Narodowego Krzysztof Bosak. To też nie było szczególnie dziwne. Zanim stał się wyrazicielem swobodnego stosunku do polskiej martyrologii, Twardoch był przecież blisko środowisk prawicowych. Pisał do „Frondy", „Arcanów" czy „Christianitas", a w „Gazecie Polskiej" fantazjował o rozprawianiu się z „arabskim motłochem" we Francji przy użyciu pałki i noża.

Po „Morfinie" jednak wszystko się zmieniło. Jej autor o swojej przeszłości po prostu przestał wspominać. Zresztą tę przeszłość skutecznie przykrył potok ↦

Szczepan Twardoch

ŁUKASZ GIZA / AGENCJA GAZETA

↦ nagród: Paszport „Polityki", Nagroda Kościelskich, kilka nominacji do Nike czy Nagrody Literackiej Gdynia. Kolejna powieść nie była prostą kontynuacją sprawdzonych rozwiązań.

Jasne, już w „Morfinie" główny problem Kostka Willemanna z Polską polegał na tym, że nie był ani Polakiem, ani Niemcem, może najbardziej Ślązakiem. Jednak w „Drachu" (2014) Twardoch nie tylko pisał o śląskiej historii, ale i skłaniał swoich czytelników, by się w niej zanurzyli, podsuwając całe passusy napisane po śląsku. Było to odrobinę ryzykowne, niektórzy krytycy dawali wyraz zniecierpliwieniu, ale ostatecznie takie posunięcie umacniało wizerunek Twardocha jako pisarza ambitnego, gotowego poświęcić poklask dla efektu artystycznego.

Odtąd nie ulegało już wątpliwości, że awansował do grona „ważnych pisarzy polskich", a wywiady, w których dopytywano go o stan kraju, ukazywały się w najpoczytniejszych pismach. Twardoch nie osiadł jednak wygodnie w tej roli. Oczywiście wywiadów udzielał chętnie, przyjął jednak strategię kontestatora, który na każdym kroku podkreśla, jak bardzo mu w narzuconej roli niewygodnie. W grudniu 2016 r., kiedy odbywały się protesty przeciwko rządowi PiS-u, zasłynął facebookowym wpisem, w którym przyznawał, że ma to wszystko w dupie. A rok wcześniej, w dzienniku, który ukazał się pod tytułem „Wieloryby i ćmy", deklarował: „Warto spierać się, czy lepszy krawat, czy skórzana kurtka, a nie warto o to, czy podatki lepsze niższe czy wyższe – jeśli do obowiązków należy, to ewentualnie spierać się o to można, byle bez zaangażowania".

Twardoch podtrzymywał w gruncie rzeczy cyniczny dystans do tożsamości narodowych, którym obdarzał także swoich bohaterów. A kiedy krytyka się nasilała, zasłaniał się swoim tematem koronnym: Górnym Śląskiem. Urodzony, wychowany, wykształcony i mieszkający na Śląsku pisarz odcinał się od polskich spraw, dając do zrozumienia, że najlepiej byłoby mu z tożsamością śląską, gdyby ta faktycznie istniała. Tak się jednak szczęśliwie składa, że znajduje się ona raczej w stanie nieustannych negocjacji i pozbawiona jest silnych instytucji, które mogłyby czegoś od pisarza wymagać.

Piszę o cynizmie i wizerunku, bo trudno nie dostrzec w tych wszystkich posunięciach wyrachowania, ale strategia Twardocha jest w gruncie rzeczy godna podziwu. Pozwala mu skutecznie lawirować między rolami, które przynoszą mu korzyści, a jednocześnie odcinać od związanych z nimi zobowiązań. Kiedy trzeba, jest pisarzem polskim, a gdy to staje się męczące, okazuje się pisarzem śląskim. Nieprzypadkowo jego powieści ukazują się w takim właśnie naprzemiennym, śląsko-polskim rytmie. Po śląskim „Drachu" (który skądinąd został w pełni ześląszczony przez Grzegorza Kulika w 2018 r. jako „Drach. Edycyjö ślōnskö") ukazały się „Król" (2016) i „Królestwo" (2018), które, *nomen omen*, ukoronowały karierę Twardocha jako intelektualisty.

Bohaterem obu jest Jakub Szapiro – żydowski bokser i gangster, najpierw w przedwojennej Warszawie tłukący bojówki nacjonalistów i ucierający nosa sanacyjnym generałom, a po wybuchu wojny biorący udział w kampanii wrześniowej, by wreszcie spocząć w ruinach getta. Jeśli „Morfiną" Twardoch podawał w wątpliwość mit o polskim heroizmie we wrześniu 1939 r., to tym razem zmierzył się z tematami o znacznie większym ciężarze gatunkowym: z polskim antysemityzmem i udziałem Polaków w zbrodniach wojennych przeciwko Żydom. Przeszedł wtedy na pozycje tych intelektualistów, którzy siłują się z fantazjami o polskiej niewinności, ale jednocześnie dostarczył swoim czytelnikom łatwego usprawiedliwienia dla niewygodnej historii: zanurzył ją w charakterystycznej dla swoich powieści metafizyce, która źródeł zła każe dopatrywać się nie w takich czy innych działaniach konkretnych ludzi, lecz we wrodzonym, naturalnym czy pierwotnym okrucieństwie całego gatunku.

Jednocześnie, czyniąc głównym bohaterem silnego i do bólu męskiego mężczyznę, który gołymi rękami byłby gotów rozprawić się z antysemitami, Twardoch wpisywał polską historię w scenariusz znany z filmów superbohaterskich. Zmieniał wieloznaczną historię w atrakcyjną, popularną historyjkę, w której łatwo utożsamić się z głównym bohaterem, nawet jeśli nie jest całkiem pozbawiony wad.

Pisarz znów lawirował, ale tym razem między biegunami rozrywki i zaangażowania: dostarczał paliwa do myślenia o współczesnej Polsce, w której nowych sił nabierały ruchy nacjonalistyczne, ale dopytywany o to, krył się za pozorami gatunkowej rozrywki. Na takie upraszczające, popowe myślenie o historii i społeczeństwie można narzekać, jednak trudno nie docenić zmyślności tej strategii. Pozwalała ona Twardochowi czerpać korzyści z kilku pól, z których w razie czego można się prędko ewakuować: był doceniany, nominowany do nagród i odpytywany w prasie jako pisarz podejmujący drażliwe tematy, ale jednocześnie sprzedawał swoje powieści w ogromnych nakładach. A do tego reklamował luksusowe samochody (co niektórzy mieli mu za złe), odzież męską (w końcu w 2013 r. ukazał się poradnik męskiej elegancji, którego był współautorem) oraz banki.

Ta nieuchwytność była na tyle skuteczna, że jeszcze „Króla" doceniano i na lewicy, i na prawicy. W odróżnieniu od wcześniejszych dwuznaczności – polsko-śląskiej i komercyjno-artystycznej – tej akurat nie dało się długo podtrzymywać. W sierpniu 2020 r., niedługo po tym, jak Twardoch opublikował na Facebooku zdjęcie, na którym stoi wraz z Łukaszem Orbitowskim oraz posłanką Lewicy Darią Gosek-Popiołek na krakowskiej manifestacji przeciwko aresztowaniu Margot, tygodnik „Do Rzeczy" umieścił na okładce zdjęcie pisarza z podpisem: „Nawrócony na ideologię LGBT". W środku znalazł się obszerny tekst Krzysztofa Masłonia o „metamorfozie znanego pisarza", który sugerował, że wybory polityczne Twardocha są dyktowane koniunkturą, bo lewicowość lepiej się sprzedaje.

Może i tak jest, a może inaczej, nigdy się przecież nie dowiemy, co naprawdę kieruje pisarzem. Ostatecznie pobudki rynkowe wcale nie są powodem gorszym od innych, by porzucić wątpliwe przynależności i stanąć w obronie słabszych. W każdym razie – metamorfoza się dokonała.

Koczownik

Najnowsza powieść Twardocha „Pokora" zbiera wcześniejsze wątki jego twórczości, ale jednocześnie jest ruchem w innym kierunku. Jej głównym bohaterem jest syn górnika rzucony w wiry wielkiej historii. Alois Pokora ze śląskiej wioski pod Pilchowitz najpierw wyrusza do gimnazjum w Gleiwitz, potem studiuje filozofię w Breslau, w 1914 r. zaciąga się do pruskiej armii i zostaje oficerem, po czterech latach spędzonych w okopach odnajduje się w Berlinie, gdzie bierze udział w proletariackiej

rewolucji, wreszcie wraca do Gleiwitz i tam usiłuje wieść spokojne życie.

Ważniejszy od tego przestrzennego jest jednak ruch społeczny, który wyrywa Pokorę z jego robotniczej rodziny i posyła w inne (czy wyższe – to akurat zostaje zakwestionowane) rejony społeczeństwa. A kiedy bohater przyznaje: „Jestem koczownikiem, nie mam domu, mam tylko obozowiska", to ma na myśli nie tylko przynależności etniczne (niemieckie, polskie i śląskie), ale i klasowe (robotnicze, mieszczańskie i drobnomieszczańskie).

Z tożsamością narodową mieli oczywiście problem i Kostek Willemann („Nie chcę być Polakiem, powtarzam, bo to nie jest poważna rzecz dla poważnych ludzi, ta cała ich Polska"), i Jakub Szapiro („Mój ojciec miał w dupie sztandary czerwone, biało-czerwone, biało-niebieskie" – mówił o nim w „Królestwie" syn). Jednak Pokora tym się od nich różni, że naporowi zbiorowych tożsamości sam niewiele może przeciwstawić.

Jeśli dla Szapiry awans społeczny był źródłem satysfakcji, to bohater najnowszej powieści Twardocha doświadcza go jako nieustającego pasma cierpień. Kolejne jego wcielenia: studenta, oficera, rewolucjonisty – nie są jego zasługą. Za każdym razem zostaje siłą wepchnięty w role, które, to trzeba mu oddać, odgrywa całkiem sprawnie. Żadna z nich nie daje mu jednak wsparcia, które pozwoliłoby oprzeć się młynom historii. Nawet deklaracja apolityczności, którą w końcu składa, nie jest przejawem samostanowienia – to żadne wyzwanie rzucone zbiorowości, raczej próba ucieczki i schronienia się przed większymi siłami.

W ten sposób, porzucając fantazje o silnej męskości (to znaczy: Pokora wciąż jest przystojnym mężczyzną, który działa jak magnes na kobiety i w rewolucyjnej zawierusze zalicza erotyczny trójkąt – pewne rzeczy po prostu się nie zmieniają), Twardoch niejako odsłania uwarunkowania tych wszystkich prowokacyjnych gestów, które stały się sygnaturą jego pisarstwa. W „Pokorze" staje się jasne, że za ostentacyjnym odrzucaniem przynależności stoją lęk i słabość. I tu chyba ujawnia się kluczowy paradoks twórczości Twardocha.

Pokora po raz pierwszy znajduje chwile szczęścia, kiedy wojska francuskie zaprowadzają w Gleiwitz stan wyjątkowy i zakazują działalności politycznej: „w takim świecie chciałem właśnie żyć, w świecie bez zgromadzeń, pieśni patriotycznych i bez chorągwi". A kiedy bohater wreszcie postanawia stanąć na własnych nogach i hardo deklaruje: „To ja. Nie wstąpię do twojego freikorpsu, Smilo. Nie jestem freikorpserem" – szybko prowadzi go to do samounicestwienia: „Nie jestem w ogóle nikim (...) Nie jestem nawet Alois Pokora".

Twardoch nie tylko ściśle kontroluje swoją autorską markę, ale uruchamia ją w mediach z wyczuciem ich specyfiki oraz równoważy utożsamienie z dystansem – w sam raz, żeby nie popaść w kicz.

Jednostkowa wolność, samostanowienie i niezależność, których piewcą był do tej pory Twardoch, owszem, okazują się możliwe, ale – na tym właśnie polega paradoks – za cenę unicestwienia własnego „ja". Apolityczność realizuje się tylko w stanie wyjątkowym, a wolność od przynależności – kiedy jest się nikim.

Zresztą w „Pokorze" Twardoch nazywa wiele rzeczy dotyczących jego twórczości zupełnie wprost. Przemieszanie zaangażowania i cynicznego dystansu, które dało się wyczytać z „Króla", zostaje ulokowane w ojcu Pokory, o którym syn – w końcu były student filozofii – mówi wprost: „był nieuświadomionym marksistą bądź socjalistą pod względem diagnozy rzeczywistości i ponurym konserwatystą, jeśli chodzi o zalecaną terapię". Przede wszystkim jednak pisarz stawia swojego bohatera przed wyborami, które sam rozgrywa.

Kiedy Pokora układa sobie życie w Gleiwitz i żyje z niewielkiej, ale solidnej pensji młodszego księgowego w niemieckiej fabryce mydła, zaczyna flirtować z jedyną tożsamością, która byłaby dla niego znośna – śląską. „Wyobrażałem sobie, że w takim wolnym państwie byłbym bardziej u siebie" – przyznaje, ale nie podejmuje żadnych kroków w tym kierunku, bo mogłoby go to kosztować utratę pracy. A wreszcie przyznaje wprost: „Zgadzałem się ze wszystkim, póki tylko płacili, to mogli widzieć we mnie każdego, kogo im się tylko widzieć podobało, póki płacą, mogę być Polökym".

I trudno nie czytać tych słów również jako deklaracji samego autora, który jest gotów pozorować najróżniejsze przynależności – pisarza polskiego albo śląskiego, zaangażowanego intelektualisty albo cynicznego dostarczyciela rozrywki – póki tylko płacą. Ostatecznie rynek, cokolwiek by o nim mówić, okazuje się bardziej tolerancyjny niż tożsamości narodowe czy nawet klasowe. O ile tylko gra się według jego reguł.

Król Warszawy

Serialowa ekranizacja powieści Twardocha „Król" jest więc największym sukcesem w jego projekcie – już nie tylko literackim. To model kariery pisarskiej zaczerpnięty wprost z Ameryki, gdzie każdy poważniejszy pisarz chce znaleźć się na ekranie.

Po emisji pierwszych odcinków „Króla" (Canal Plus) w reżyserii Jana P. Matuszyńskiego (znanego m.in. z „Ostatniej rodziny" – fabularyzowanej historii Beksińskich) opinie są podzielone. Z pewnością warte docenienia jest to, co może irytować w samej literaturze – niemal fetyszystyczna skłonność Twardocha do materialnego detalu, skrupulatne opisy skórzanych portfeli, złotych spinek, garniturów oraz wszelkich modeli pojazdów i broni. W serialu te wszystkie szczegóły odnajdują swoją rolę – po prostu je widać.

Nieco gorzej wypada rytm opowieści. Wydawałoby się, że proza autora „Morfiny" świetnie nadaje się do ekranizacji, bo opiera się na schematach fabularnych zaczerpniętych właśnie z filmu. Tymczasem w serialu akcja toczy się mało dynamicznie, bohaterowie sporo gadają, a bardziej emocjonalne sceny zdarzają się stosunkowo rzadko. Do większości ujęć pasuje ścieżka dźwiękowa (skomponowana przez Atanasa Valkova) przypominająca stylem Erika Satiego, podczas gdy można by tu oczekiwać mocniejszych akcentów.

Zresztą trop muzyczny odsyła do innego serialu, „Peaky Blinders", który ↦

↦ wiele z „Królem” łączy – oba tytuły opowiadają o międzywojniu i o konfliktach między władzą a klasą robotniczą, w obu najważniejsi są silni mężczyźni, w obu pojawia się boks. Produkcja Stevena Knighta nieco odważniej wykorzystuje nie tylko muzykę (przewijają się tu Nick Cave, PJ Harvey, The White Stripes i Leonard Cohen), ale i grę światłem, które tworzy gęstą i mroczną atmosferę.

„Król” tymczasem wydaje się zbyt uładzony, czysty i doświetlony – choć zarówno miejsca akcji, czyli głównie biedne dzielnice Warszawy, jak i gęsty, refreniczny, momentami turpistyczny styl prozy Twardocha zachęcałyby do tego, by ukazać w ekranowym świecie nieco więcej brudu.

Ostatecznie ten ciężar biorą na siebie znakomici aktorzy. Arkadiusz Jakubik tworzy mocną, centralną dla fabuły postać Kuma Kaplicy. Aleksandra Pisula (jako partnerka Szapiry, Emilia) i Magdalena Boczarska (jako burdelmama Ryfka Kij) nadają kobiecym rolom, zwykle w prozie Twardocha ciążącym ku stereotypowi, sporo nieoczywistej żywotności. Znakomity jest Bartłomiej Topa jako sekretarz premiera, skupiający w sobie wszystkie wewnętrzne sprzeczności rządów późnej sanacji, a Paweł Wolak świetnie rozgrywa dziwną postać Pantaleona Karpińskiego (kiedyś pisałem, że widziałbym w tej roli Johna Turturro, ale zmieniłem zdanie).

Bez wątpienia przed aktorski szereg wybija się Borys Szyc w roli Janusza Radziwiłka – szefa PPS-owskich bojówek. Tekst powieści mówi o nim: „Polskiego nigdy się dobrze nie nauczył, jidysz prawie zapomniał, hebrajskiego nigdy nie znał. Mówił więc pięcioma językami i w żadnym dobrze, przez co ludzie nie doceniali inteligencji Doktora, co było mu bardzo na rękę” – i cała ta wieloznaczność daje Szycowi do dyspozycji ogromne możliwości, które ten rozgrywa koncertowo. Na tym tle mało wyrazisty wydaje się Michał Żurawski w roli głównego bohatera. Powieściowy Szapiro to „wysoki, przystojny Żyd o szerokich ramionach”, serialowy Szapiro jest natomiast zmięty, zmęczony i zapada się w sobie. Tak jakby przeczytał „Pokorę” i wiedział już, dokąd zmierza cała ta historia.

© MACIEJ JAKUBOWIAK

Zaganianie do sieci

PAWEŁ POTOROCZYN

Jeżeli kultura nie przetrwa pandemii, nie dojdzie do nowej umowy społecznej, która jest nam konieczna. Ale władza nią gardzi, jej celem jest podtrzymanie konfliktu, nawet po utracie rządów.

Niedawno piórem Piotra Kosiewskiego „Tygodnik Powszechny” zadał dramatyczne pytanie: czy kultura przetrwa pandemię? Niektóre dobroduszne media udzieliły głosu twórcom i profesjonalistom kultury, by czytająca część społeczeństwa mogła usłyszeć ich skargi, ale dopiero „Tygodnik” postawił fundamentalne, greckie pytanie.

Odpowiedź przyszła niedługo z Ministerstwa Kultury i nazywała się „lista beneficjentów Funduszu Wsparcia Kultury”. Internet zatkało ze zdumienia, tym bardziej że minister Gliński zastrzegł: „Nie decydowały sympatie”. Tym razem jednak nie nastąpił wysyp memów. Nieudolną satyrą zareagował za to sam minister, zawieszając po kilku dniach wypłaty – 400 mln złotych – dla beneficjentów, których według niego wskazał pochopnie tajemniczy algorytm.

W świetle tego, kto miał dostać pieniądze od ministra i ile, nie sposób odpowiedzieć na zasadnicze pytanie Piotra Kosiewskiego. Można jednak wykazać, czego zaniechano; co zrobiono nieudolnie; co należy zrobić, by zwiększyć szanse przetrwania kultury; a także spróbować odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: po co ma właściwie przetrwać?

Parking strzeżony

Najpierw (marzec, kwiecień tego roku) resort kultury zapewniał nas, że zapobiegł zapaści sektora, zasilając go na samym początku pandemii 6 mld złotych. Przy zaplanowanym na rok 2020 budżecie Ministerstwa Kultury rzędu 5 mld 175 mln złotych to nawet robiłoby wrażenie, ale jednocześnie musi wywołać namysł: jakim to sposobem kultura, która kosztuje budżet państwa 5 mld rocznie, jest w stanie wchłonąć 6 mld złotych w dwa miesiące? Nie mając innej możliwości dotarcia do odbiorcy niż przez sieć, musiałaby zwyczajnie utonąć w potopie gotówki, albo zakumulować takie rezerwy, żeby przetrwać nie jeden sezon, a trzecią, czwartą i piątą falę pandemii.

Największe wsparcie dla działających w sektorze kultury firm i samozatrudnionych zapisane jest w kolejnych „tarczach”, a nie w branżowym planie ratunkowym dla kultury. A daleko nie wszyscy twórcy i artyści prowadzą firmy lub są samozatrudnieni. Można odnieść wrażenie, że policzono dwa razy te same pieniądze. Obraz został skutecznie zaciemniony. To charakterystyczne dla sposobu zarządzania kryzysem przez tę formację: policzyć dwa razy te same respiratory, po-

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Pod Halą Mirowską w Warszawie, kwiecień 2020 r.

liczyć dwa razy łóżka covidowe, szczepionki na grypę, dawki remdesiviru.

Fatalne – z punktu widzenia kultury, nie władzy – było kierowanie środków poprzez tzw. programy ministra. Zamiast dać twórcom stypendia, zasiłki, zapomogi, postojowe (jakkolwiek to nazwiemy), zaproponowano im taki układ: wy zróbcie coś w internetach, a my wam coś zapłacimy. To do złudzenia przypomina inny koncept charakterystyczny dla tej formacji, zwięźle wyłożony przez jednego z jej prominentów: „mają zap... za miskę ryżu".

Duża część twórców nie była przygotowana ani artystycznie, ani technologicznie na przeprowadzkę do sieci. Dla pokaźnej części tych, którzy tworzą trójwymiarowe obiekty, to po prostu niemożliwe (rzeźbiarze? architekci? konserwatorzy zabytków? designerzy? projektanci mody?). Ale ponieważ to było jedyne wsparcie, na jakie mogli liczyć, zaakceptowali miskę ryżu. Sieć, i tak już nacechowana hiperinflacją, eksplodowała nie zawsze udolnie wyprodukowanymi zdarzeniami (których zasięgi często są liczone w dziesiątkach, najwyżej w setkach, rzadziej w tysiącach odsłon), które pewnie nigdy by się nie znalazły w obcym dla siebie medium, gdyby nie widmo głodu zaglądające twórcom w oczy.

Tak oto władza za niewielkie pieniądze kupiła sobie kontrolę nad respiratorem dla środowiska, które w przeważającej mierze jest tej władzy nieprzychylne. Transakcyjny charakter takiego działania wyrażał się również w tym, że to władza polityczna rozstrzygała, ile przydzieli tlenu, komu i za co.

Twórcy sami wielokrotnie wyrażali obawę przed masową migracją kultury do sieci. Jest jakiś powód, dla którego boją się tego również uczestnicy kultury i badacze; przestrzegają, że to najkrótsza droga do „zombifikacji wspólnoty". Czyli wypreparowania jej z tożsamości oraz tego, co w kulturze jest bezwzględnie ważne: ciągłości wymiany idei i wartości. Gapienie się w ekran nie tworzy wspólnoty aksjologicznej, pogłębia tylko atomizację społeczną i uszczelnia odrębne silosy sklejone przez stereotypy.

Kto uwierzy, że jednym z celów „programów ministra" nie było wypchnięcie i trwałe zaparkowanie w sieci kolejnej „roszczeniowej i hałaśliwej" grupy przeciwników politycznych, otwarcie głoszących niezgodę na życie w kulturalnym rezerwacie? Pacyfikacja przez digitalizację? Sieć nie tworzy więzi, tworzy bańki. Nie łagodzi konfliktów – tylko rozszczepia i... dalej rozszczepia wspólnoty.

Sieć z jednej strony działa jak teleskop, który na peryferiach życia społecznego wynajduje foliarzy wszelkiego autoramentu i przybliża ich do mainstreamu, najpierw jako kurioza, a potem stałych bywalców. Z drugiej – działa jak szkło powiększające, które rozdyma naturalne różnice światopoglądowe do rozmiarów świętej wojny. Taki jest cel formacji, która od lat dowodzi, że politykę rozumie jako antagonizowanie, dzielenie i skłócanie. W sektorze kultury uwierzą w to tylko nieliczni – beneficjenci skutecznie wymasowani przez „dobrą zmianę".

Równia, ale pochyła

A przecież wystarczyło implementować unijną dyrektywę o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym i rozszerzyć opłatę o smartfony, tablety, smart tv, karty pamięci, pendrive'y i dyski przenośne. Jesteśmy j e d y n y m państwem w Unii Europejskiej, które jeszcze tego nie zrobiło. Ruch ten nie wymaga skomplikowanego procesu legislacyjnego, infrastruktura prawna jest już na miejscu. Potrzebny jeden podpis ministra kultury pod rozporządzeniem. Podpis według wiarygodnych szacunków wart 300-350 mln złotych. Rocznie! Milion złotych dziennie, który można by przeznaczyć na nieobwarowane żadnymi układami wsparcie dla twórców. Nie transakcja, lecz transfer.

Inny prosty ruch to rezygnacja z artykułu 15L tzw. ustawy covidowej, który zawiesił opłaty za nadawanie publiczne przez sklepy i inne uczęszczane miejsca, gdzie słyszymy w tle muzykę. Dzisiaj, w warunkach ponownego, pełzającego lockdownu, to już trochę musztarda po obiedzie. Latem jednak, kiedy sklepy działały pełną parą, to zawieszenie opłat wciąż obowiązywało, co wielu twórców pozbawiło dochodów, czyli środków do życia, niemal z dnia na dzień. Mimo ↦

ponawianych deklaracji (ostatnie z 19 października) w kolejnej nowelizacji ustawy covidowej nie dokonano zmian i opłata jest nadal zawieszona.

7 listopada na spotkaniu w Ministerstwie Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu przedstawicielom środowisk twórczych (teatr, film, muzyka, literatura) z pełną powagą powiedziano, że powyższe postulaty są w trakcie realizacji. W trakcie! Po dwóch miesiącach drugiej fali pandemii ministerstwo nadal jest w trakcie! Tymczasem zaoferowano twórcom pomoc psychologiczną... Do publicznej wiadomości nie dotarły szczegóły, nie wiadomo więc, czy chodzi o terapeutów, czy może o kapelanów.

Spora część obywateli zaprzątniętych wyłącznie własnymi sprawami, kiedy słyszy „artysta", widzi tych kilkudziesięciu aktorów i piosenkarzy w hamakach nad basenami, zaludniających instagrama i pudelki. Tymczasem większość twórców za kreatywną część swojej pracy zarabia poniżej średniej krajowej, w przedziale 2,5-3 tys. zł. Jeśli zarabiają więcej, to znaczy, że imają się innych, nie-twórczych zajęć (znam świetnego aktora po szkole teatralnej pracującego w Ikei). Nie mają oszczędności, nie zasiadają w radach nadzorczych. Po zapłaceniu czynszu i zjedzeniu obiadu z mikrofali nic im nie zostaje. Potrzebują wsparcia i mój wewnętrzny symetrysta podpowiada mi, że to dobrze, że ktoś w końcu o tym pomyślał. Szkoda, że dopiero w połowie listopada. I szkoda, że do podziału pieniędzy zatrudnia się algorytm, a nie zdrowy rozsądek.

Zostawiając naiwnym wiarę w zdrowy rozsądek, nawet w ten algorytm trudno uwierzyć. Państwo PiS-u wielokrotnie przekonało nas, że najważniejsze jest, kto dzieli kasę. Wielu uczestników spotkania w ministerstwie 7 listopada chciało z pełną powagą i szacunkiem patrzeć na zapisy Funduszu Wsparcia Kultury, z nadzieją, że może tym razem nie dojdzie do selekcji: nasz artysta dostaje, nierozsądny – nie dostaje. Nasza instytucja dostaje, niezależna – nie. Z nadzieją, że może tym razem nie powstaną stowarzyszenia-słupy i fundacje-słupy, powołane tylko po to, żeby przepalić kasę, co przecież oglądamy od pięciu lat.

Nasi producenci chryzantem dostali 180 milionów w 12 godzin.
60 tysięcy polskich artystów czeka od dwóch miesięcy na osiem stówek.

Ciekawy ten algorytm, który najhojniej obdzielił Bayer Full (lider tej „formacji" zasłynął panegirykiem na temat prezydenta Andrzeja Dudy) czy braci Golców (otwarcie wspierających PiS). Wszystkim, którzy jeszcze pamiętają, że pop w naszym kraju reprezentowali Czesław Niemen, Ewa Demarczyk, Marek Grechuta czy Grzegorz Ciechowski, nie trzeba uświadamiać, co dzieje się z wartościami kultury, gdy równia pochyła zostaje wysmarowana wazeliną.

Ale to nie wszystko. Trzeba wskazać na dwie znamienne cechy działań władzy. Fundusz Wsparcia Kultury nie widzi twórców młodego pokolenia, czyli znaczącej części naszej przyszłości. Czy dlatego, że ci młodzi w zdecydowanej większości szydzą z niej? Nie, to nie jest pytanie do algorytmu. Druga to całkowity brak informacji, kto i w oparciu o jakie wyliczenia uznał, że za 400 mln można ocalić 3,5 proc. naszego PKB (tyle w Polsce generuje kultura) i blisko 30 mld wytworzonej wartości dodanej.

Ministerstwo z pełną powagą informuje, że powołano fundusz pomocy socjalnej dla twórców w wysokości 25 mln złotych. Ponadto MKDNiS przyznało ponad 9 tysięcy zapomóg na łączną kwotę blisko 20 mln oraz zapewniło dodatkowe 25 mln na pomoc socjalną. Według badań profesor Doroty Ilczuk (zleconych przez instytucje ministerialne) w Polsce jest około 60 tysięcy artystów. To daje około 800 złotych na głowę. To nie jest pomoc. To nawet nie jest jałmużna. I to jest dopiero mem. Producenci chryzantem dostali w tym miesiącu 180 mln w 12 godzin. 60 tysięcy artystów czeka od dwóch miesięcy na osiem stówek.

Powaga wyparowała

Tak jest, Joe Biden wygrał. Pierwszym oczywistym wyzwaniem administracji prezydenta Stanów Zjednoczonych jest walka z koronawirusem. Ale największym, biblijnym zadaniem będzie zszycie wspólnoty. Przecież to samo czeka nas.

Ameryka poradzi sobie z tym, zmieniając zasady redystrybucji, progi podatkowe i rozszerzając dostęp do opieki zdrowotnej. W Polsce, gdzie socjal dotarł już do granic wypłacalności finansów publicznych, nie będzie lepszego wehikułu łączenia, odbudowy wspólnoty, dystrybucji idei i wartości niż kultura. Bo to właśnie robi ona najlepiej. Kultura okazuje się jedyną prawdziwie krytyczną infrastrukturą, jeśli poważnie i odpowiedzialnie myślimy o przyszłości.

Wielu z nas nie opuszcza przeczucie, że czeka nas trud pojednania, być może w formie jakiejś nowej umowy społecznej. Polityczne sukcesy Szymona Hołowni z jednej strony i Strajku Kobiet z drugiej są tego świadectwem. Jeśli w skrzynce z narzędziami do rekonstrukcji wspólnoty zabraknie kultury – bo nie przeżyła pandemii – to żadna umowa społeczna nie będzie trwała, ponieważ zawiśnie w aksjologicznej próżni. Taka to sobie przetrwa najwyżej jeden cykl wyborczy, może nawet nie cały. Skończy się jako halucynacja, a nie jako projekt. Znów naród wygra ze społeczeństwem, a nabuzowany patriota z obywatelem. Pycha wygra z dumą, zadęcie z powagą, nieomylność z rozsądkiem.

© PAWEŁ POTOROCZYN

Autor jest dyplomatą, menadżerem kultury, wydawcą, producentem filmowym i muzycznym. W latach 2008-16 dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza. Był konsulem do spraw kultury w Konsulacie Generalnym RP w Los Angeles. W 2000 r. zakładał Instytut Kultury Polskiej w Nowym Jorku jako jego pierwszy dyrektor. W roku 2005 został dyrektorem Instytutu Polskiego w Londynie. Publikował m.in. w „Rzeczpospolitej" i „Tygodniku Powszechnym". Wydał powieść „Ludzka rzecz" (2013). We wrześniu nakładem wydawnictwa OsnoVa ukazał się jego wywiad rzeka z Anne Applebaum pt. „Matka Polka".

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

MAŁOPOLSKA

REKLAMA

Wojciech Bogusławski, Jan Stefani

Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale

reżyseria Cezary Tomaszewski

PREMIERA 12 GRUDNIA 2020

www.teatrwkrakowie.pl

DUŻA SCENA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

OFICJALNI PARTNERZY TEATRU

TOYOTA DOBRYGOWSKI Bronowice

INGLOT

Bielenda

PATRONI MEDIALNI

RADIO KRAKÓW

lounge

A&B

PATRONI MEDIALNI PREMIERY

VIVA!

URODA

PARTNER PREMIERY

harnas

Lalki i niedźwiedzie

ANITA PIOTROWSKA

Pięć polskich reżyserek i pisarek wspólnie, choć jakże rozwibrowanymi głosami opowiadają, co to znaczy być kobietą.

Tytuł brzmi, jakby chodziło o film dla dorosłych z futurystycznym przechyłem. I w zasadzie wszystko się zgadza: „Erotica 2022" opowiada o różnie pojmowanej seksualności, z kobietami w rolach głównych, i rozgrywa się w scenerii z przyszłości. Ale nie ma w tym nic z „Barbarelli" – nie tylko dlatego, że wyobrażona przyszłość to właściwie dziś, tylko cokolwiek dalej.

Filmem rządzi zupełnie inne spojrzenie, a jego władczyniami jest pięć polskich reżyserek i współpracujących z nimi pięć polskich pisarek. Wspólnie, choć jakże rozwibrowanymi głosami opowiadają, co to znaczy być kobietą. I bardzo chciałoby się dodać, że dzisiaj, w Polsce, albowiem ten nowelowy projekt, wyprodukowany przez Netfliksa i z założenia uniwersalny, w warunkach pandemii i ograniczania praw kobiet nabiera kształtów niepokojąco znajomych.

„Znikanie pani B" Anny Kazejak według scenariusza Olgi Tokarczuk, podobnie jak „Niedźwiedź" Anny Jadowskiej i Grażyny Plebanek, przenosi nas do świata, gdzie wprowadzono segregację płci. W pierwszym przypadku to tylko szczegół (bohaterka grana przez Agatę Buzek musi podróżować w wyznaczonym dla kobiet wagonie metra), za to w drugiej noweli, o nieznajomych z pociągu, złamanie wspomnianej zasady staje się zarzewiem bliskiego, namiętnego spotkania.

Jeszcze rok temu, kiedy powstawały te filmy, można było zobaczyć w nich odległą fantazję, jednakże nowa rzeczywistość spod znaku COVID-19 prawie ją dogoniła – oto poseł polskiej prawicy zaproponował niedawno na fali kryzysowych obostrzeń... rozdzielanie klas szkolnych według płci. Pięć krótkometrażowych tytułów „Erotiki 2022" ma więc charakter „podręczny" nie tylko ze względu na skojarzenia z literacką czy serialową dystopią, lecz i na swój aktualny wydźwięk.

Weźmy choćby etiudę Kazejak i Tokarczuk czy „Mocno" Kasi Adamik i Joanny Bator, gdzie główne bohaterki zostały zredukowane do roli inkubatorów. W drugim z filmów Wielki Brat kontroluje już nie tylko rozrodczość, ale nawet sny przyszłych matek. Z kolei Olga Chajdas i jej współscenarzystka Gaja Grzegorzewska w „Nocnej zmianie" wykreowały świat, w którym zdaje się nie obowiązywać żadna konwencja stambulska. Los kobiet został zrównany z kondycją dmuchanych lalek, przemoc symboliczna z tą jak najbardziej realną, jedyną zaś sprawiedliwą staje się przebrana za mężczyznę samotna mścicielka (Małgorzata Bela).

Mroczna dystopijność rozlewa się w „Erotice 2022" na różne, nie tylko *stricte* kobiece obszary. Nowela Jagody Szelc i poetki Ilony Witkowskiej zatytułowana „Jeśli będziesz długo siedzieć w ciszy przyjdą do ciebie inne zwierzęta" kreuje proroczą wizję lockdownu – uwięzienia na szarym blokowisku, w przededniu apokalipsy. Zamknięta w mieszkaniu para kochanków (Sara Celler-Jezierska i Sebastian Pawlak) na przekór wszystkiemu kultywuje bliskość, ale trudno znaleźć seksualne spełnienie, kiedy trwa stan wyjątkowy, a na dodatek umiera pies, za ścianą ryczy młot pneumatyczny i słychać wycie dzikich zwierząt więzionych przez kogoś w klatkach. Twórczyni „Wieży. Jasnego dnia" zapuszcza się w rejony kobiecej seksualności, znajdując dla niej intymny język zarówno wizualny, jak i werbalny.

Jego zaprzeczeniem jest infantylna nowomowa małżonków z noweli „Mocno", zamieszkałych w sterylnym, odizolowanym matriksie, poddanych systemowi punktowej ewaluacji. Na tle takich dusznych, krytycznych, naładowanych przemocą opowieści, w których kobiety codziennie nakładają jakieś kostiumy i maski, a dziewczynki tresuje się do roli obiektów seksualnych, najbardziej uwalniająco działa film Jadowskiej, w którym dwoje pasażerów pociągu, zatrzymanego nagle w szczerym polu, za pomocą języka ciała przekracza wspólnie barierę obcości i strachu. W odróżnieniu od pozostałych, mniej lub bardziej surrealnych wizji, prawie realistyczna konwencja „Niedźwiedzia" działa bezpośrednio na zmysły. Potrafi łaskotać niedopowiedzeniem i równocześnie wniknąć głęboko pod skórę.

REKLAMA

→ WYDAWNICTWO KRYTYKA POLITYCZNA PL

znajdziesz w empik salony / online / aplikacja i dobrych księgarniach

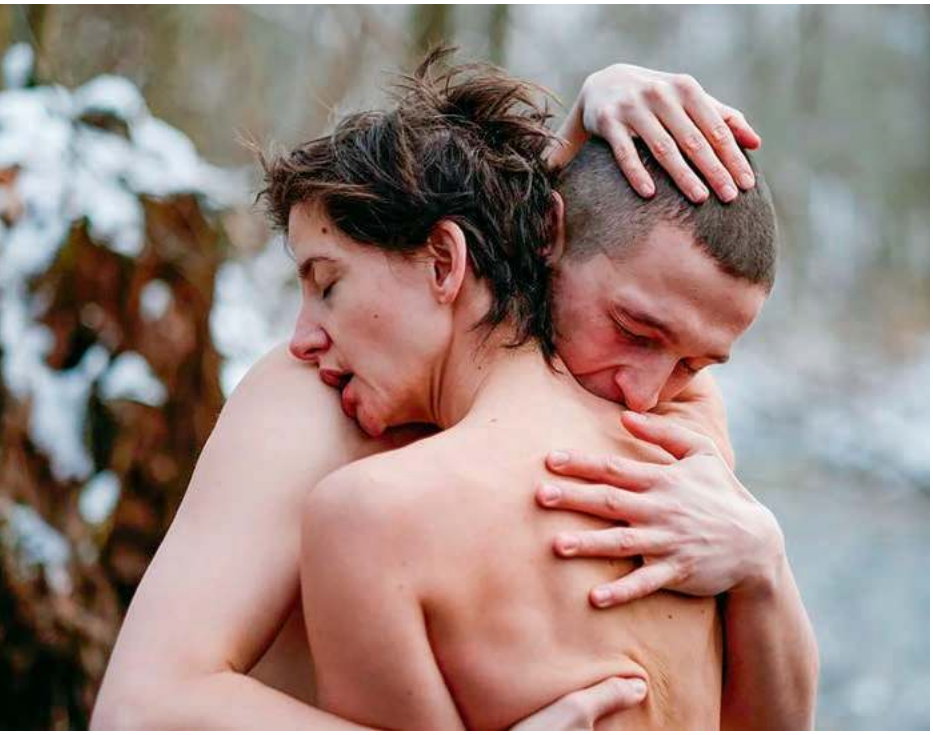

MATERIAŁY PRASOWE

Monika Pikuła i Ignacy Liss w filmie „Erotica 2022”

Jeśli istnieje w kinie coś takiego jak „kobiece dotknięcie”, wyrażające się nie tyle podejmowaną tematyką, co filmową wrażliwością, to czuć je najwyraźniej właśnie u Jadowskiej.

Lecz nie zapominajmy, że antologia jest przede wszystkim wielogłosem, z definicji zróżnicowanym i nierównym, i że bardzo silne piętno odcisnęły na niej zaproszone doń pisarki, podtrzymując tym samym tradycje polskiego kina, niegdyś silnie związanego z literaturą. Niektóre z autorek uobecniają się na ekranie bardziej niż tylko samym scenariuszem – w „Znikaniu pani B” słychać fragmenty „Biegunów”, jedno z wcieleń tytułowej bohaterki przypomina swoją fryzurą Olgę Tokarczuk, zaś w „Niedźwiedziu” pośród pasażerów można wypatrzyć Grażynę Plebanek we własnej osobie.

Mimo tego „Erotica 2022” nie szeleści papierem, znajdziemy w niej za to liczne korespondencje filmowe: Jadowska i Plebanek nawiązują do „Pociągu” Jerzego Kawalerowicza, u Adamik i Bator czuje się powinowactwo z „Kłem” Yorgosa Lanthimosa, a u Chajdas i Grzegorzewskiej – inspirację kinem zemsty Quentina Tarantino i trochę „Taksówkarzem” Martina Scorsesego. Tym bardziej zaskakuje, że nowele, chociaż pisane i kręcone niezależnie, mają tyle punktów wspólnych. Prócz wspomnianych motywów dystopijnych, przez poszczególne tytuły wędrują niedźwiedzie brunatne i martwe ptaki, bohaterki zatracają się w ekstatycznych tańcach albo wysadzają w powietrze mieszkania-pułapki – jak gdyby prócz tej autorskiej, bardzo indywidualnej, „Erotica 2022” zanurzona była w większej, zbiorowej wyobraźni.

Jest jeszcze lekcja, jaką przynosi nowa produkcja Netfliksa polskiemu kinu i nam. To próba porozmawiania o seksualności bez seksualizacji. Tak bardzo przyzwyczailiśmy się do utartych sposobów reprezentacji kobiecego ciała i erotyki na ekranach, że niektórzy i niektóre z nas mogą wręcz przeżyć estetyczny szok. Okazuje się, że ciało nie musi być wyłącznie obiektem pożądania czy przemocy, nie musi być tylko podglądane czy dyscyplinowane. Że może sobie wyglądać jak chce, kochać jak chce, a jego właścicielka może snuć dowolne fantazje, a nawet – o zgrozo – czasem je spełniać. Omawiana antologia wskazuje jednak jasno, że jesteśmy dziś w takim momencie, kiedy zdecydowanie więcej energii pochłania zażegnywanie apokalipsy, walka z systemem i bycie w świecie wirtualnym aniżeli ta prawdziwa, niczym niezapośredniczona erotyka. ©

EROTICA 2022 – *reż. Anna Kazejak, Anna Jadowska, Kasia Adamik, Jagoda Szelc, Olga Chajdas. Prod. Polska/USA 2020. Dostępny na Netfliksie od 25 listopada.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Człowiek w zagrożeniu

Festiwal online, DAFilms, 24 – 29 XI

„Ściana cieni” Elizy Kubarskiej, „Ostatni rycerze prawej strony” Michała Edelmana, „Ziemia jest niebieska jak pomarańcza” Iryny Tsilyk, „xABo. Ksiądz Boniecki” Aleksandry Potoczek – to tylko niektóre z dokumentów w programie rozpoczynającego się właśnie 30. Festiwalu Mediów – Człowiek w zagrożeniu. Uwaga: większość tytułów pokazywanych jest bezpłatnie, ale wiele z nich zgodnie z harmonogramem godzinowym.

2. Powitanie słońca

Dokumentalny, reż. Stéphane Haskell, Francja 2019, Canal+ Dokument, 28 XI, 18.30

Film przygląda się globalnemu fenomenowi jogi z osobistej perspektywy reżysera, który doznawszy paraliżu, właśnie w jej praktykowaniu odnalazł lekarstwo dla ducha i ciała. Podróżując po świecie Haskell spotyka ludzi z różnych kultur, odmienionych przez wkroczenie na jogiczną ścieżkę. Po emisji o godz. 20.00 pokazany zostanie dokument „Iyengar: człowiek, joga i droga ucznia”, poświęcony indyjskiemu mistrzowi.

3. Czysta sztuka

Dokumentalny, reż. Maksim Szwed, Polska/Białoruś 2019, TVP Dokument, 29 XI, 19.15

Telewizja publiczna uruchomiła nowy kanał z kinem dokumentalnym. W ramówce znaleźć można m.in. film, który opowiada o tym, jak sztuka wdziera się w przestrzeń białoruskich ulic i prowadzi grę z cenzorskimi zapędami władzy. Kamera skupia się nie tylko na działalności artystów – rejestruje także reakcje mieszkańców Mińska i służb porządkowych.

4. James Bond

Przegląd filmów, HBO GO, od 1 XII

Czekając na przyszłoroczną premierę „Nie czas umierać” możemy przypomnieć sobie wszystkie dotychczas nakręcone tytuły z brytyjskim agentem 007. A przy okazji zobaczyć na ekranie zmarłego niedawnego Seana Connery'ego. Przed nami 24 filmy z tej serii, od „Doktora No” (1962) Terence'a Younga po „Spectre” (2015) Sama Mendesa.

JAN

Klata:
Kazik-Mikke

Pieniądze, pieniądze, dają pieniądze! Dają kulturze, dają rozrywce, a nic nie rozrywa bardziej niż pieniądze. Ministerstwo dawało pieniądze! A raczej: „ministerstwo dawało". Skąd cudzysłów? Ano stąd, że ministerstwo nie daje ze swoich (czego chyba nigdy ten minister nie zrozumie), no i stąd, że podobno kasę przyznawał niejaki Algorytm. Pełnych personaliów owego Algorytma nie znamy, wabi się niby jakiś wczesnochrześcijański święty, trzeba przyznać, że robotę skrewił, rekompensując gwiazdom disco polo nieodbyte koncerty w TVP Kurskiego. Ale nie o św. Algorytma idzie. Idzie o zasady nowoczesnego państwa i społeczeństwa. Jak ono działa? Otóż według Kazimierza Staszewskiego (lat 57) działa tak, że rząd przyznaje „ukradzione pieniądze". Hmm, jak na mężczyznę w sile wieku wizja raczej infantylna, takie duby smalone może opowiadać wyznawca Janusza Korwina-Mikkego (lat 78) ekscytujący się internetowymi filmikami pt. „Zobacz jak Korwin MIAŻDŻY lewaka". Komu rząd „ukradł" kasę, według wespół w zespół panów Kazimierza oraz Janusza? Otóż „zabrał setkom tysięcy uczciwie pracujących ludzi, którym teraz na dodatek zamyka interesy". Pan Kazimierz rytualnie pochyla się nad ludźmi z zamkniętymi interesami (o ile nie są artystami, oczywiście) oraz nad „lekarzami, pielęgniarkami, ratownikami", rzecz jasna. Po czym reklamuje swój koncert „the best of ziemia polska ever" na różnych nośnikach. I tak Algorytm niesie baner reklamowy przedsięwzięcia pana Kazimierza, żeby lekarze, pielęgniarki i ratownicy mogli sobie kupić jego przeboje „bez pośrednictwa łupieżczych struktur państwowych". W żelaznym rozumowaniu kultowego artysty brakowało jedynie argumentu „w czasach Chopina nie było Ministerstwa Kultury", ale może się pojawi w następnym poście. Wielkim poście, oczywiście.

Na szczęście dla wszystkich, którzy tak jak heroiczny Kazik nie chcą kradzionych pieniędzy, Pan Minister zwolnił nieudolnego Algorytma i zapomogę wstrzymał. Jest, jak być powinno. Sprawiedliwie. Nikomu nic. Oświetleniowiec Kazika nie jest zachwycony. ©

Lektor:
Wyprawa w dramat

▪ *Tomasz Kubikowski*
ZJADANIE PSÓW
Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza, Warszawa 2020, ss. 372.

Ktoś, kto układa bibliotekę wedle klucza tematycznego, będzie miał z tą książką kłopot. Dzieje wypraw arktycznych? W pewnym sensie. Reportaż historyczny? Raczej nie. Literatura podróżnicza? Też nie. A może „Zjadanie psów" powinno trafić na półkę... teatraliów? Nie dlatego, że autor jest profesorem warszawskiej Akademii Teatralnej. W doświadczeniu arktycznym XIX-wiecznych podróżników, w próbie dotarcia do nieznanego, którego symbolem jest biegun północny, w objaśnianiu własnych działań i nadawaniu opisowego kształtu przeżyciom niewyrażalnym Tomasz Kubikowski dostrzega „performans par excellence". I sięga po narzędzia wypróbowane przez performatykę, żywiołowo rozwijającą się w ostatnich dziesięcioleciach. A wśród odniesień często pojawia się nazwisko... Konstantina Stanisławskiego, wielkiego reżysera i twórcy teorii gry aktorskiej. Jest to dzieło zdumiewające i w jakiś sposób totalne. Teoretyczny szkielet, który zresztą odsłania się stopniowo, obleczony został w ciało niezliczonych postaci o mniej lub bardziej dramatycznych losach, od Henry'ego Hudsona, który już w XVII wieku poszukiwał Przejścia Północno-Zachodniego. Hudson dotarł do zatoki noszącej dziś jego imię, potem wygnany został przez zbuntowaną załogę i zaginął, stając się niejako ofiarą założycielską, a zarazem wyrwą w opowieści. Która zresztą toczy się przez kilkaset stron gęstego druku, nieposkromiona, choć przełamywana erudycyjnym komentarzem. A zarazem precyzyjnie osadzona w faktach, w źródłach, w literaturze przedmiotu. Niebywała galeria postaci – Ross, wielki przegrany; Parry; Franklin; Kane. No i oczywiście Nansen, bohater główny. Porywająca narracja, która zarazem spełnia wszelkie standardy pracy naukowej – włącznie z przypisami i bibliografią. Niemal powieść przygodowa – i kawał historii kultury, a także dziejów rozwoju naszej samoświadomości. „Badano już samo doświadczenie polarne i jego społeczne echa. Rozkładano wobec nich rozmaite instrumentaria: postkolonialne, antropologiczne i kobiece, psychoanalityczne i socjologiczne" – zauważa Kubikowski. A wszystkie te dzieła, także eseistyczne i popularyzatorskie, są zarazem „samomnożącymi się maszynami fantazmatycznymi". Trzeba więc „starannie wyznaczyć swój kurs" – podkreśla. Fascynująco się z nim podróżuje. ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Indyk*

Siedemdziesiąt dziewięć procent amerykańskich epidemiologów ankietowanych przez gazetę „New York Times" odpowiedziało, że zawęzi grono biesiadników w tegoroczne Święto Dziękczynienia do najbliższych osób, które i tak stale mieszkają pod ich dachem, albo nie planują wcale niczego organizować. „Nic nie smakuje tak dobrze jak poczucie bezpieczeństwa" – dopisała do ankiety jedna z lekarek. Ile osób i kogo na dziękczynienie zaprosić, to dylemat, który zawsze należał do wyzwań w sferze dyplomacji rodzinnej i logistyki. Ale sięgał też samego rdzenia duchowego tego święta, jak wiemy, ważniejszego w horyzoncie przeżyć przeciętnego Amerykanina niż Boże Narodzenie.

Nie przesadzam? Popatrzcie na wszystko tak jak ja zwykle: od strony stołu. Wiele religii przewiduje, że dopiero pewna określona liczba wiernych tworzy warunki do spełnienia obrzędu lub liturgii. Bez dziesięciu dorosłych Żydów nie można rozwijać Tory ani odmówić kadyszu za zmarłych. A co jest potrzebne, by prawowierny Amerykanin spełnił rytuał, który go wyróżnia na tle innych nacji i wspólnot szeroko pojętego Zachodu? Indyk. W całości. Dawni koloniści w Wirginii czy Massachussets nie kupowali porcjowanego drobiu na tackach. Wielki, rumiany, dobrze spieczony, lśniący od tłuszczyku indyk. Takiego cuda nie da się zjeść w dwie osoby. Nawet cztery osoby przy stole to byłaby obraza dumnego ptaka, jego krwawej ofiary oraz trudu kucharza. Nie ma sensu się spierać o dokładną granicę, ale w tym sposobie świętowania jest potrzebny tłum. Dopiero widok oskubanego doszczętnie szkieletu z pięknie wysklepioną klatką piersiową na półmisku daje poczucie spełnionego obowiązku.

Czy można poczuć wielką wspólnotę jedząc klopsiki? Albo nawet pieczone jabłko z żurawiną? Jeszcze na długo przed pandemią i przygnębiającymi utrudnieniami w byciu razem pojawiały się w listopadzie alternatywne potrawy na Dziękczynienie, nie tylko dla wegetarian. Odwołujące się do tradycji osadników albo całkiem nowoczesne „fuzje" azjatyckie i podobne. W małych porcjach, na zimno i na ciepło, do jedzenia na stojąco i łatwe do zamówienia przez telefon. W tym roku wszystkie te porady i koncepcje obrodziły ze zdwojoną siłą, bo święto bez indyka przestało być tylko opcją dla tych, którzy lubią się wyłamać z tradycji, ale jedynym wyjściem, jeśli tak jak cytowana lekarka ceni się smak bezpieczeństwa.

Patrzę na to wszystko trochę jak na poligon ćwiczebny przed czekającymi nas za miesiąc zmianami rytuałów w Europie. I tyle wiem na razie, że na szczęście polski sposób na święta bazuje na potrawach przeważnie modularnych, które mają sens, nawet jeśli do wieczerzy siada para ludzi: wszystkie te pierogi i rybki, te kasze i sałatki dają się zgrabnie podać w małych porcjach, może tylko barszczu nie ma sensu robić w rondelku, jak już zasmradzać dom parującym burakiem, to niech go będą trzy litry, ale potem można nadmiar spokojnie zamrozić. A spora część wigilijnej tradycji to rzeczy, które da się zamówić na mieście, robiąc w ten sposób świąteczny dobry uczynek dla przyduszonych zamknięciem restauracji.

„W miarę jak rośnie nasza potęga, płynie z niej dla nas niebezpieczeństwo. Składajmy zatem podziękę za ideały honoru i wiary, jakie dziedziczymy po przodkach. Za cnotliwość ich zamiarów, wytrwałość i siłę woli, za odwagę i pokorę, którą posiadali i którą każdego dnia powinniśmy naśladować. Kiedy wyrażamy wdzięczność, pamiętajmy, że najwyższą jej formą nie są wypowiadane słowa, ale życie zgodne z ich przesłaniem" – pisał na początku listopada 1963 r. prezydent JFK w dekrecie proklamującym, w myśl przyjętego obyczaju, święto na ostatni czwartek tego miesiąca (czyli 26 listopada). Cztery dni przed tą datą został zabity przez spiskowców, przy czym lista tych, którzy mieli interes, by go zgładzić, a potem poplątać tropy, jest przygnębiająco długa. Żaden indyk nie zastąpił dziś Amerykanom skłonności do pojednania, jakiej im chyba trochę ostatnio zabrakło, ale życzmy im, żeby cokolwiek los położy w to święto na talerzu, znaleźli wokół stołu cnotę, wytrwałość i siłę woli. I żeby za rok znów siedli w kupie i szarpali indyka. ©℗

Nigdy nie próbowałem piec całego indora i zostawiam tę trudną, wspaniałą sztukę tym, którzy mogą zaprosić do domu tuzin gości – oby i o mnie pamiętali! Ale skoro o tym ptaku mowa, zwracam wam uwagę na luzowane mięso z udźca, które moim zdaniem świetnie w wielu potrawach zastępuje wieprzowinę. Robię z niego np. bardzo pożywny gulasz w stylu włoskiego spezzatino. Kroimy na talarki 1 cebulę (albo pora), marchew i łodygę selera naciowego, oraz małą paprykę na wąskie paski. Rzucamy do głębokiego garnka na rozgrzaną oliwę, dusimy pomalutku przez kilka minut. Dodajemy dwa spore ziemniaki krojone w kostkę. Zwiększamy ogień i wrzucamy ok. 500-600 g indyczego mięsa pokrojonego w kostkę ok. 2 cm. Mieszamy energicznie, starając się obsmażyć całe mięso. Wlewamy 100 ml białego wina, chwilę gotujemy bez przykrycia, podlewamy wodą tak, aby prawie przykryła wszystko, dodajemy sól, gałązkę rozmarynu, pieprz w ziarnach i gotujemy na jak najmniejszym ogniu 2 godziny, co jakiś czas mieszając. Jeśli zacznie zbyt gęstnieć, dolewamy wody. Pod koniec dodajemy łyżkę koncentratu pomidorowego, zaczynamy intensywnie mieszać, tak aby już bardzo miękkie mięso zaczęło się rozpadać niemal na pojedyncze włókna, a ziemniaki stworzyły gęsty krem. Przy odgrzewaniu uważajmy: bardzo łatwo się przypala.

ADOBE STOCK

KRÓLEWSKI GAMBIT

Pod koniec marca pandemia przerwała najważniejszy tegoroczny turniej szachowy. Zamknęła w domach amatorów i zawodowców. I wreszcie zrobiło się ciekawie.

ŁUKASZ KWIATEK

Beth Harmon nauczyła się grać w szachy w piwnicy sierocińca dla dziewczynek w jednym z miasteczek Kentucky. Miała niespełna dziewięć lat, gdy trafiła w niej na woźnego, pana Shaibela, rozgrywającego kolejne partie przeciwko samemu sobie. Uzależniona od leków na uspokojenie rudowłosa dziewczynka, równie brzydko jak wszystkie koleżanki obcięta na pazia, nie mogła przestać o szachach myśleć. Od razu ujawniła wielki talent – jedną z niewielu rzeczy odziedziczonych po matce matematyczce, która osierociła Beth po tym, jak wjechała rozpędzonym samochodem w barierkę mostu.

Shaibel był dobrym, choć nieco szorstkim nauczycielem, ale przeciwnikiem szybko stał się niewystarczającym. Dzięki jego zaangażowaniu dziewczynka zaczęła grać z silniejszymi rywalami, jednak i oni nie sprawili jej większego kłopotu. Po adopcji i opuszczeniu sierocińca kariera Beth rozbłysła na dobre. Jako nastolatka sensacyjnie wygrywała zdominowane przez mężczyzn turnieje w kolejnych miastach USA, a potem

PIOTR POWIETRZYŃSKI / GETTY IMAGES

zaczęła szukać wyzwań za granicą i robić wszystko, by stanąć do walki z mistrzem świata, Rosjaninem Wasylijem Borgowem. No, prawie wszystko – bo przez cały ten czas Beth równolegle prowadziła walkę z uzależnieniem od alkoholu i środków uspokajających. Nie szło jej tak dobrze, jak na szachownicy.

Ruchy Kasparowa

Serial „Gambit królowej", który pod koniec października zadebiutował na Netfliksie, spodobał się widzom i krytykom mimo dość prostych rozwiązań fabularnych, zaczerpniętych z nie najlepszej zresztą powieści Waltera Tevisa, zmarłego w latach 80. amerykańskiego pisarza i nauczyciela literatury. Produkcji w istocie niewiele można zarzucić. Ameryka przełomu lat 50. i 60. jest klimatyczna, Anya Taylor-Joy w roli Beth – hipnotyzująca, a jej repertuar emocji i bagaż wewnętrznych konfliktów są znacznie bogatsze niż w postaci z książki. Pochwalić trzeba również to, że w serialu bardzo poważnie potraktowano same szachy.

Po części to zasługa Tevisa, który nie był żadnym arcymistrzem, ale grać potrafił i zadbał o to, żeby opisane w książce szachowe posunięcia miały sens, a czytelnik mógł poczuć gęstą atmosferę turniejów. Producenci serialu wykonali jednak kolejny krok: w roli konsultantów zatrudnili Bruce'a Pandolfiniego, słynnego trenera szachowego, komentatora i publicystę, oraz samego Garriego Kasparowa. Pandolfini historię Beth Harmon znał doskonale – przed laty udzielał szachowych porad jej autorowi (choć dziś zapewnia, że większość została zignorowanych), a nawet proponował ostateczny tytuł książki. Nazwisko rosyjskiego wieloletniego mistrza świata jest zaś w środowisku szachowym gwarancją najwyższej jakości – i rozgłosu.

Ale nie tylko dbałość o detale, aktorstwo, legenda Kasparowa i opracowane przez niego na potrzeby serialu posunięcia spowodowały, że o „Gambicie królowej" zrobiło się tak głośno. Jakąś rolę odegrała w tym społeczność zawodowców, którzy w największym stopniu mogli docenić wysiłek twórców włożony w urealistycznienie kręconych scen. Oni serialem się zachwycili. Branżowy magazyn „Chess Life" umieścił Beth na okładce i poświęcił jej historii główną część wydania, wielu czołowych szachistów pisało o serialu na Twitterze, a popularni szachowi youtuberzy przeanalizowali rozegrane przez Beth partie. Znaczenie dla reakcji na „Gambit królowej" miało również to, że jego premiera nadeszła w bardzo dobrym momencie – gdy zainteresowanie szachami osiągnęło poziom być może największy w dziejach.

Lockdown na Syberii

Duża w tym zasługa pandemii COVID-19, bo mnóstwo ludzi, odciętych od innych rozrywek i pasji, ruszyło grać w szachy *online*. Nie ma wprawdzie jednoznacznych danych dotyczących globalnej liczby regularnych graczy – zgrubne oszacowania sprzed paru lat mówiły o 300-600 milionach, z czego większość stanowią mieszkańcy krajów azjatyckich – ale pouczające mogą być w tym zakresie wyniki podawane przez Google'a. Pod koniec marca, gdy wiele państw zaczęło ↦

wprowadzać mniejsze lub większe obostrzenia, w krótkim czasie niemal podwoiła się liczba wyszukań najpopularniejszych szachowych serwisów, takich jak chess.com, lichess.org i chess24.com, mających już wcześniej miliony użytkowników. Ten wzrost, przynajmniej jak dotąd, wygląda na trwały.

Trudno się dziwić, bo szachy *online* mogą być wręcz uzależniające, a największe serwisy to dziś platformy służące nie tylko do grania i budowania swojej pozycji rankingowej (pozwalającej na rzucanie wyzwań coraz silniejszym przeciwnikom), ale także do nauki, analizy partii i śledzenia szachowych wydarzeń. W udostępnianych tam transmisjach z turniejów można posłuchać komentarzy arcymistrzów, zwykle zresztą aktywnych graczy, którzy w danych zawodach akurat nie biorą udziału. Czasem można się natknąć nawet na aktualnego (od 2013 r.) mistrza świata, Norwega Magnusa Carlsena. Można też, przy odrobinie szczęścia, zmierzyć się z takimi zawodnikami na równych prawach. Sesje gry błyskawicznej z losowymi widzami, znane jako *banter blitz*, komentowane przez arcymistrzów na żywo, stały się w pandemii tak popularne, że odbywają się prawie bez przerwy. Chyba w żadnym innym sporcie amatorzy nie mają równie łatwego dostępu do najlepszych.

W rozgrywkach internetowych na szachownicy nie wieje nudą, bo dominują partie szybkie i błyskawiczne, w których opłaca się podejmowanie ryzyka i uciekanie od schematów.

Pandemia wpłynęła oczywiście także na zawodowców. Zawieszono lub odwołano wszystkie tradycyjne zawody, w tym Turniej Pretendentów rozgrywany w Jekaterynburgu, który miał wyłonić spośród ośmiu uczestników rywala dla Magnusa Carlsena w najbliższym meczu o mistrzostwo świata. Nie pomogły ani rozwiązania sanitarne (po przybyciu do Rosji reprezentanci Chin musieli przejść dwutygodniową kwarantannę; wszystkich namawiano do powstrzymania się od tradycyjnego uścisku dłoni przed i po każdej partii), ani upór organizatorów. 26 marca, na półmetku turnieju, władze Rosji ogłosiły wstrzymanie od następnego dnia wszystkich połączeń lotniczych do innych krajów – aż do odwołania. Międzynarodowa Federacja Szachowa (FIDE) nie mogła zagwarantować uczestnikom bezpiecznego powrotu do domu, więc w pośpiechu przerwano zawody i łapano ostatnie odlatujące samoloty – gdziekolwiek za granicę. Do dziś nikt nie ma pojęcia, kiedy Turniej Pretendentów zostanie wznowiony. Ale po drodze może pojawić się jeszcze większa niewiadoma: czy w ogóle będzie jeszcze sens go dokańczać.

Magnus Carlsen Chess Tour

Pandemiczne zawirowania i rosnące zainteresowanie szachami *online* postanowił bowiem wykorzystać Carlsen, który od pewnego czasu nie krył znudzenia aktualnie obowiązującymi regułami. 30-letni Norweg ma pełne prawo do tego uczucia, bo od lat jest w tym sporcie dominatorem – w oficjalnym rankingu ma ogromną przewagę, wielu uważa go wręcz za najlepszego gracza w historii, do niedawna mógł pochwalić się serią 125 oficjalnych partii bez porażki (przerwaną przez reprezentanta Polski, 22-letniego Jana-Krzysztofa Dudę) i wygrywa prawie wszystkie turnieje, w których bierze udział. Ale jest również ikoną popkultury i przedsiębiorcą, zarabiającym miliony na kontraktach reklamowych i biznesie. Grupa Play Magnus, którą założył, stworzyła m.in. aplikacje szachowe, stronę z kursami do nauki chessable.com i zainwestowała w serwis chess24.com, który wśród konkurencji kładzie największy nacisk na transmitowanie turniejów i sesji *banter blitz*.

I to właśnie ta firma w środku pandemii zorganizowała z wielkim rozmachem wieloetapowy turniej *online*, porównywalny z największymi zawodami organizowanymi przez FIDE, do którego zaproszono kilkudziesięciu zawodników ze ścisłej czołówki. Pula nagród wyniosła milion dolarów – najwięcej w historii internetowych zawodów i więcej niż w niejednym turnieju tradycyjnym – a Carlsen sygnował zawody własnym nazwiskiem. Do niezręcznej sytuacji nie doszło: to właśnie Norweg zwyciężył w rozgrywanych pod koniec sierpnia finałach i został pierwszym w historii triumfatorem Magnus Carlsen Chess Tour. Kolejna edycja, z jeszcze większą pulą nagród, już się zaczęła, choć tym razem organizatorzy powstrzymali się od umieszczenia nazwiska faworyta w oficjalnej nazwie.

Kontynuację ogłoszono szybko, bo spółka Carlsena szykowała się do wejścia na norweską giełdę (w momencie debiutu wyceniano ją na przeszło 100 mln euro), a zawody okazały się ogromnym sukcesem. Przede wszystkim medialnym – oficjalne transmisje internetowe na chess24.com, prowadzone w 10 językach, obejrzało ponad 70 mln widzów. Kolejne miliony osób śledziły relacje z rozgrywek i analizy partii na prywatnych kanałach YouTube, z których największe – należący do Chorwata Antoniego Radicia, znanego jako Agadmator, czy do amerykańskiego arcymistrza Hikaru Nakamury – odgrywają dziś chyba jeszcze ważniejszą rolę dla promocji profesjonalnych szachów niż oficjalne transmisje z turniejów. Co ciekawe, to właśnie Nakamura okazał się najgroźniejszym rywalem Carslena w internetowych rozgrywkach, mimo że sam uważa się już bardziej za zawodowego streamera niż szachistę (jego kanały mają milionowe zasięgi, w listopadzie podpisał nawet kontrakt z profesjonalną agencją e-sportową). Materiałów o turnieju nie brakowało również w tych sportowych mediach, które na ogół słabo interesują się szachami – w tym czasie w większości innych dyscyplin po prostu nic się nie działo.

Ale o powodzeniu ambitnej zagrywki Carlsena zadecydował jeszcze jeden czynnik: reżim czasowy.

W tradycyjnych szachach największym prestiżem cieszą się tzw. partie klasyczne, które mogą ciągnąć się nawet przez 6-7 godzin. Podczas turnieju zawodnicy rozgrywają ich kilkanaście, w ciągu 2-3 tygodni. To morderczy wysiłek, nie tylko psychiczny, ale i fizyczny, bo wytężanie mózgu przez tak długi czas pociąga za sobą potężne koszty metaboliczne. Dość powiedzieć, że czołowi gracze mogą schudnąć kilkanaście kilogramów podczas jednych zawodów. Wielu z nich uprawia inne sporty, by przygotować organizm na wszystkie trudy szachowych rozgrywek.

Odejście od schematów

To jednak tylko jedna strona partii klasycznych. Druga jest taka, że najlepsi lubią bardzo długo rozmyślać nad kluczowymi posunięciami, nawet po kilkadziesiąt minut, a w tym czasie widzowie śmiertelnie się nudzą. Początkowe etapy partii wyglądają inaczej: ruchy wykonywane są błyskawicznie, jednak i wtedy nie ma wielkich emocji. Współcześni czołowi arcymistrzowie zapamiętują tysiące wariantów różnych debiutów i do pewnego momentu po prostu odtwarzają partie historyczne, przeanalizowane już na wszystkie sposoby przy pomocy potężnych komputerów. Na tym etapie najbardziej zależy im na zaskoczeniu rywala niepozorną modyfikacją, która zapędzi go na nieznany teren, zmuszając do długiego, samodzielnego myślenia. Gracze bardziej agresywni, nastawieni na twardą walkę, od dobrze znanych schematów mogą odejść w okolicach 8.-9. posunięcia. Nie brak jednak takich, którzy trzymają się ich nawet do 15.-20. ruchu.

Dodajmy, że każda partia odbywa się w absolutnej ciszy, a przeciwnicy nie patrzą sobie w oczy – akurat tego aspektu szachowych rozgrywek „Gambit królowej" nie oddał najlepiej, bo Beth Harmon każdego rywala przeszywała spojrzeniem na wylot, a czasem deprymowała złośliwymi komentarzami. Poziomowi atrakcyjności transmisji z klasycznych turniejów szkodzi także i to, że partie graczy ze ścisłej czołówki nieznośnie często kończą się remisami (w ponad 70 proc.). Np. w ostatnim meczu o mistrzostwo świata, z 2018 r., wszystkie 12 partii zostało zremisowanych. Carlsen pokonał Amerykanina Fabiana Caruanę dopiero w szybkiej dogrywce, zresztą z dużą łatwością. Szachy klasyczne to, niestety, najczęściej rozrywka dla koneserów.

W rozgrywkach internetowych na szachownicy nie wieje nudą, bo dominują partie szybkie i błyskawiczne (odpowiednio ok. 30-40 minut na całą grę i ok. 5-8 minut – właśnie w takich formatach odbywał się turniej Carlsena), w których podejmowanie ryzyka i szybkie uciekanie od schematów opłaca się znacznie częściej. Zaskoczony przeciwnik pod presją czasu łatwiej może się pogubić. Jest też oczywiście więcej błędów i zwrotów akcji. I przede wszystkim: nie ma aż tylu remisów.

Choć szachy internetowe mają również swoje problemy. Na początku listopada portal Chess.com zdyskwalifikował dożywotnio ormiańskiego arcymistrza Tigrana L. Petrosiana, który w dwóch internetowych partiach niewytłumaczalnie często spuszczał wzrok z ekranu. Sędziowie uznali, że oszukiwał – korzystał z pomocy ukrytego telefonu lub tabletu, na którym uruchomił program szachowy. Sprawa wywołała dyskusję, ponieważ decyzja została podjęta kilka dni po zdarzeniu, a w czasie meczu nikt na podejrzane zachowanie nie zareagował. Oszustwo nie byłoby jednak czymś wyjątkowym, bo podobne skandale w szachach *online* powtarzają się regularnie, nawet na poziomie arcymistrzowskim. Dlatego w najważniejszych turniejach *online* nierzadko wymaga się ustawienia kilku kamer.

Technologiczny doping zdarza się, rzecz jasna, także podczas stacjonarnych zawodów, ale w tym przypadku sędziowie mają trochę łatwiejsze zadanie. U nas głośnym echem odbiła się historia 17-letniej Patrycji Waszczuk, zdyskwalifikowanej w październiku przez Polski Związek Szachowy na dwa lata za korzystanie z programu szachowego na telefonie ukrytym w toalecie. Zawodniczka podejrzanie często odchodziła w czasie gry od stolika w to samo miejsce, a po powrocie wykonywała „nieludzkie" posunięcia – takie, które sugerował komputer, ale na które raczej nie wpadłby żaden arcymistrz.

ATILGAN OZDIL / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Pokazowa gra symultaniczna Magnusa Carlsena w siedzibie ONZ w Nowym Jorku, 10 maja 2018 r.

W oczekiwaniu na rewolucję

Głośny turniej Carlsena może być początkiem rewolucji, ukierunkowanej na uatrakcyjnienie gry, dotarcie do wielu nowych widzów i zmuszenie graczy do silniejszego polegania na intuicji, zamiast okopywania się w dobrze znanych schematach. To również próba wywarcia presji na FIDE, która organizuje najważniejsze turnieje, a może nawet próba częściowej marginalizacji tej instytucji. I choć imperium Carlsena rozwija się w internecie, jemu samemu najpewniej nie chodzi o całkowite przeniesienie szachów do sieci.

– Byłoby to możliwe, ale większość zawodników by tego nie chciała – ocenia arcymistrz Mateusz Bartel, aktualnie trzeci najwyżej notowany polski zawodnik. – Szachy internetowe i tradycyjne to w zasadzie dwa różne sporty, trochę jak piłka nożna i futsal. W obu przypadkach o sukcesie mogą decydować inne umiejętności. Tradycyjne szachy to coś więcej niż przesuwanie figur, ważna jest również walka psychologiczna, bo naprzeciwko siada żywy człowiek, któremu mogą drżeć ręce albo pocić się dłonie. W internecie tego nie ma – co niektórym zawodnikom pomaga, a innym przeszkadza. Ale wyczynowym szachistom brakowałoby również atmosfery turniejowej, której nie czuć tak bardzo, gdy gra się z domu – dodaje Bartel.

Dlatego tradycyjne turnieje bez wątpienia wrócą, gdy ludzkość upora się w końcu z pandemią, choć najważniejsze akcenty mogą się już rozkładać inaczej. Carslenowi marzą się np. częstsze turnieje tzw. szachów Fischera – to wymyślony przez legendarnego amerykańskiego mistrza świata wariant gry, w którym figury na początkowych polach ustawiane są w bardziej losowy sposób (istnieje 960 możliwych kombinacji). To sprawia, że całe przygotowanie teoretyczne można wyrzucić do kosza, bo zgodnie z ideą zawodnicy bezpośrednio przed partią losują wyjściowe ustawienie.

Jeśli wszystko nadal będzie się toczyło w tym tempie, to kto wie, czy Carlsen nie zaproponuje, by kolejny mecz o mistrzostwo świata został rozegrany właśnie zgodnie z tymi zasadami. Albo sam go zorganizuje, nie pytając nikogo o zgodę.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

STANISŁAW

Mancewicz:
Przyszli, zjedli, wychodzą

W radosnym, umysłowym przede wszystkim lockdownie czekamy sobie na Igrzyska Europejskie, które odbędą się w roku pańskim 2023 w Krakowie. Nasze pobudzenie wynika z co najmniej dwu powodów – po pierwsze, bo ich oficjalnym organizatorem będzie p. Sasin z Ministerstwa Aktywów Państwowych, po drugie – z powodu definicji europejskości. To już niemal tradycja, że trzeba solidnie pomyśleć nad sensem owej podniosłej nazwy, od chwili gdy Igrzyska Europejskie odbyły się po raz pierwszy. Było to, przypomnijmy, w Azerbejdżanie, kolejne zaś zorganizowano w Białorusi. No więc pękamy z ciekawości, jakże to p. Sasin będzie nas tu w Krakowie sportowo i organizacyjnie europeizował, przybliżał do kultury śródziemnomorskiej, do zasad *fair play* i do idei p. barona de Coubertina.

Tak czy owak, do roku 2023 jest nieco czasu, na tyle dużo, żeby na razie pogwarzyć nie o planach zmian w zasadach gier zbiorowych, ale o polskiej myśli politycznej. Termin ten – przyznajemy ze wstydem – od dość dawna wydaje się sztuczny, sformowany bez namysłu i na wyrost. Jest to, mówiąc brutalnie, optymistyczna próba podwiązania zachowań instynktownych, czegoś, co nie jest myślą, do myśli, oraz czegoś, co nie jest polityką, do polityki. Wszystko, co z polskiej myśli politycznej da się wycisnąć, można zmieścić średniej wielkości drukiem na bilecie tramwajowym.

Otóż przez dziesięciolecia, jeśli nie przez setki lat nikt w świecie zagranicznym nie był w stanie z ręką na sercu powiedzieć, że cokolwiek z polskiej myśli politycznej rozumie. Nie no, oczywiście – były gdzieś, tam i siam, jakieś arcyniszowe wydziały bądź podwydziały jakichś organizacji, zajmujące się polską myślą polityczną. Na tym kontynencie i na innych. Zatrudniano tam specjalistów o rzadkich kompetencjach, jeśli wziąć pod uwagę konieczność ich łączenia. Byli to więc historycy, mitoznawcy i religioznawcy, którzy wcześniej musieli przejść solidny kurs medyczny i ukończyć dietetykę. Tak to sobie wyobrażamy, bowiem inaczej, bez tego, polskiej myśli politycznej ogarnąć by się jednak nie dało. No więc politycy zagraniczni na przestrzeni wieków, chcąc się z jakiegoś powodu czegoś dowiedzieć o polskiej myśli politycznej, pierw otwierali jakieś meldunki, podręczniki, encyklopedie bądź antologie, ale niemal natychmiast ciskali owe zwarte druki w kąt i kazali słać sanie bądź auto z szoferem po owych specjalistów z podwydziałów. Śmiech jednak nas tu teraz wzdyma, bo jakże często, owszem, specjalista przyjeżdżał, rozgaszczał się, dostawał to i owo do picia, a nawet pierogi, ale gdy padało pytanie, by konkretnie coś na temat polskiej myśli politycznej opowiedział, to jednak rozkładał ręce. Że to nie jego podspecjalizacja – tłumaczył, że nie jego podwydział tym się zajmuje, że to w ogóle nie to, nad czym on siedzi od dwu dekad, że nie tak, że on nic nie wie, że jest niewinny. I że szkoda czasu, lepiej się napić – taka jest jego rada. Politycy zagraniczni w zasadzie przyjmowali te słowa z ulgą.

Dlatego nasi przywódcy tak są zawsze miło witani podczas krótkich podróży za granicę. Posiedzą, zjedzą, pójdą – tak się mniej więcej uspokajająco sumują porady zagranicznych wydziałów i podwydziałów dotyczące tych wizyt.

Wydawałoby się zatem, że jest źle i że jesteśmy – jak zwykle – na kolanach. Zdarza się jednak coraz częściej, że z kolan wstajemy i z tej perspektywy rzeczywiście widać więcej. Popatrzmy na ostatni widok ze sceny polskiej myśli politycznej: „Będziesz siedzieć" – powiadali jedni. A ten, do którego mówili, odpowiedział im, że nie on. „To wy – powiadał – będziecie siedzieć". I tak oto, słuchając tego w kółko – rzec trzeba – na temat polskiej myśli politycznej zaczęliśmy zmieniać zdanie. Tak, te dialogi są uniwersalne. I dlatego jesteśmy dziś dobrej myśli, poza tym, że posiedzieliśmy, zjedliśmy i właśnie wychodzimy, oczywiście bez pożegnania, no i czekamy na Igrzyska Europejskie w Krakowie, żeby sobie optymistycznie interpretować, czym Europa jest, a czym nie jest. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

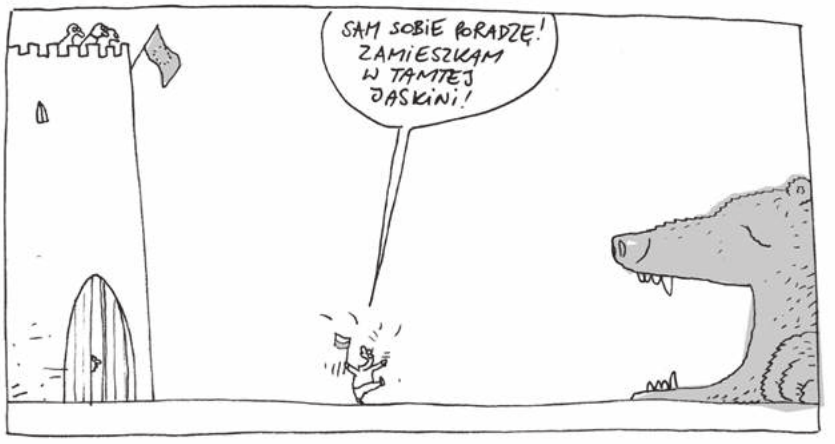

Już w sprzedaży – podwójne wydanie specjalne!
ŚWIĘTO SPOTKANIA

Wiem, że kluczowym w sytuacji kryzysu jest dopuszczenie do siebie człowieka, który może przynieść rodzaj daru sprowadzającego się do obecności, słowa – drogowskazów, które poprowadzą nas w najbliższym czasie.
Katarzyna Nosowska

Oczekiwanie. Uczta. Goście, których chcielibyśmy zaprosić do stołu, „kiedy to wszystko się wreszcie skończy". Radość i zabawa.
Zmagając się z epidemią, przeżywając społeczne niepokoje, nie przestajemy zadawać sobie najważniejszych pytań duchowych i egzystencjalnych. I nie przestajemy myśleć o jakości naszego bycia razem, zarówno z najbliższymi, jak we wspólnocie obywatelskiej.

„Święto spotkania" – szukaj w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/swietospotkania**

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNERZY WYDANIA

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
ADWOKATURA POLSKA PRAWO OJCZYZNA HONOR
ZAiKS
SOS WIOSKI DZIECIĘCE
Wrocławski Dom Literatury

REKLAMA

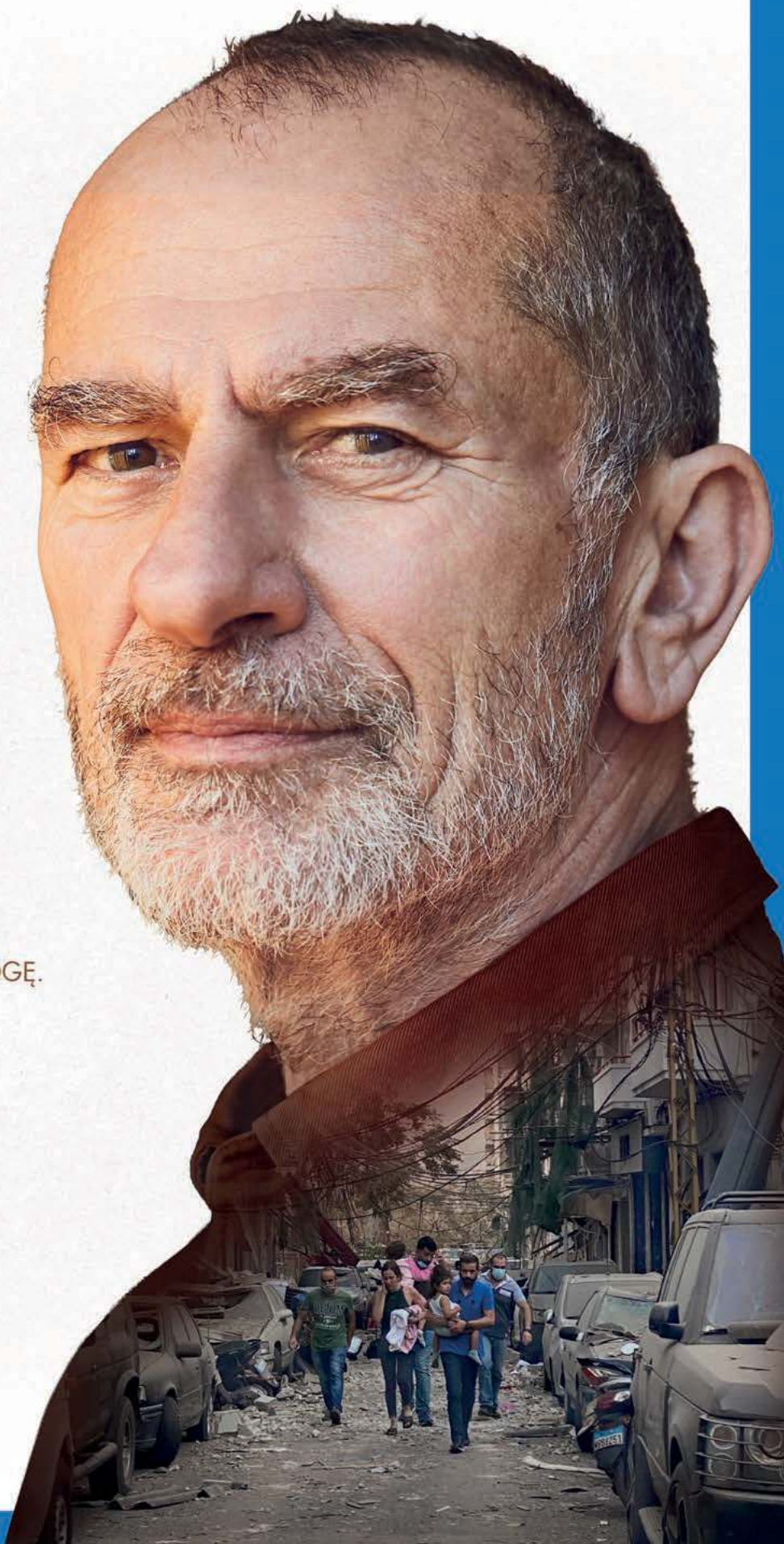

JESTEŚMY W TYM RAZEM

POMAGAM, GDY TYLKO MOGĘ.

WPŁACAM

WWW.PAH.ORG.PL

pah

Polska Akcja Humanitarna